

polskaZbrojna

NR 2 (814) LUTY 2014

**NIEZBĘDNIK
SZANSA
NA POWRÓT
DO SŁUŻBY**

INDEKS 337 374 ISSN 0867-4524
CENA 6,50 ZŁ (W TYM 8% VAT)

**W POGONI
ZA RECEPTĄ
DOKTRYNA
ZABEZPIECZENIA
MEDYCZNEGO
I OCHRONY
ZDROWIA WOJSK**

**WOJCIECH
TOCHMAN**



**NIE MOŻNA
ZAPOMNIEĆ
O LUDOBÓJSTWIE
W RWANDZIE**

LOTNISKOWCE

STO TYSIĘCY TON POTĘGI

**BRÓŃ NA MIARĘ WSPÓŁCZESNEGO POŁA WALKI
CZY RELIKT PRZESZŁOŚCI?**



Droga
do spójności

Zmagania
z ciągłym ryzykiem

Nowa
przestrzeń rażenia

PRZEGLĄD nr 1 / 2014 SIŁ ZBROJNYCH

WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY



ISSN 1897-8428



DOSTĘPNY OD STYCZNIA 2014 ROKU

JEDEN ZAMIAST TRZECH, CZYLI ARSENAŁ WIEDZY O WOJSKU

„PRZEGLĄD MORSKI”, „PRZEGLĄD WOJSK LĄDOWYCH”,
„PRZEGLĄD SIŁ POWIETRZNYCH” W NOWEJ ODSŁONIE

KOSZT PRENUMERATY „PRZEGLĄDU SIŁ ZBROJNYCH” W 2014 ROKU WYNOSI 60 ZŁ.

ZAMÓWIENIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES: PRENUMERATA@ZBROJNI.PL

WARUNKIEM REALIZACJI ZAMÓWIENIA JEST WPLATA 60 ZŁ DO 30 STYCZNIA 2014 ROKU NA KONTO:

23 1130 1017 0020 1217 3820 0002 – WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY,

AL. JEROZOLIMSKIE 97, 00-909 WARSZAWA.



WOJCIECH KISS-ORSKI

KTOŚ, KTO PIERWSZEMU LOTNISKOWCOWI BRYTYJSKIEJ MARYNARKI WOJENNEJ NADAŁ IMIĘ ARGUS, NIEWĄTPLIWIE BYŁ WIZJONEREM.

W mitologii greckiej Argus to bowiem olbrzym o stu wiecznie czuwających oczach. Dziś lotniskowce tylko rozwinęły i udoskonaliły swoje możliwości obserwacji i walki, stając się wraz z towarzyszącymi im grupami uderzeniowymi, czyli całą flotą osłaniającą, najpotężniejszymi formacjami wojskowymi świata.

Ich historia jest niewiele krótsza od historii lotnictwa. Skoro bowiem wymyślono samoloty lądujące na wodzie, to dlaczego nie można było zbudować dla nich pływającego lotniska? Dziś zachwycają każdego, kto choć trochę interesuje się wojskowością czy militariami. Nie brakuje jednak na ich temat również głosów krytycznych, głównie dotyczących kosztów codziennego funkcjonowania całej tej potężnej maszyny. Powoli też pada mīt o niezniszczalności superlotniskowców. Wiele państw sporo inwestuje w broń zwalczającą cele morskie, aczkolwiek nikt się na nie jeszcze nie zamachnął. Te wszystkie zagadnienia są tematem tego numeru. Bez względu jednak na dyskusje ekspertów o przyszłości lotniskowców wciąż z podziwem patrzymy na te fascynujące kolosy. No bo czy nie może pobudzać wyobraźni obiekt sto metrów dłuższy niż Pałac Kultury i Nauki, gdyby go położyć, sunący po oceanie z prędkością prawie 50 kilometrów na godzinę, po którym uwija się, w doskonale zorganizowanym systemie, pięć tysięcy osób? Taka maszyna potrafi się szybko przenieść w dowolne miejsce na ziemi.

Podobno pierwsze pytanie prezydenta USA Billa Clintona, które zadawał swoim współpracownikom na wieść o kryzysie w jakimkolwiek punkcie na świecie, brzmiało: „Gdzie jest nasz najbliższy lotniskowiec?”.

➤ Więcej o lotniskowcach na stronach 12–33



12

KOGO STAĆ NA TAK
LUKSUSOWĄ BRONĖ,
JAKĄ SĄ
LOTNISKOWCE?



ARCHIWUM COAS

50

ŻOŁNIERZE
W WALCE
Z BRONIĄ
BIOLOGICZNĄ,
CHEMICZNĄ
I RADIOLOGICZNĄ

68



BUMAR
ELEKTRONIKA

persypok

PAWEŁ HENSKI
12 | Sto tysięcy ton potęgi

TADEUSZ WRÓBEL
19 | Marzenie admirałów
Pływające bazy lotnicze

PAWEŁ HENSKI
22 | Atomowy Ford
Wodowanie pierwszej jednostki
nowego typu

ŁUKASZ ZALESIŃSKI
25 | Pływające miasto
Służba na gigantycznym okręcie od kulis

PIOTR STOKARSKI
28 | Od balonu do atomu
Rewolucyjny pomysł lądowania na morzu

TADEUSZ WRÓBEL
30 | Podwodne lotniskowce
Japoński patent na okręty przewożące
pod wodą samoloty

armia

PIOTR BERNABIUK, TADEUSZ WRÓBEL
34 | W pogoni za receptą
Rozdźwięk między prawem a rzeczywistością
w wojskowej służbie zdrowia

PIOTR BERNABIUK, TADEUSZ WRÓBEL
40 | Znieczulenie pod ostrzałem
Profesor Waldemar Machała o swoich
doświadczeniach z misji i z kliniki

BOGUSŁAW POLITOWSKI
46 | Przychodzi żołnierz do lekarza
Czy szpitale i przychodnie wojskowe są takie
tylko z nazwy?

TADEUSZ WRÓBEL
50 | Łowcy skażeń

BOGUSŁAW POLITOWSKI
54 | Cicho i skutecznie
Komandos z Lublińca o wyjątkowej akcji
w Afganistanie

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
58 | Powrót do szeregu
Ranni żołnierze do końca 2014 roku mogą starać
się o kategorię „zdolny z ograniczeniem”.

arsenał

KRZYSZTOF WILEWSKI
68 | Gra o miliardy
Polska zbrojeniówka zwała szeregi w walce
o kontrakt na system obrony przeciwlotniczej
i przeciwrakietowej.

strategie

RAFAŁ CIASTOŃ
78 | Argumenty siły
Rosyjska retoryka towarzysząca irańskiemu
porozumieniu w sprawie broni jądrowej

ROBERT CZULDA
83 | W kontrze do półksiężycy
Bliskowschodnie potwierdzenie starej maksymy:
wróg mojego wroga jest moim przyjacielem



112

LUDZIE
OKALECZENI
PRZEZ WOJNĘ
OCZAMI
MALARKI

86

EUROPEJSKA INTERWENCJA
W REPUBLICE
ŚRODKOWOAFRYKAŃSKIEJ

TADEUSZ WRÓBEL

86 | **Demony nienawiści**

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

90 | **Trudna sztuka przebaczenia**

Wojciech Tochman o rozmowach z katami i ofiarami
po ludobójstwie w Rwandzie

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

94 | **Zamrożony konflikt**

Pomysły na scalenie najmłodszego państwa w Europie

wojny
i pokoje

PIOTR KORCZYŃSKI

98 | **Ostatni lot Yamamoto**

Tajemnicze okoliczności śmierci japońskiego admirała

ANNA DĄBROWSKA

104 | **Wsparcie z morza**

Dlaczego do powstańców styczińskich nie dotarł transport
broni kupionej w Londynie?

ROBERT CZULDA

108 | **Kolosalna duma**

Konstrukcja sprzed lat, która wciąż budzi podziw.

horyzonty

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

112 | **Odcienie szarości**

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

118 | **Żołnierze w zielonych skórkach**

Oryginalny sposób gliwickiego klubu motocyklowego
na promocję wojska



wiw
WOJSKOWY INSTYTUT
WYDAWNICZY

SEKRETARIAT WOJSKOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO

tel.: +4822 684 53 65, 684 56 85,
faks: 684 55 03; CA MON 845 365, 845 685, faks: 845 503;
Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ

Wojciech Kiss-Orski,
tel.: +4822 684 02 22, CA MON 840 222; wko@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI

Aneta Wiśniewska, tel.: +4822 684 52 13, CA MON 845 213

ZASTĘPCY SEKRETARZA REDAKCJI

Katarzyna Pietraszek, tel.: +4822 684 02 27, CA MON 840 227;

Joanna Rochowicz, tel.: +4822 684 52 30, CA MON 845 230;
polska-zbrojna@zbrojni.pl

WSPÓŁPRACOWNICY

Piotr Bernabik, Anna Dąbrowska, Paulina Gilińska,
Małgorzata Schwarzgruber, Tadeusz Wróbel,
tel.: +4822 684 52 44, CA MON 845 244,
+4822 684 56 04, CA MON 845 604;
Magdalena Kowalska-Sendek, tel.: +48 725 880 221;
Rafał Ciasioń, Robert Czulda, Paweł Henski,
Włodzimierz Kaleta, Piotr Korczyński, Ewa Korsak,
Jakub Nawrocki, Bogusław Politowski, Jarosław Rybak,
Jacek Szustakowski, Krzysztof Wilewski, Łukasz Zalesiński

DZIAŁ GRAFICZNY

Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kepka, Monika Siemaszko,
tel.: +4822 684 51 70, CA MON 845 170

FOTOEDYTOR

Andrzej Witkowski,
tel.: +4822 684 51 70, CA MON 845 170

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE

Renata Gromska, Urszula Zdunek,
tel.: +4822 684 55 02, CA MON 845 502

BIURO REKLAMY I MARKETINGU

Adam Niemczak (kierownik), Anita Kwatrowska (tłumacz),
Magdalena Miernicka, Małgorzata Szustkowska,
tel.: +4822 684 53 87, 684 51 80,
Elżbieta Toczek, tel.: +4822 684 04 00,
faks: +4822 684 55 03; reklama@zbrojni.pl



Zdjęcie na okładce:
US NAVY

Numer zamknięto:
22.01.2013 r.

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE

TOPLOGISTIC, ul. Skarbka z Gór 118/22, 03-287 Warszawa,
tel.: +4822 389 65 87, +48 500 259 909,
faks: +4822 301 86 61; biuro@toplogistic.pl

DRUK

ARTDRUK ul. Napoleona 4, 05-230 Kobylka, www.artdruk.com

PRENUMERATA

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail:
prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta
„RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 - czynne w dni
robocze w godzinach 7.00-17.00. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

PARTNER



Narodowe Archiwum Cyfrowe.
170 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl



Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla
stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja
nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów.
Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej
są bezpłatne. Informacje: CA MON 840 400

kadr

OKRĘTY ORP „MEWA” I ORP „ŚNIARDWY” z 13 Dywizjonu Trałowców w Gdyni wchodzą z wizytą roboczą do świnoujskiego portu. Gdyńscy marynarze między innymi doskonalili elementy manewrowania okrętem w porcie wojennym.







Rewolucja w dowodzeniu

Z początkiem 2014 roku weszła w życie zmiana struktur dowodzenia armią, jedna z najważniejszych reform w polskim wojsku.

Celem reformy jest konsolidacja systemu dowodzenia i dostosowanie go do nowoczesnych koncepcji tworzenia połączonych organów odpowiedzialnych za kierowanie formacjami różnych rodzajów sił zbrojnych. Zmiana struktur kierowania wynika z wprowadzenia armii zawodowej i zredukowania liczby żołnierzy do 100 tysięcy. Celami reformy są też zmniejszenie liczby centralnych dowództw oraz wprowadzenie takich samych struktur w czasie pokoju i wojny. „Zmiany te dostosowują naszą armię do realnych potrzeb i możliwości. Są oznaką pełnej spójności z systemem NATO”, zaznaczył prezydent Bronisław Komorowski, kiedy 22 lipca 2013 roku podpisywał wprowadzającą reformę nowelizację ustawy o urzędzie ministra obrony narodowej.

Zgodnie z zaplanowanymi zmianami 1 stycznia w miejsce rozformowywanych dowództw rodzajów sił zbrojnych powołano Dowództwo Generalne Rodzajów Sił Zbrojnych (DGRSZ) oraz Dowództwo Operacyjne Rodzajów Sił Zbrojnych (DORSZ). Na czele pierwszego stanął generał broni pilot Lech Majewski, dotychczas dowódca Sił Powietrznych. DORSZ natomiast dowodzi dotychczasowy dowódca operacyjny generał broni Marek Tomaszyci. Generałów na stanowiska mianował w grudniu 2013 roku prezydent Bronisław Komorowski.

Dowództwo Generalne jest odpowiedzialne za kierowanie armią w czasie pokoju, szkolenie dowództw, sztabów i wojsk oraz kształcenie zawodowe. Dowództwo Operacyjne z kolei przejęło do-

wodzenie wojskiem podczas wojny, kryzysów i zagranicznych misji pokojowych.

Dowództwa poszczególnych rodzajów sił zbrojnych przekształcono w sześć inspektoratów: Wojsk Lądowych, Marynarki Wojennej, Sił Powietrznych, Wojsk Specjalnych, Rodzajów Wojsk i Szkolenia. Do ich głównych zadań należy planowanie i organizowanie szkolenia wojsk, wyznaczanie kierunków doskonalenia zawodowego dla poszczególnych specjalności wojskowych oraz podejmowanie decyzji o wymogach wyposażenia jednostek wojskowych. Zmieniła się też funkcja Sztabu Generalnego WP, który stał się organem planistycznym, ustalającym długoterminowe strategię dla polskiej armii oraz doradzającym ministrowi obrony, rządowi



i prezydentowi w sprawach dotyczących sił zbrojnych.

Zdaniem szefa resortu obrony wprowadzenie reformy dowodzenia to jeden z kamieni milowych naszej obronności. Minister Tomasz Siemoniak podkreślał też, że powstanie Dowództwa Generalnego to nie koniec prac nad reformą. „Czeka nas teraz rok wdrażania zmian i sprawdzania w praktyce zaplanowanych rozwiązań”, mówił na początku roku w trakcie inauguracji funkcjonowania DGRSZ. Na to samo zwrócił uwagę generał Majewski: „Musimy opracować programy szkolenia, zaplanować modernizację infrastruktury armii oraz systemów uzbrojenia”. Jak podkreślił, to od Dowództwa Generalnego w dużej mierze będzie zależało, jak sprawna i profesjonalna będzie nasza armia i za jakiego sojusznika będzie uważana w NATO.

Efektom reformy są też zmiany w dowodzeniu wojskami specjalnymi. Rolę tę przejęło nowo utworzone Centrum Operacji Specjalnych – Dowództwo Komponentu Wojsk Specjalnych, podporządkowane DORSZ. Do jego zadań należy dowodzenie pięcioma jednostkami specjalnymi, określanie kierunków ich rozwoju, przygotowywanie do działań bojowych oraz w sytuacjach kryzysowych. Pełni również funkcję dowództwa komponentu operacji specjalnych w ramach Sił Odpowiedzi NATO. Na czele nowej struktury stanął generał brygady Jerzy Gut, dotąd zastępca dowódcy Wojsk Specjalnych. Dotychczasowy dowódca specjalsów generał brygady Piotr Patalong został w Dowództwie Generalnym szefem Inspektoratu Wojsk Specjalnych. Odpowiada za tworzenie warunków pozwalających na osiągnięcie i utrzymywanie zdolności operacyjnych oraz za przygotowywanie i prowadzenie szkoleń.

Zmiany nastąpiły także na stanowiskach wiceministrów. Za sprawy socjalne i współpracę z parlamentem jest teraz odpowiedzialny Maciej Jankowski, do niedawna wiceminister transportu, budownictwa i gospodarki morskiej. Zastąpił na tym stanowisku sekretarza stanu Czesława Mrocza, który do tej pory zajmował się sprawami społecznymi w wojsku. W grudniu 2013 roku minister Siemoniak powierzył mu kierowanie pionem uzbrojenia i modernizacji w miejsce Waldemara Skrzypczaka, który zrezygnował ze stanowiska. PZ, AD, PG

Maszyny dla VIP-ów

Wybrano samoloty dla najważniejszych osób w państwie.

Kancelarie Prezydenta, Prezesa Rady Ministrów oraz Sejmu i Senatu przez najbliższe cztery lata będą dysponować dwoma samolotami typu Embraer ERJ 170-200 LR.

Umowę ich czarteru od LOT-u podpisano w Inspektoracie Uzbrojenia. Maszyny pomalowane w barwy narodowe będą stacjonować na Lotnisku Chopina w Warszawie. Zasięg ich to 3500 kilometrów, a na pokład zabierają do 90 osób.

Nowa umowa była konieczna, ponieważ z końcem 2013 roku wygasa dotychczasowa, podpisana przez resort obrony ze spółką EuroLOT, należąca do LOT-u, na trzyletni czarter dwóch brazylijskich samolotów Embraer. Obecna umowa określa między innymi zasady wykorzystania statków powietrznych oraz współpracy z Biurem Ochrony Rządu w dziedzinie bezpieczeństwa przewozu najważniejszych osób w państwie. AD

Misyjne plany

Polska wyśle żołnierzy do Republiki Środkowoafrykańskiej oraz kolejne kontyngenty do Mali i Kosowa.

Jak zapowiedział premier Donald Tusk, Polska wyśle na trzy miesiące 50 żołnierzy sił powietrznych i samolot transportowy Hercules C-130 do Republiki Środkowoafrykańskiej, gdzie trwa wojna domowa. Nasi żołnierze wesprą tam francuską operację wojskową, w której bierze udział 1600 żołnierzy. Oprócz Polski wsparcia chcą udzielić Francji między innymi Niemcy, Wielka Brytania i Hiszpania. Misja polskich żołnierzy rozpoczyna się 1 lutego i, jak podkreślił minister Tomasz Siemoniak, jej zadania to pomoc francuskiej armii w sprawach logistycznych, szkoleniowych i humanitarnych.

Na wysłanie polskich żołnierzy musi się zgodzić prezydent. Na razie Bronisław Komorowski przedłużył nasz pobyt w innym afrykańskim państwie. Zgodnie z podpisanym przez niego dokumentem polski kontyngent, liczący do 20 żołnierzy i pracowników wojska, będzie uczestniczył do 18 maja w misji szkoleniowej Unii Europejskiej w Mali.



W. MŁYNARCZYK
COMBAT CAMERA
DORSZ

Do jego głównych zadań należy szkolenie logistyczne żołnierzy malijskich, koordynacja załadunku i rozładunku transportu powietrznego oraz ochrona bazy w Koulikoro pod względem zabezpieczenia przeciwwminowego.

Prezydent podpisał też zgodę na przedłużenie do 30 czerwca misji w Kosowie oraz Bośni i Hercegowinie. Liczący do 300 żołnierzy kontyngent zajmuje się tam monitorowaniem przestrzegania porozumień i traktatów międzynarodowych, prowadzeniem patroli i wspieraniem kosowskiej policji. PZ, AD, KW

➤ Więcej na temat konfliktu w Republice Środkowoafrykańskiej na stronach 86–88, a o sytuacji w Kosowie na stronach 94–96.

ATRAKCYJNA REZERWA

Trwają prace nad zmianami w przepisach
o Narodowych Siłach Rezerwowych.

Nad zgłoszonym przez resort obrony projektem nowelizacji ustawy o Narodowych Siłach Rezerwowych, który ma uatrakcyjnić tę służbę i uprościć przepisy dla pracodawców zatrudniających żołnierzy rezerwy, pracuje parlament. Jak tłumaczył w sejmie sekretarz stanu w MON Czesław Mroczek, rządowy projekt ustawy o zmianie ustawy o powszechnym obowiązku obrony korzystnie wpłynie na dalszy rozwój NSR oraz ściślejsze powiązanie ich z działalnością jednostek wojskowych.

Nowelizacja przewiduje możliwość zmiany zakresu obowiązków żołnierza NSR poprzez dodanie aneksu do podpi-

sanego przez niego kontraktu, bez potrzeby zawierania nowej umowy i wymaganego dotychczas ponownego sprawdzania kandydata. Projekt znosi też ograniczenia czasowe dotyczące terminu zawierania kontraktów z żołnierzami w czynnej służbie wojskowej. MON chce również zrezygnować z górnej granicy 15 lat, jeśli chodzi o możliwość pozostawania na przydziale kryzysowym.

Wprowadzono też prawo do zmiany terminu szkolenia ze względów rodzinnych oraz możliwość skrócenia okresu służby przygotowawczej dla osób, które przeszły wyszkolenie wojskowe. Nowością w sposobie obliczania należności za

ćwiczenia będzie to, że mają one zależeć od zajmowanego stanowiska, a nie tylko – jak było dotychczas – stopnia wojskowego. Ponadto podnoszenie kwalifikacji będzie premiowane dodatkami motywacyjnymi.

Przewidziano też ułatwienia dla pracodawców zatrudniających żołnierzy rezerwy. Jednym z nich jest informowanie ich o planowanych ćwiczeniach zatrudnianego rezerwisty. Poza tym, aby uzyskać rekompensatę za nieobecność pracownika, pracodawca ma mieć 90, a nie 30 dni na przedstawienie wymaganych dokumentów. Zmieni się także sposób naliczania tych rekompensat. P.Z., L.Z. ■

Zmiany w logistyce

Mundury, żywność i części zamienne do uzbrojenia są dziś przechowywane w blisko pięćdziesięciu składnicach. Wszystkie zapasy mają być zgromadzone w kilku dużych, nowoczesnych magazynach.

W Kutnie ruszyła już budowa pierwszego takiego obiektu, który będzie

miał prawie 20 tysięcy metrów kwadratowych powierzchni. Magazyn ma powstać do końca 2015 roku, a pierwsze towary powinny do niego trafić wiosną 2016 roku. Będzie kosztował ponad 100 milionów złotych i działać z wykorzystaniem systemu informatycznego.

Od kilku lat armia pracuje też nad jednolitym indeksem materiałowym (JIM), czyli nadaniem kodu każdej używanej przez wojsko rzeczy. Od stycznia 2015 roku tak będzie musiała być oznakowana każda rzecz należąca do armii. Na podstawie jednolitego indeksu materiałowego powstanie skomputeryzowany system zarządzania zasobami, który umożliwi na bieżąco kontrolę tego, co znajduje się w magazynach sił zbrojnych. P.Z., K.W. ■

”

PIOTR
BERNABIUK

Nic osobistego

PRZEŁOŻENI ZBYT
AMBITNEGO
I „PRZEINWESTOWANEGO”
PODOFICERA
POSTANOWILI GO
USTAWIĆ W SZEREGU

W czasie koleżeńskiego spotkania pod hasłem: „Jak to wszyscy mamy w armii przerąbane”, sierżantowi Dariuszowi W. wymknęła się tyrada niepasująca do klimatu rozmowy: „Kocham armię! Załatwcie mi zgodę na przeniesienie do jednostki aeromobilnej!”. Uczestnicy spotkania doskonale znali dramat kolegi. Sierżant Dariusz W., mimo młodego wieku, jeszcze całkiem niedawno należał do grona wybijających się podoficerów, ambitnych „inwestorów”, wykorzystujących każdą możliwość do podnoszenia swoich kwalifikacji. Chłopak ukończył z wyróżnieniem wszelkie dostępne kursy krajowe, a nawet jeden zagraniczny. Brał udział w stażach, selekcjach i najsurowszych sprawdzianach. Chwalebnie się też zapisał w kolejnych zmianach operacji bojowych.

Niestety, w pewnej chwili wyszło na jaw, że stawiany innym za wzór podoficer nie jest, jak sądzono, prostym, szczerym i szlachetnym żołnierzem, lecz kreaturą usiłującą realizować własne cele. Otóż zaczął on lansować pogląd, że żołnierz, po osiągnięciu maksymalnego pułapu w „szarej piechocie”, powinien awansować do awangardowej jednostki piechoty, stamtąd do brygady aeromobilnej, a później trafić do specjalistów. I właśnie postanowił wkroczyć na tę drogę. Przeciwnego zdania byli jednak przełożeni zbyt ambitnego i „przeinwestowanego” podoficera. Argument, że w przyszłym, a raczej niedoszłym, miejscu służby czekają na sierżanta z otwartymi ramionami, potraktowano jako deklarację przejścia na stronę wroga, co natychmiast udaremniono.

Pierwszym ruchem było odsunięcie sierżanta od dowodzenia drużyną – pod pozorem awansu. Następnym to ściągnięcie żołnierza z piedestału i ustawienie go w szeregu. Na koniec trzeba było zrobić wszystko, żeby zapomniał o swoich niewydarzonych pomysłach. Umiejętne przeprowadzenie tak złożonej operacji zapewniało osiągnięcie stanu „0”, czyli sprowadzenie żołnierza do roli elementu statystycznego, niebudzącego niczyjego pożądania.

Próby wszelkiego buntu ze strony sierżanta uznano za objawy krnąbrności, a odwoływanie się do wyższych instancji za nielojalność. Zakładano przy tym, że czas odegra w tym epizodzie pozytywną rolę i wkrótce „winowajca” pogodzi się ze swoim losem. Pojawił się jednak pewien kłopot, ponieważ sierżant Dariusz W. z maniackim uporem trwał przy swoim.

Na koleżeńskim spotkaniu chorąży Jacek D. podjął próbę udzielenia młodszemu koledze odpowiedzi: „Darku, tam nie ma

wrogów, nie ma przyjaciół, nie ma nic osobistego. Jest jedynie system, obecnie już komputerowy, który działa zerojedynkowo – puszcza albo nie puszcza. Deklarowana przez ciebie miłość do czegoś, co ze swej natury nie ma możliwości odwzajemniania uczuć, jest jedynie objawem emocjonalnego zagubienia”. ■

”





PAWEŁ HENSKI

| LOTNISKOWCE |

STO TYSIĘCY TON POTĘGI

Czy lotniskowce sprostają
wyzwaniom przyszłego
pola walki?

U S N A V Y

→ STO TYSIĘCY TON POTĘGI

Pentagon czekać olbrzymie cięcia budżetu – w ciągu najbliższych dziesięciu lat trzeba będzie zrezygnować nawet z 500 miliardów dolarów. W ramach poszukiwania oszczędności na celowniku znalazły się największe wydatki, takie jak budowa i eksploatacja superlotniskowców o napędzie atomowym. Pojawiły się pytania, czy USA potrzebują aż tylu takich okrętów i czy warto w nie dalej inwestować.

LUKSUSOWY TOWAR

Sama budowa lotniskowca o napędzie atomowym pochłania olbrzymie koszty, a jeszcze większe wiążą się z jego eksploatacją. Od 3 do 6 miliardów dolarów kosztował każdy z dziesięciu okrętów typu Nimitz, które trafiły do US Navy w latach 1975–2009. Rekordowy pod tym względem okazał się jednak najnowszy amerykański superlotniskowiec (więcej o USS „Gerald R. Ford” na stronach 24–27). Ponadto gdy mowa o kosztach eksploatacji amerykańskiego lotniskowca, należy pamiętać, że zawsze działa on jako element grupy uderzeniowej (carrier strike group – CSG), składającej się jeszcze z pięciu innych okrętów nawodnych, jednego podwodnego oraz jednostek zaopatrzeniowych. Na pokładzie lotniskowca stacjonuje skrzydło powietrzne (carrier air wing – CAW) mające 80 samolotów i śmigłowców. Koszt działania operacyjnego grupy uderzeniowej w warunkach pokojowych to około 6,5 miliona dolarów dziennie.

Reaktory atomowe lotniskowca mogą pracować przez 20–25 lat, ale po tym czasie wymagają wymiany paliwa, co



wiąże się z kompleksowym przeglądem i modernizacją okrętu (refueling and complex overhaul – RCOH). Trwa to zwykle około czterech lat i kosztuje 2–3 miliardy dolarów.

Jedyną amerykańską stocznia zdolną do budowy superlotniskowców oraz przeprowadzania RCOH jest Huntington Ingalls w stanie Wirginia. Pracuje w trybie ciągłym, czyli gdy woduje jeden lotniskowiec, jednocześnie zaczyna budować kolejny (podobnie jest z przeglądami). Taki system gwarantuje utrzymanie relatywnie niskich kosztów budowy okrętów. Gdyby Stany Zjednoczone nawet na kilka lat przerwały ten proces, decyzja o wznowieniu produkcji wiązałaby się z olbrzymimi wydatkami. Przekonali się o tym zresztą Brytyjczycy, którzy rozpoczynają program budowy dwóch lotniskowców typu Queen Elizabeth. Muszą zaczynać niemal od zera i będzie ich to kosztowało ponad 6 miliardów funtów.

Ponadto przed budową najnowszego lotniskowca, USS „Gerald R. Ford”, w stocznii zainwestowano znaczne kwoty. Aż 40 milionów dolarów kosztowała modyfikacja dźwigu do podnoszenia kilkudziesięciotonowych elementów, a 37 milionów – budowa nowego krytego doku wielkości boiska piłkarskiego, umożliwiającego prowadzenie prac w każdych warunkach atmosferycznych.

Kongres Stanów Zjednoczonych ustawowo zagwarantował US Navy posiadanie 11 lotniskowcowych grup uderzeniowych. Już w 2008 roku analitycy amerykańscy zaczęli postulować zmniejszenie floty lotniskowców atomowych do dziesięciu, a niektórzy – nawet do ośmiu. Jeśli USA zdecydowałyby się na taki krok, to paradoksalnie w pierwszej kolejności

trzeba by wycofać nowsze jednostki – te, które są jeszcze przed kosztownym przeglądem. W grę wchodziłyby zatem: USS „George Washington” (RCOH przewidziany jest na 2015 rok), USS „John C. Stennis” i USS „Harry S. Truman”. Trzeba jednak pamiętać, że wycofanie ze służby lotniskowca o napędzie atomowym to kolejne olbrzymie wydatki. Demontaż USS „Enterprise” (wycofany w grudniu 2012 roku) oraz utylizacja jego ośmiu reaktorów atomowych to proces wieloletni, który będzie kosztował ponad miliard dolarów.

Lepiej zatem modernizować stare lotniskowce i nie budować nowych czy wprowadzić nowe, które jednostkowo będą kosztowały więcej, ale ich wieloletnia eksploatacja okaże się tańsza, a jednocześnie wycofywać stare? W 2010 roku ówczesny sekretarz obrony Robert Gates pytał retorycznie, czy przez następne trzydzieści lat USA muszą utrzymywać 11 lotniskowców, czyli tyle, ile ma reszta świata razem wzięta. W dyskusji na temat tych okrętów pojawiło się również inne pytanie: czy sprostają wyzwaniom przyszłego pola walki?

RELIKT ZIMNEJ WOJNY?

Przeciwnicy inwestowania w lotniskowce twierdzą, że możliwości bojowe tych okrętów się wyczerpują, a większość wykonywanych przez nie misji można przeprowadzić z użyciem tańszych środków. Według raportu opublikowanego przez Center for a New American Security w ciągu ostatnich dziesięciu lat każdy z pokładowych myśliwców F/A-18 zrzucił w warunkach bojowych nie więcej niż 16 bomb. Wziąwszy pod uwagę, ile kosztuje utrzymanie grup lotniskowcowych, można przyjąć, ➔

CORAZ WIĘCEJ LOTNISKOWCÓW BĘDZIE PRZEMIERZAŁO MORZA I OCEANY, BO WIELE PAŃSTW IDZIE W ŚLADY STANÓW ZJEDNOCZONYCH.

Chiny w 2012 roku wprowadziły do służby lotniskowiec „Liaoning” (były rosyjski lotniskowiec typu Admiral Kuzniecowa, o wyporności 60 tysięcy ton). Wielka Brytania buduje dwa lotniskowce typu Queen Elizabeth, o wyporności 65 tysięcy ton. Duże ambicje mają pod tym względem Indie, które w listopadzie 2013 roku wprowadziły do służby INS „Vikramaditya” (były rosyjski lotniskowiec typu Kijów, o wyporności 45 tysięcy ton). Budują również dwa nowe lotniskowce: pierwszy – INS „Vikrant”, o wyporności 40 tysięcy ton, został zwodowany w sierpniu 2013 roku, a drugi – INS „Vishal”, o wyporności 65 tysięcy ton, ma wejść do służby w 2025 roku. W 2013 roku Japonia zwodowała śmigłowcowiec „Izumo”, o wyporności 27 tysięcy ton, i planuje budowę kolejnej jednostki tego typu. Australia kończy budowę desantowego HMAS „Canberra”, o wyporności 27 tysięcy ton, i buduje kolejny okręt tego typu – HMAS „Adelaide”.



że koszt zrzucenia jednej bomby to 7,5 miliona dolarów. Tymczasem wystrzelenie jednej rakiety typu Tomahawk kosztuje 2 miliony dolarów. Na budowę pięciu niszczycieli wyposażonych w rakiet Tomahawk potrzeba około 5 miliardów dolarów, a koszt ich dziennej eksploatacji wynosi 1,8 miliona.

Oprócz możliwości użycia tańszych środków projekcji siły, krytycy lotniskowców podnoszą jeszcze jedną kwestię – „przeżywalności” tych okrętów na przyszłym polu walki. Lotniskowce to wielkie, nieruchawe, pływające cele. Są swoistymi relikwiami zimnej wojny, gdy były niezbędne do powstrzymania marynarki sowieckiej. Przydatne są w takich wojnach jak w Iraku czy Afganistanie, ale w razie konfliktu z przeciwnikiem dysponującym nowoczesnymi technologiami US Navy może mieć jednak kłopoty z ich użyciem.

Wiele państw inwestuje w uzbrojenie do zwalczania celów morskich: naddźwiękowe rakiety przeciwokrętowe, programowalne miny morskie, klasyczne okręty podwodne, miniaturowe okręty podwodne, a także powietrzne, nawodne oraz podwodne pojazdy bezzałogowe. Broń ta może stać się śmiertelnym zagrożeniem dla będących łatwym celem lotniskowców. Dyżurnym „straszakiem” w wielu dyskusjach na temat przyszłości tych okrętów są chińskie balistyczne rakiety przeciwokrętowe DF-21D, które sami Chińczycy nazywają zabójcami lotniskowców.

Wielu analityków zastanawia się zatem, czy wobec tego dalsze inwestowanie w superlotniskowce nie jest ślepym zaułkiem. Może lepiej byłoby znaleźć dla nich alternatywę? Przypominają lata trzydzieste XX wieku, gdy amerykańska marynarka, wciąż zafascynowana pancernikami, niemalże przespała właśnie rozwój lotniskowców i lotnictwa pokładowego. Przed II wojną światową Amerykanie zwodowali 18 pancerników i tylko osiem lotniskowców (z czego tylko pięć zostało zaprojektowanych od podstaw). Gdyby proporcje były odwrotne,

**LOTNISKOWCE
SĄ TAŃSZE
W UTRZYMANIU
NIŻ JAKAKOLWIEK
ZAMORSKA
LĄDOWA BAZA
LOTNICZA,
A W DODATKU
MOŻNA JE
WYSŁAĆ PRAWIE
W KAŻDY ZAKĄTEK
KULI ZIEMSKIEJ**

Wydobywane z lamusa

Nie pierwszy raz politycy przymierzają się do odesłania lotniskowców na śmietnik historii.

Pod koniec lat czterdziestych XX wieku amerykańska marynarka wojenna zaplanowała budowę nowego superlotniskowca, USS „United States”, o wyporności 65 tysięcy ton. W lutym 1949 roku położono pod niego stępkę. Jednak lotniskowce nie po raz pierwszy znalazły się wtedy w ogniu krytyki. Tuż po zakończeniu II wojny światowej padły ofiarą olbrzymiej redukcji uzbrojenia. Ich liczbę zmniejszono z 98 do 23. W 1950 roku, tuż przed wybuchem wojny w Korei, było ich już tylko 15.

Co więcej, w dobie rozwoju broni atomowej zaczęto podważać możliwość przetrwania tych okrętów w czasie ewentualnego konfliktu jądrowego. Kwestionowano też ich przydatność bojową – marynarka nie miała bowiem samolotu zdolnego do przenoszenia broni atomowej. W walce o budżet prym wiodły siły powietrzne, które dopiero co uwolniły się spod zwierzchnictwa armii. Rzecznicy budowy armady bombowców B-36 – nosicieli bomb atomowych – triumfowali. Widzieli US Navy

jedynie w roli pomocniczej – do zwalczania okrętów podwodnych i transportu wojsk. Alexander de Seversky – nieprzejednany zwolennik bombowców strategicznych – pisał po wojnie: „Wielkie pływające wyspy, z których amerykańska marynarka jest tak dumna i w których pokłada nadzieje, są po prostu militarną potwornością”.

Prezydent Harry Truman dał się przekonać zwolennikom bombowców i w kwietniu 1949 roku budowa superlotniskowca została wstrzymana. Gdy

być może Japonia nigdy nie zdecydowała się na atak. Działania morskie w II wojnie światowej pokazały, że tak kosztowne pancerniki odgrywały wobec lotniskowców jedynie pomocniczą rolę. Czy zatem dzisiejsze lotniskowce nie staną się wkrótce ówczesnymi pancernikami?

Zwolennicy lotniskowców odpierają te argumenty. Okręty te mają ciągle wiele zalet. Po pierwsze, trudno jest je zatopić. Po drugie, nie działają w próżni. Oprócz gwardii przybocznej – w postaci własnych samolotów i śmigłowców oraz okrętów bezpośredniej osłony z grupy uderzeniowej – do ich ochrony US Navy może użyć praktycznie całego swojego arsenału: od floty nawodnej i podwodnej, przez samoloty patrolowe, samoloty bezzałogowe, po wywiad i satelity. Lotniskowce nie są zatem bardziej podatne na ataki niż jakiekolwiek inne okręty nawodne. Po trzecie, od celów, które atakują, mogą być tak daleko, jak tylko pozwala na to zasięg ich samolotów (powiększony przez ewentualną możliwość tankowania w powietrzu). Po czwarte, dzięki napędowi atomowemu, praktycznie nigdy nie muszą zawijać do portów, co zwiększa ich bezpieczeństwo.

Lotniskowce jako rodzaj broni też nie zatrzymały się w rozwoju. Projektowane są teraz tak, aby przetrwały bezpośrednie uderzenia w pokład czy kadłub, mają opancerzenie kiewlarowe, są wyposażane w najnowocześniejsze radary, systemy zakłócania elektronicznego oraz bezpośredniej samoobrony przed atakiem zarówno samolotów, jak i rakiet przeciwookrętowych. To zatem wciąż nowoczesna broń, która z pewnością sprosta wyzwaniom współczesnego pola walki.

BAZA NA WODZIE

Stany Zjednoczone mają już dziesięć lotniskowców typu Nimitz. Zwodowały właśnie jeden nowej generacji, typu Gerald R. Ford, rozpoczęły budowę kolejnego, a w planach jest trzeci. To jednak nie wszystko. US Navy ma również osiem okrętów

desantowych typu Wasp, zwodowała nowy – typu America (kolejny jest w budowie). Chociaż nie są to klasyczne lotniskowce, mają wyporność 40–45 tysięcy ton i każdy może zabrać na pokład do 20 samolotów pionowego startu i lądowania. Jeśli założymy, że US Navy ma do dyspozycji dziesięć lotniskowców atomowych oraz osiem okrętów desantowych, to znaczy, że z ich pokładów może operować około 800 samolotów bojowych, nie licząc śmigłowców, czyli więcej maszyn niż mają siły powietrzne większości państw na świecie.

Lotniskowce są też tańsze w utrzymaniu niż jakakolwiek zamorska lądowa baza lotnicza, a w dodatku można je wysłać prawie w każdy zakątek kuli ziemskiej. W przeciwieństwie do baz i lotnisk nie są nieruchomym celem, a ich obecność nie jest uzależniona na przykład od woli sojusznika. W latach 1980–2013 amerykańskie lotniskowce wykorzystano we wszystkich konfliktach, w które zaangażowały się Stany Zjednoczone. Z jednym wyjątkiem – operacji „Odyssey Dawn” w Libii w 2011 roku. Kluczową rolę odegrał wówczas okręt desantowy USS „Kersarge”, czyli właściwie minilotniskowiec.

Lotniskowce mają nie tylko olbrzymie możliwości bojowe, lecz także są bardzo użytecznym narzędziem projekcji tak zwanej miękkiej siły. Stany Zjednoczone wysyłają je wszędzie tam, gdzie bronią swoich interesów albo gdzie chcą wesprzeć swoich sojuszników i zapewnić im poczucie bezpieczeństwa. Ich obecność może nawet łagodzić konflikty w danym regionie. Można stwierdzić, że lotniskowce są współczesnym odpowiednikiem legionów starożytnego Rzymu.

Mają ogromne możliwości logistyczne, dlatego ostatnio coraz częściej wspierają operacje ratunkowe. Jako pierwsze niosły pomoc humanitarną, gdy doszło do katastrofy w Indonezji, Pakistanie, Haiti, Japonii i ostatnio na Filipinach. Jest to więc uniwersalne narzędzie, wykorzystywane zarówno w czasie wojny, jak i pokoju. ■



wybuchła wojna w Korei, okazało się, jakże przedwczesne było wysyłanie lotniskowców do la-musa. W pierwszych miesiącach wojny to właśnie samoloty z lotniskowców amerykańskich USS „Valley Forge” (na zdjęciu), USS „Philippine Sea”, lotniskowców eskortowych USS „Sicily” i USS „Badoeng Strait” oraz brytyjskiego HMS „Triumph” spowodowały impet północnokoreańskiego uderzenia i ura-

towały Koreę Południową przed szybkim upadkiem. Ogółem w wojnie koreańskiej wzięło udział 11 dużych amerykańskich lotniskowców oraz sześć eskortowych.

Kolejna wielka dyskusja nad sensem inwestowania w lotniskowce przeto-czyła się na początku prezydentury Jimmy’ego Cartera. Jego poprzednik, prezydent Gerald Ford, skasował program budowy czwartego lotniskowca typu Nimitz – USS „Theodore Roosevelt”. Administracja Cartera szukała oszczędności, żeby zmniejszyć deficyt

budżetowy, i zażądała decyzję Kongresu o wznowieniu programu. Propo-nowano budowę kilku tańszych, małych lotniskowców o napędzie konwen-cjonalnym, z których mogłyby opero-wać samoloty pionowego startu i lądo-wania. Kryzys irański w 1979 roku i przebywanie lotniskowca USS „Nimitz” bez przerwy przez 144 dni w rejonie zapalnym sprawiły, że admi-nistracja Cartera doceniła jednostki atomowe. W ciągu kolejnych dwóch lat przeanalizowano wszystkie możliwości i uznano, że najbardziej racjonalna jest kontynuacja budowy superlotniskow-ców. Ich finansowanie zatwierdzono w budżetach na rok 1983 i 1988. ■

Zabójca lotniskowców

Czy chińska przeciwokrętowa rakiet balistyczna DF-21D jest w stanie zakończyć dominację amerykańskiej floty na Pacyfiku?

W połowie lat osiemdziesiątych Chiny opracowały dwustopniową rakietę balistyczną średniego zasięgu DF-21, która może być uzbrojona w głowicę atomową lub konwencjonalną. W latach dziewięćdziesiątych na jej bazie Chińczycy postanowili zbudować rakietę przeciwśatelitarne i przeciwokrętowe. W 2009 roku ogłosili rozpoczęcie produkcji pierwszej w historii przeciwokrętowej rakiet balistycznej oznaczonej jako DF-21D.

Propaganda chińska nie ukrywała, że w razie konfliktu z USA ich głównym celem będą amerykańskie lotniskowce. Wkrótce DF-21D zaczęto nazywać „zabójcami lotniskowców”. Rok później Pentagon przyznał, że chińskie rakiet prawdopodobnie osiągnęły wstępną gotowość operacyjną. DF-21D rozpalili wówczas wyobraźnię wielu analityków wojskowych, wieszczących szybki kres dominacji amerykańskich lotniskowców. Jakie jednak naprawdę mogą one mieć możliwości?

RUCHOMY CEL

DF-21D nie jest pierwszą w historii przeciwokrętową rakietą balistyczną. Na początku lat siedemdziesiątych Rosjanie opracowali 4K18 (R-27K) – wyrzelnik z zanurzonych okrętów podwodnych przeciwokrętową rakietę balistyczną średniego zasięgu (650-740 kilometrów). Uzbrojona była w głowicę atomową o mocy około jednej megatony. Celem R-27K miały być amerykańskie grupy lotniskowcowe. Jej głowica – manewrujący pojazd deorbitacyjny – była w stanie trafić w cel z dokładnością około 400 metrów, ale pod warunkiem, że otrzymywała precyzyjne dane. Trafienie przez rakietę balistyczną w ruchomy cel na morzu okazało się największym wyzwaniem, więc R-27K uzbrojono w silną głowicę atomową. Miało to zagwarantować zniszczenie amerykańskich okrętów mimo ograniczonej celności.

Wywiad USA szacuje, że DF-21D ma zasięg od 1450 do 2000 kilometrów. Jej manewrujący pojazd deorbitacyjny ma być naprowadzany na cel prawdopodobnie przez własny radar z syntetyczną aperturą (SAR), satelitarne systemy optyczne, radary satelitarne typu SAR oraz lądowe stacje radiolokacyjne. W latach 2009–2012 Chiny umieściły na orbicie co najmniej dziewięć satelitów, które mogą pomóc w uzyskiwaniu danych o celach i naprowadzaniu raket DF-21F. Ponadto teoretycznie informacje o lokalizacji okrętów przeciwnika mogą

dostarczać również jednostki podwodne oraz samoloty załogowe i bezzałogowe.

Produkowane od lat rakiety DF-21 to sprawdzona konstrukcja, ale Chiny nie przeprowadziły jeszcze żadnego testu DF-21D przeciwko ruchomemu lub nawet nieruchomemu celowi nawodnemu. Na początku 2013 roku media obiegło zdjęcie z pustyni Gobi, dostarczone przez Google Earth, ukazujące rozrysowany na ziemi prostokątny kontur, który wielkością odpowiadał pokładowi amerykańskiego lotniskowca. Na ziemi było widać ślady po dwóch wybuchach. Fotografii tę rozpowszechniła tajwańska gazeta jako rezultat pierwszego testu rakiety DF-21D, która „zatopiła” amerykański lotniskowiec. Informacje te nie zostały jednak oficjalnie potwierdzone przez Chiny. Co więcej, z ostatnich wypowiedzi przedstawicieli armii chińskiej wynika, że rakiet jest ciągle w fazie rozwoju i nie osiągnęła jeszcze gotowości operacyjnej.

Nawet jeśli DF-21D zostanie z powodzeniem przetestowana i wejdzie do służby operacyjnej, trafienie w ruchomy okręt na morzu nie będzie łatwe. Przede wszystkim dane o obiekcie muszą być dokładne i nieustannie aktualizowane – czy to w fazie przygotowania rakiet do startu, czy podczas wszystkich faz jej lotu. Satelitarne urządzenia elektrooptyczne mogą tego nie zapewnić, podobnie jak lądowe radary dalekiego zasięgu. Proces pozyskiwania danych o celu i przeprowadzania ataku musi być dopracowany i wdrożony jako procedura operacyjna, co wymaga wielu testów i odpowiedniego szkolenia.

METODY OBRONY

Żeby nie dopuścić do trafienia rakietą balistyczną w cel, najlepiej jest zastosować zakłócanie elektroniczne, zarówno lądowych stacji radiolokacyjnych, jak i urządzeń naprowadzających samej rakiety. W razie zagrożenia Amerykanie na pewno użyliby różnych metod zakłócenia pracy satelitów przeciwnika. Okręty US Navy mogłyby zastosować obronę pasywną w postaci pułapek – wabików odbijających promienie radarowe i emitujących promienie podczerwone.

Można też zniszczyć samą rakietę. Amerykanie mają do dyspozycji lądowy system przeciwbalistyczny THAAD (roz-mieszczony na Okinawie) oraz przenoszone przez niszczyciele rakiety przechwytyjące SM-3 systemu BMD. Prawdopodobieństwo zniszczenia rakiet balistycznej i jej głowicy w locie jest jednak niewielkie. PH



TADEUSZ WRÓBEL

Marzenie admirałów

Lotniskowce są największymi okrętami bojowymi, pozwalającymi prowadzić operacje militarne na odległych teatrach działań.

Państwo posiadające lotniskowce ma dzięki nim zapewnioną swobodę polityczną w podejmowaniu decyzji o rozpoczęciu działań bojowych oraz możliwość ich prowadzenia daleko od własnego terytorium. Doskonałym tego przykładem jest brytyjska operacja odzyskania w 1982 roku zajętych przez Argentynę Falklandów. Choć archipelag ten leży na południowym Atlantyku, tysiące mil morskich od Zjednoczonego Królestwa, a tylko kilkaset kilometrów od wybrzeży argentyńskich, dzięki lotniskowcom z samolotami Harrier Brytyjczycy zapewnili sobie panowanie w powietrzu nad wyspami. Pozwoliło im to wysadzić desant i odnieść zwycięstwo na lądzie.

Lotniskowce umożliwiają przeprowadzenie misji bojowej bez potrzeby ubiegania się o zgodę innych państw na użycie znajdujących się na ich terytoriach lotnisk. Jest to o tyle ważne, że niektóre kraje nie zawsze chcą jej udzielić. Tak było na przykład w wypadku amerykańskich ataków lotniczych na Libię, przeprowadzonych 15 kwietnia 1986 roku w ramach operacji „El Dorado Canyon”. Kilka europejskich państw odmówiło wówczas Amerykanom zgody nawet na przelot nad ich terytorium. W ak-

cji wykorzystano więc samoloty stacjonujące na lotniskowcach u wybrzeży Libii i bazujące w Wielkiej Brytanii. W 1983 roku z kolei maszyny z lotniskowca USS „Independence” wspierały amerykańską interwencję na karaibskiej wyspie Grenada.

Dlatego gdy w jakimś rejonie świata wzrasta napięcie, a jedną ze stron są Stany Zjednoczone, natychmiast zaczynają się pojawiać informacje o ruchach tych jednostek. Wystąpienie lotniskowca to często demonstracja siły i ostrzeżenie. W latach 1946–1975 amerykańskie okręty tej klasy wykorzystano w 106 na 177 przypadków, kiedy doszło do użycia siły z udziałem US Navy, a od stycznia 1976 roku do lipca 1986 roku było to odpowiednio 35 na 51 zdarzeń. Stała obecność lotniskowców w jakimś miejscu oznacza natomiast, że ma ono szczególne znaczenie dla państwa. I dlatego nie bez powodu Stany Zjednoczone zawsze utrzymują przynajmniej jeden lotniskowiec w rejonie Bliskiego Wschodu.

SIŁA W SKRZYDŁACH

Lotniskowiec to pływająca baza lotnicza, która zapewnia projekcję siły. Na jego pokładzie można przetransportować kilka



W WOJNIE O FALKLANDY DZIĘKI LOTNISKOWCOM Z SAMOLOTAMI **HARRIER** BRYTYJCZYCY ZAPEWNILI SOBIE PANOWANIE W POWIETRZU NAD WYSPAMI

dziesiąt samolotów bojowych w niemal każdy rejon świata z dostępem do morza i utrzymywać je tam przez wiele miesięcy. Kontrola przestrzeni powietrznej jest kluczem do sukcesu w innych działaniach militarnych – o charakterze lądowym i morskim. Dzięki stacjonującym na lotniskowcach samolotom można dokonywać uderzeń lotniczych w głębi wrogich terytoriów, gdy same okręty pozostają w bezpiecznej odległości od wybrzeży. W ich magazynach znajdują się pociski, bomby i rakiety, a w zbiornikach paliwo pozwalające samolotom na wielokrotne misje bojowe.

Zależnie od wielkości jednostki, na lotniskowcu może stacjonować od kilkunastu do około 70 samolotów i śmigłowców. Siłą uderzeniową są maszyny wielozadaniowe. Oczywiście prym wiodą okręty typu Nimitz. W ich skrzydle lotnictwa pokładowego są cztery eskadry bojowe na samolotach F/A-18E/F Super Hornet, a czasami też F/A-18C Hornet (razem ponad 50 maszyn). Zasięg tych pierwszych w misji myśliwskiej wynosi 420 mil morskich (około 778 kilometrów), a w uderzeniowej aż 490 (907,5 kilometra). Na 11 węzłach uzbrojenia pod skrzydłami i kadłubem F/A-18E/F mogą przenosić różnego typu rakiety i bomby, w tym kierowane, o masie ośmiu ton. Ponadto zasięg samolotów można zwiększyć, podwieszając, zamiast części uzbrojenia, do pięciu dodatkowych zbiorników paliwa.

Osiągi starszych i mniejszych F/A-18C są nieco gorsze. Samoloty te mogą przenosić na dziewięciu węzłach ponad sześć ton uzbrojenia lub dodatkowego paliwa.

Skuteczność Super Hornetów i Hornetów, ale też ich bezpieczeństwo, zwiększa obecność na jednostce pływającej maszyn wczesnego ostrzegania E-2C Hawkeye, których radary wykrywają przeciwnika, gdy jest on jeszcze w dużej odległości od okrętu. Na amerykańskich lotniskowcach znajdują się również

samoloty walki elektronicznej EA-18G Growler lub EA-6 Prowler. Potencjał bojowy skrzydła lotnictwa pokładowego US Navy jest zatem większy od tego, jakim dysponują całe siły powietrzne wielu państw świata.

Na innych dużych lotniskowcach, ze względu na rozmiary i rozwiązania konstrukcyjne, jest mniej maszyn bojowych niż na pokładach jednostek amerykańskich. I tak na pokładzie francuskiego „Charles’a de Gaulle’a” może być do 28 samolotów bojowych. Stacjonują na nim myśliwce Rafale M (mogą na 13 węzłach przenosić do 9,5 tony uzbrojenia lub dodatkowego paliwa) i starsze od nich, ale zmodernizowane maszyny Super-Étendard (mogą zabrać 2,1 tony uzbrojenia). Na rosyjskim lotniskowcu „Admirał Kuzniecow” będą 24 samoloty pokładowe MiG-29K, które mogą zabrać o kilka ton mniej uzbrojenia niż Rafale czy Hornety. Większy jest co prawda Su-33, ale Rosjanie zrezygnowali z używania go na lotniskowcu.

Bardzo popularnym pokładowym samolotem bojowym jest AV-8B Harrier II, który ma zdolność krótkiego i pionowego startu oraz lądowania. Jest mniejszy od F/A-18, MiG-29K czy Rafale M, ale może przenosić na sześciu węzłach do 4,2 tony uzbrojenia. W przyszłości AV-8B zostaną zastąpione przez maszyny jednej z wersji myśliwca piątej generacji F-35.

Zdarza się, że liczba i typy maszyn zależą od charakteru planowanej misji. Widać to na przykładzie hiszpańskiego okrętu projekcji strategicznej „Juan Carlos I”. Na jego pokładzie jest miejsce dla 19 samolotów AV-8B, gdy są planowane tylko działania powietrzne, lub 30 śmigłowców NH-90 czy 10 ciężkich śmigłowców CH-47 Chinook, jeśli ma być przeprowadzana operacja humanitarna bądź ewakuacyjna. Największą elastyczność w działaniach zapewnia okrętowi jednak „miks” z 11 samolotów AV-8B i tuzina NH-90. Dlatego każdy z amerykań-

SZTUKA LĄDOWANIA

SĄ TRZY SPOSOBY STARTU Z POKŁADÓW LOTNISKOWCÓW I DWA LĄDOWANIA NA NICH.



● Pierwsza metoda startowania to Catapult Assisted Take Off But Arrested Recovery (CATOBAR). Samolot korzysta przy starcie ze wspomagania katapulty, dzięki której osiąga wymaganą prędkość startową. Po takim starcie lądowanie odbywa się za pomocą aerofiniszera, czyli kilku grubych lin stalowych, zamocowanych w poprzek pokładu startowego do specjalnych tłumików hydraulicznych. Instaluje się je na wysokości co najmniej kilkunastu centymetrów. Pilot musi złapać linę wypuszczanym hakiem, który znajduje się w części ogonowej maszyny. Takie rozwiązanie jest stosowane na okrętach zbudowanych w USA i we Francji.

● Drugi sposób opuszczenia pokładu lotniskowca to Short Take Off But Arrested Recovery (STOBAR). Samolot startuje, wykorzystując moc własnych silników oraz tak zwaną skocznnię (ski jump), czyli podnoszący się w górę pokład w części dziobowej. Lądowanie natomiast też odbywa się z wykorzystaniem lin hamujących i haków. Rozwiązanie STOBAR jest na okrętach zbudowanych w Rosji, na indyjskim „Vikramaditya” i chińskim „Liaoning”.

● Kolejny sposób zarówno startowania, jak i lądowania jest określany jako Short Take Off and Vertical Landing (STOVL). Łączy się ze zdolnością niektórych samolotów do startowania z krótkich pasów i lądowania w miejscu. Samolot tak zwanego pionowego startu, na przykład AV-8B, może zabrać więcej uzbrojenia i paliwa. Lotniskowcami, na których jest stosowany STOVL, są jednostki zaprojektowane w Hiszpanii, we Włoszech, w Wielkiej Brytanii i USA (szturmowe desantowce).

skich szturmowych desantowców (z ciągłym pokładem startowym) zabiera zwykle sześć samolotów AV-8B i ponad 20 śmigłowców. Jeśli jednak wymaga tego misja, liczba AV-8B może być zwiększona nawet do 20 sztuk.

UDERZENIE GRUPOWE

Współczesne lotniskowce mają ograniczony potencjał defensywny. Zwykle są wyposażone w systemy obrony bezpośredniej – zestawy artyleryjskie, artyleryjsko-rakietowe (rakiety bardzo krótkiego zasięgu) lub rakietowe (krótkiego zasięgu) oraz śmigłowce zwalczania okrętów podwodnych. Są jednak pewne odstępstwa od tej reguły – jednostka rosyjska na przykład ma pociski przeciwokrętowe dalekiego zasięgu.

Ograniczona zdolność do samoobrony sprawia, że okręt lotniczy musi mieć silną eskortę. Oczywiście najpotężniejsza jest ona w wypadku amerykańskiego superlotniskowca. Zwykle jednostce typu Nimitz towarzyszy co najmniej jeden krążownik rakietowy, dwa lub trzy niszczyciele rakietowe (niekiedy też fregata), dwa myśliwskie atomowe okręty podwodne oraz okręt logistyczny. Razem tworzą one grupę bojową lotniskowca, która ma chronić go przed zagrożeniami z powierzchni morza, spod wody, z lądu i powietrza.

Eskortujące jednostki bojowe zwiększają potencjał uderzeniowy zespołu, ponieważ w ich arsenale (z wyjątkiem fregat) są pociski manewrujące Tomahawk, które mogą razić cele na lądzie odległe o 1300–1700 kilometrów. Krążownik i niszczyciele dysponują też raketami przeciwlotniczymi (część z nich może też zwalczać pociski balistyczne) średniego zasięgu, a ich sonary i śmigłowce pokładowe mają nie dopuścić do tego, by niepostrzeżenie do lotniskowca zbliżyła się wroga jednostka podwodna. To też zadanie towarzyszących mu okrętów pod-

wodnych. Dodatkowo siłę ofensywną grupy bojowej lotniskowca można wzmocnić przydzieleniem mu zespołu okrętów desantowych z jednostką piechoty morskiej.

W wypadku innych flot eskorta lotniskowców jest równie silna, choć nie mają one takich możliwości jak US Navy. Zwykle towarzyszą im niszczyciele i fregaty rakietowe, co najmniej jeden okręt podwodny i jednostka logistyczna. Lotniskowce są chronione, bo to najdroższe i najcenniejsze okręty. Ich budowa kosztuje miliardy euro, dolarów czy też funtów szterlingów. W zamian zapewniają szerokie zdolności bojowe, nieporównywalne z okrętami innych klas.

Grupa uderzeniowa lotniskowca ma potencjał bojowy wystarczający do przejęcia kontroli nad jakimś akwenem lub terenami nadbrzeżnymi. Taki zespół może też na przykład blokować cieśniny lub kanały, a na zamkniętych akwenach wewnętrznych, takich jak Bałtyk, morza Śródziemne i Czerwone czy Zatoka Perska, skutecznie sparaliżować działania strony przeciwniej. Lotniskowiec może też pełnić funkcję pływającego stanowiska dowodzenia podczas operacji militarnej lub humanitarnej. Takich jednostek używa się również do ewakuacji, zarówno wojskowych, jak i cywilów, tak jak to miało miejsce na przykład po upadku Sajgonu, stolicy Wietnamu Południowego.

Pojawiają się opinie, że epoka dominacji jednostek tej klasy dobiega końca, ponieważ można je zastąpić rozwiązaniami znacznie tańszymi. Jednym z nich mają być hipersoniczne statki powietrzne, służące do błyskawicznych uderzeń (w ciągu kilku godzin) na cele, do których dotarcie lotniskowcom zabiera wiele dni. Ponadto coraz większym zagrożeniem dla nich są pociski rakietowe z głowicami nuklearnymi, które mogą być wyrzuczone z lądu, morza lub powietrza (więcej na ten temat na stronie 20). Wydaje się jednak, że zapowiedzi te są przedwczesne. ■

PAWEŁ HENSKI

ATOMOWY FORD

Zwodowano najnowszy amerykański lotniskowiec o napędzie atomowym, USS „Gerald R. Ford”. Jest to pierwsza z trzech jednostek, które stopniowo będą zastępować te typu Nimitz.



W 1961 roku wszedł do służby USS „Enterprise” – pierwszy amerykański lotniskowiec o napędzie atomowym i pierwszy tego typu na świecie. Czternaście lat później wprowadzono USS „Nimitz” – pierwszy lotniskowiec nowego typu. W kolejnych latach Amerykanie zwodowali jeszcze dziewięć takich okrętów, a ostatni z nich – USS „George H.W. Bush” – wszedł do służby w styczniu 2009 roku. Mimo wielu modyfikacji i modernizacji możliwości technologiczne jednostek

tej klasy zostały wyczerpane i US Navy postanowiła zamówić nowe okręty. Pierwszą jednostką zupełnie nowej klasy będzie USS „Gerald R. Ford” (CVN-78).

FILOZOFIA TORU WYŚCIGOWEGO

To najdroższy lotniskowiec w historii. Budżet przeznaczony na jego budowę zamknie się w kwocie 12,9 miliarda dolarów, z czego około 4,7 miliarda pochłonęło opracowanie i wdrożenie najnowszych rozwiązań technologicznych. Dla porówna-

LOTNISKOWCE ATOMOWE USA



TYP ENTERPRISE

TYP GERALD R. FORD

TYP NIMITZ

USS „Enterprise” (CVN-65)

– wejście do służby:
listopad 1961 roku,
zakończenie służby:
1 grudnia 2012 roku.

USS „Nimitz” (CVN-68)

– wejście do służby: maj 1975 roku
USS „Dwight D. Eisenhower” (CVN-69)
– wejście do służby: październik 1977 roku
USS „Carl Vinson” (CVN-70)
– wejście do służby: marzec 1982 roku
USS „Theodore Roosevelt” (CVN-71)
– wejście do służby: październik 1986 roku
USS „Abraham Lincoln” (CVN-72)
– wejście do służby: listopad 1989 roku

USS „George Washington” (CVN-73)

– wejście do służby: lipiec 1992 roku
USS „John C. Stennis” (CVN-74)
– wejście do służby: grudzień 1995 roku
USS „Harry S. Truman” (CVN-75)
– wejście do służby: lipiec 1998 roku
USS „Ronald Reagan” (CVN-76)
– wejście do służby: lipiec 2003 roku
USS „George H.W. Bush” (CVN-77)
– wejście do służby: styczeń 2009 roku

USS „Gerald R. Ford” (CVN 78)

– planowane wejście do służby:
luty 2016 roku; zastąpi CVN-65
USS „John F. Kennedy” (CVN-79)
– planowane wejście do służby:
w 2022 roku; zastąpi CVN-68
USS „Enterprise” (CVN-80)
– planowane wejście do służby:
w 2027 roku; zastąpi CVN-69

JAK DZIAŁA EMALS?

KATAPULTA ELEKTROMAGNETYCZNA
EMALS MA LINEARNY SILNIK INDUKCYJNY (LIM), KTÓRY UŻYWA PRĄDU ELEKTRYCZNEGO DO BUDOWANIA PÓŁ MAGNETYCZNYCH.



Powstające pola magnetyczne napędzają wózek katapulty, poruszający się wzdłuż szyn-prowadnic. Gdy zaczyna płynąć prąd, silnik rozpędza wózek. Tylko induktory znajdujące się w jego bliskości są elektryzowane, aby uniknąć strat energii. EMALS w ciągu kilku sekund zużywa olbrzymią energię elektryczną – większą niż mogą dostarczyć nawet reaktory atomowe lotniskowca, dlatego ma własny, kinetyczny system jej gromadzenia.

Silnik indukcyjny ma długość 91 metrów i może rozpędzić od 0 do 240 kilometrów na godzinę ciężar o masie do 45 ton. Wytwarza energię rzędu 122 megadżuli – o 22 procent większą niż katapulta parowa, która osiąga około 95 megadżuli. W porównaniu z tą drugą, w elektromagnetycznej z większą precyzją można kontrolować siłę wyrzutu. Prędkość końcowa wózka katapulty może wynieść od 28 do 103 metrów na sekundę. ■

nia – całkowity koszt budowy ostatniego lotniskowca typu Nimitz wyniósł 6,5 miliarda dolarów. W stosunku do szacunków z 2008 roku budżet „Ford” został przekroczony już o 2 miliardy dolarów. W listopadzie 2009 roku położono stępkę, ale budowa nowego okrętu okazała się dużym wyzwaniem i cały projekt jest opóźniony co najmniej o pół roku. Chrzest jednostki odbył się 9 listopada 2013 roku, a wodowanie osiem dni później. Lotniskowiec jest ukończony w 70 procentach, jego wejście do służby zaplanowano na luty 2016 roku.

USS „Gerald R. Ford” został opracowany z użyciem najnowocześniejszych na świecie programów komputerowych do projektowania trójwymiarowego: CATIA oraz CAVE (wnętrza). Chociaż kształtem okręt trochę przypomina lotniskowce typu Nimitz, w rzeczywistości jest to zupełnie nowa konstrukcja. Ma 337 metrów długości, czyli jest o kilka metrów dłuższa niż poprzednie jednostki. Będzie też miała rekordową maksymalną wyporność 112 tysięcy ton.



Od okrętów typu Nimitz „Ford” najbardziej różni się kształtem oraz położeniem wyspy (tak zwanej superstruktury), która została zmniejszona i przesunięta o 30 metrów w kierunku rufy, w miejsce, gdzie w dotychczasowych lotniskowcach jest ulokowana jedna z czterech wind. Na wyspie wciąż będą się znajdować mostek i centrum zarządzania ruchem, a dowództwo operacji morskich (grupy lotniskowcowej) przeniesiono do specjalnego pomieszczenia pod pokładem. Drugą widoczną różnicą są tak zwane sponsony rufowe, czyli powiększone miejsca parkingowe dla samolotów na rufie. „Ford” ma trzy duże windy dla samolotów (zamiast czterech) – dwie znajdują się na prawej burcie, przed wieżą, a jedna naprzeciwko niej, na lewej burcie. Pod pokładem wydzielono miejsce na dwa duże hangary – wcześniej były trzy niższe.

Pokład lotniskowca został zaprojektowany tak, aby samoloty można było obsługiwać w najbardziej efektywny sposób. Położenie wyspy nie będzie kolidowało z ruchem na pokładzie zgodnie z tak zwaną filozofią toru wyścigowego. Na lotniskowcach typu Nimitz na wysokości wyspy ruch samolotów często się korkuje. Nowe rozwiązanie ma temu zapobiec i sprawić, że maszyny krócej będą przebywać w tak zwanych pit-stopach podczas tankowania i uzbrajania.

„Ford” będzie miał cztery napędzane elektromagnetycznie windy, służące do transportu amunicji oraz cargo. Zautomatyzowane taśmociągi pozwolą w bezpieczniejszy niż dotychczas sposób dostarczać uzbrojenie ze zbrojowni na pokład. Windy rozmieszczono w taki sposób, aby mogły transportować całe palety zaopatrzenia prosto do odpowiednich magazynów. Dzięki temu wyeliminowano problem uciążliwego rozpakowywania palet na pokładzie i transportowania towarów pod nim, przez cały okręt. Szacuje się, że nowe rozwiązanie przyczynią się do zwiększenia efektywności działania skrzydła bojowego o ponad 30 procent. W wypadku lotniskowców typu Nimitz możliwe jest wykonanie 120 samolotolotów dziennie, „Ford” pozwoli na przeprowadzenie nawet stu sześćdziesięciu.

ELEKTRYCZNOŚĆ VS. PARA WODNA

Serce lotniskowca „Gerald R. Ford” to dwa najnowsze reaktory atomowe typu A1B. Są mniejsze, o wiele prostsze w obsłudze od dotychczas używanych A4W i będą miały 104 megawaty mocy, czyli wyprodukują 2,5 razy więcej energii elektrycznej niż reaktory w jednostkach klasy Nimitz.

Nadwyżka energii będzie bardzo potrzebna, ponieważ „Ford” jest pierwszym lotniskowcem, w którym zastosowano Electromagnetic Aircraft Launch System (EMALS), czyli katapulty napędzane elektromagnesem, a nie parą wodną. Ten system zajmuje mniej miejsca, wymaga mniej prac konserwacyjnych i przeglądów, a ponadto jest bardziej niezawodny. Zbędne są kilometry rur i instalacji do tłoczenia pary wodnej. W EMALS z większą precyzją można kontrolować siłę wyrzutu. Pozwoli to na katapultowanie samolotów bez minimalnych wymagań wagowych, na przykład lekkich samolotów bezzałogowych i myśliwców F-35C (o maksymalnej masie startowej większej niż F/A-18E/F), i przy mniejszych wyma-

ganiach dotyczących wiatru czołowego. Z wykorzystaniem elektromagnesów działa również nowy system lin hamujących AAG. Opiera się na silnikach turboelektrycznych, które zastąpiły dotychczasowy system tłoków hydraulicznych.

Nadwyżka energii elektrycznej pozwoliła na wyposażenie „Ford” w nowy, dwupasmowy radar (DBR) o sześciu powierzchniach, który łączy w sobie wielofunkcyjny radar AN/SPY-3, pracujący w paśmie X, oraz radar VSR – w paśmie S. Trzy powierzchnie działające w paśmie X są odpowiedzialne za śledzenie i wskazywanie celów operujących na niskich pułapach, a pozostałe trzy odpowiadają za śledzenie i wskazywanie celów w każdych warunkach atmosferycznych.

WIĘKSZY KOMFORT

Zastosowanie nowych rozwiązań i najnowszych technologii pozwoliło na ograniczenie liczebności załogi. Na lotniskowcach takich jak „Nimitz” służy 3200 marynarzy i 2480 lotników skrzydła powietrznego, a na nowych będzie aż o 1200 marynarzy mniej przy takiej samej liczbie lotników. Cała załoga „Ford” będzie więc liczyła 4660 osób.

Redukcja ta oznacza mniejsze koszty eksploatacji lotniskowca. Szacuje się, że w ciągu całej służby wyniosą one około 4 miliardów dolarów.

Mniejsza załoga będzie służyła w o wiele bardziej komfortowych warunkach. Lotniskowiec ma bowiem małe, maksymalnie 30-osobowe, strefy mieszkalne, z własnymi łazienkami i prysznicami oraz dostępem do internetu i telewizji. Marynarze nie będą więc musieli biegać na drugi koniec okrętu, aby wziąć poranny prysznic. Inaczej zaprojektowano również mesy – został wyeliminowany problem „korkowania się” pokładu mesowego. Załoga będzie też miała do dyspozycji trzy duże sale gimnastyczne.

Lotniskowiec otrzymał również nowy system podgrzewania wody pitnej, który zastąpił dotychczasowy, parowy. Nowa klimatyzacja zapewni mniejsze zapylenie i wilgotność powietrza.

USS „Gerald R. Ford” to pierwszy lotniskowiec nowej klasy. Kolejnym ma być USS „John F. Kennedy” (CVN-79). Pierwotnie planowano, że wejdzie on do służby w 2018 roku, ale cięcia budżetowe sprawiły, że termin ten przesunięto o cztery lata. Będzie to drugi lotniskowiec nazwany na cześć prezydenta Kennedy’ego. Poprzedni – „John F. Kennedy” (CV-67) – był ostatnim amerykańskim lotniskowcem o napędzie klasycznym i służył w latach 1967–2007.

W grudniu 2012 roku US Navy ogłosiła, że trzeci lotniskowiec tego typu będzie się nazywał USS „Enterprise” (CVN-80), na cześć pierwszego amerykańskiego lotniskowca atomowego (CVN-65). „Wielki E”, nazywany tak ze względu na najdłuższy pokład ze wszystkich amerykańskich lotniskowców, zakończył służbę 1 grudnia 2012 roku. Spełniły się zatem oczekiwania wielu weteranów marynarki amerykańskiej, którzy od lat postulowali nazwanie kolejnego lotniskowca imieniem „Enterprise” lub nawet odejście od nadawania jednostkom tej klasy imion prezydentów albo osób związanych z US Navy. ■

**KOLEJNYM
LOTNISKOWCEM
ATOMOWYM
NOWEGO TYPU
PO „FORDZIE”
MA BYĆ
„JOHN
F. KENNEDY”.
TRZECIM ZAŚ
BĘDZIE
„ENTERPRISE”**



ŁUKASZ ZALESIŃSKI

Pływające miasto

Mieszka i pracuje tam około sześciu tysięcy osób. Są restauracje, sklepy, poczta i kompleks sportowy. Miasteczko? Nie do końca. To amerykański superlotniskowiec typu Nimitz.

Czy taki okręt można porównać z jakąkolwiek inną jednostką pływającą? „Myślę, że nie. Prędkiej z małym miastem”, podkreśla kapitan marynarki Piotr Wojtas z 3 Flotylli Okrętów w Gdyni. Jeszcze w trakcie studiów był na pięciodobnych praktykach w Norfolk. Tam właśnie miał okazję wejść na pokład USS „Enterprise”, jednego z lotniskowców amerykańskiej marynarki wojennej. I przyznaje, że okręt wywarł na nim niezapomniane wrażenie. „Aby zdać sobie sprawę z jego skali, wystarczy przywołać pierwszy z brzegu przykład”, zaznacza. „Dowódcy okrętów, z którymi mamy do czynienia na co dzień, zwykle kierują poczynaniami kilkudziesięciu marynarzy, w wypadku fregaty dwustoma. By dobrze pełnić swoją funkcję, muszą od podszewki poznać nie tylko samą jednostkę, lecz także swoich ludzi. Tylko dowódcy wiedzą, jak bardzo czasochłonny i skomplikowany to proces. Tymczasem załoga lotniskowca liczy blisko sześć tysięcy osób”.

Podobnie wypowiadał się prezydent Bronisław Komorowski, który we wrześniu 2013 roku wizytował jednostkę USS „Theodore Roosevelt”: „Na tym samym lotniskowcu byłem 21 lat temu jako wiceminister obrony narodowej. Pomyślałem wtedy, że bardzo dobrze byłoby mieć tak silnego sojusznika. Dziś jestem tutaj ponownie i myślę sobie, że dobrze, iż go mamy”.

ĆWIERĆ WIEKU NA MORZU

Historia lotniskowców sięga drugiej dekady XX wieku. Początkowo powstawały one na bazie odpowiednio przebudowanych krążowników (na przykład brytyjski „Furious”) lub statków pasażerskich (amerykański „Langley”). Kolejne jednostki były coraz bardziej zawansowane technologicznie,

a ich znaczenie rosło. Dziś lotniskowce są jednym z najbardziej widocznych symboli morskiej potęgi państwa. Na ich posiadanie mogą sobie pozwolić nieliczni. Dwa tego typu okręty mają Włochy, po jednym Francja, Rosja, Wielka Brytania, Brazylia i Indie. Amerykanie mają ich aż dziesięć i są to największe na świecie lotniskowce typu Nimitz.

Ich ogrom najlepiej obrazują porównania przytoczone w jednym z telewizyjnych programów, którego „bohaterem” był okręt USS „Theodore Roosevelt”. Otóż jednostka ma 333 metry długości, czyli półtora razy więcej niż warszawski Pałac Kultury i Nauki – rzecz jasna, gdyby położyć go płasko. Wysokość od stępki do szczytu znajdującej się na pokładzie nadbudówki jest równa wysokości 24-piętrowego budynku. Waga okrętu to 86 tysięcy ton, czyli mniej więcej tyle, ile waga w sumie dwa tysiące wyładowanych po brzegi tirów. Na lotniskowcu zostały rozprowadzone przewody i kable o łącznej długości przekraczającej 2,5 tysiąca kilometrów, a liczba żarówek sięga 30 tysięcy. Napęd lotniskowca stanowią dwa reaktory o mocy 208 megawatów – podobną osiąga na przykład elektrownia w Chorzowie. Okręt ma 18 pokładów, może pływać przez 25 lat bez przerwy, a zgromadzone na pokładach zapasy pozwalają mu przetrwać w morzu bez jakichkolwiek dostaw z zewnątrz przez 90 dni.

W rozmieszczonych pod pokładem hangarach zwykle znajduje się około 90 samolotów (w skrajnych wypadkach ich liczba może zostać zwiększona do 130). Do tego dochodzą wyrzutnie rakiet i działka, żeby bronić okrętu przed atakiem, choć i tak trzeba pamiętać, że lotniskowiec zazwyczaj porusza się w grupie uderzeniowej. Składają się na nią fregaty, niszczyciele i okręty podwodne. Najważniejsi są jednak ludzie.



Na lotniskowcu typu Nimitz, jako się rzekło, jest ich około sześciu tysięcy, czyli tylko nieco mniej niż stałych mieszkańców Szklarskiej Poręby, a sporo więcej niż na przykład mieszkańców Karpacza. Ponad połowa to marynarze, a niespełna trzy tysiące zalicza się do personelu lotniczego. Wśród nich są piloci, mechanicy oraz żołnierze odpowiedzialni za obsługę pasa startowego.

Samoloty są wyciągane spod pokładu za pomocą czterech dźwigów. Start zawsze odbywa się przez dziób. Na jego końcu znajdują się specjalne katapulty, które wyrzucają pędzącą maszynę w powietrze. Do lądowania odrzutowce podchodzą od strony rufy. Tam został zamontowany tak zwany aerofinisher – to stalowe liny, które pozwalają wyhamować samolot. Pilot musi zaczepić o nie zamontowanym u dołu maszyny hakiem.

Choć lotniskowiec jest ogromny, na pasie startowym zwykle panują ścisk i napięcie. Nawet drobny błąd może spowodować katastrofę. Dlatego właśnie obsługa musi działać według ściśle określonych i po tysiącokrotnie ćwiczonych schematów. Podział ról znajduje odzwierciedlenie w kolorach kombinezonów. Ludzie odpowiedzialni za paliwo są ubrani na fioletowo, specjaliści od organizacji ruchu na pasie – na żółto. Stroje żołnierzy zajmujących się uzbrajaniem i rozbrajaniem samolotu mają kolor czerwony, a kombinezony obsługi technicznej – zielony. Kolor biały oznacza osoby z personelu medycznego, zaś niebieski ludzi, którzy obsługują dźwigi. Podczas operacji związanej ze startami i lądowaniami samolotów górny pokład mieni się zatem barwami. „Balet”, mówią marynarze i lotnicy.

W LABIRYNCIE

Służba na lotniskowcu jest żmudna i monotonna. To nie kolorowa migawka, jaką można zobaczyć w mediach. Marynarze podpisują kilkuletnie kontrakty. „Po pierwszym definitywnie odchodzi 80 procent – przyznał w jednym z wywiadów porucznik Dan Cimmino, oficer do spraw wychowania i dyscypliny na okręcie USS „Harry S. Truman”. Za to ci, którzy podpisują kolejny kontrakt, zostają już na długo. Doskonałym argumentem okazują się wysokie zarobki, ulgi podatkowe i rozbudowany pakiet socjalny.

Jak się żyje na lotniskowcu? Przede wszystkim trzeba przyswoić trudną sztukę poruszania się w płataninie korytarzy, schodów, włazów, drabinek i wszelakich pomieszczeń. Także tutaj marynarze kierują się żelazną zasadą obowiązującą na każdym okręcie: „jeśli nie wiesz, do czego służy jakaś dzwignia, przekładnia, włącznik czy pokrętko, lepiej tego nie ruszaj, bo możesz coś zepsuć, a wtedy narazisz siebie i nas na nieliche problemy”.

Poza tym, jeśli służysz na lotniskowcu, musisz na długie miesiące zrezygnować z prywatności. Marynarze i personel lotniczy śpią we wspólnych, często sześćdziesięcioosobowych salach. Na „Trumanie” są tylko trzy miejsca, w których można palić papierosy, a alkohol jest ściśle reglamentowany: raz na półtora miesiąca marynarz dostaje dwie puszki piwa.

Na lotniskowcu trzeba też przygotować się na harówkę. Służba trwa tutaj po 16–18 godzin na dobę.

Tymczasem oficerowie związani z okrętami tego typu przyznają, że jest na nich absolutnie wszystko, czego człowiek potrzebuje do życia. Na lotniskowcu typu Nimitz znajdziemy zatem pocztę (każdy z okrętów ma nawet swój własny



**CHOĆ
LOTNISKOWIEC
JEST OGROMNY,
NA PASIE
STARTOWYM
ZWYKLE PANUJE
ŚCISK. NAWET
DROBNY BŁĄD
MOŻE
SPOWODOWAĆ
KATASTROFĘ**





Każdego dnia na lotniskowcu jest wydawanych 18 tysięcy posiłków, marynarze i lotnicy wypijają 2300 litrów mleka, zjadają około 700 bochenków chleba, a stacje odsalania uzdatniają 700 tysięcy litrów wody.



U.S. NAVY (4)

kod), salony fryzjerskie, restauracje, bary szybkiej obsługi, piekarnie, pralnie, sklepy, siłownię, salę gimnastyczną i bibliotekę. Na wieżach czekają kaplica i pięciu kapłanów różnych wyznań. Z myślą o spragnionych rozrywki i informacji powstały wewnętrzne stacje radiowa i telewizyjna. Na okręcie jest wydawana też gazeta codzienna. Marynarze i lotnicy mogą korzystać z Internetu oraz z budek telefonicznych.

NARZĘDZIE ODSTRASZANIA

Budowa i użytkowanie lotniskowca pochłaniają krocie. Budowa USS „Roosevelt” wraz z późniejszymi modernizacjami

pochłonęła trzy miliardy dolarów. Każda doba jego działania w morzu to koszt miliona dolarów. Amerykańscy wojskowi przekonują jednak, że to dobrze wydane pieniądze.

Lotniskowce to fantastyczne narzędzie walki, ale też odstraszania. Nic zatem dziwnego, że gdy w jakimś regionie świata sytuacja staje się napięta, a interes Stanów Zjednoczonych może być zagrożony, w Białym Domu zwykle pada pytanie: „Gdzie mamy najbliższy lotniskowiec?”

Korzystałem ze strony internetowej US Navy, reportażu TVN 24 pt. „Miasto na morzu”, relacji z pokładu USS „Harry S. Truman” autorstwa Krzysztofa Darewicza ze strony www.rp.pl

PIOTR STOKARSKI

Od balonu do atomu

Współczesne lotniskowce należą do grupy jednostek, które są określane jako okręty lotnicze.

Pierwszymi morskimi jednostkami lotniczymi były okręty balonowe. Zaczęto ich używać od połowy XIX wieku. Z pokładów wypuszczano balony obserwacyjne. Wraz z pojawieniem się samolotów na pływakach skonstruowano nową klasę tych jednostek – okręty bazy wodnosamolotów. Za pierwszy uważa się przebudowany francuski balonowiec „Foudre”, ale to Japończycy są prekursorami w operacyjnym wykorzystaniu transportowców wodnosamolotów. Jesienią 1914 roku, podczas oblężenia przez siły japońsko-brytyjskie kontrolowanego przez Cesarstwo Niemieckie chińskiego portu Qingdao, cztery wodnosamoloty z okrętu „Wakamiya” bombardowały cele lądowe oraz jednostki pływające. Od tego momentu podobne maszyny pojawiały się na pokładach dużych okrętów bojowych – pancerników, krążowników liniowych i krążowników. Choć próbne starty i lądowania z tymczasowych drewnianych platform amerykańska marynarka wojenna przeprowadziła jeszcze przed wybuchem wielkiej wojny, prace nad okrętami ze stałym pokładem startowym rozpoczęły się dopiero w jej trakcie. I to po drugiej stronie Atlantyku.

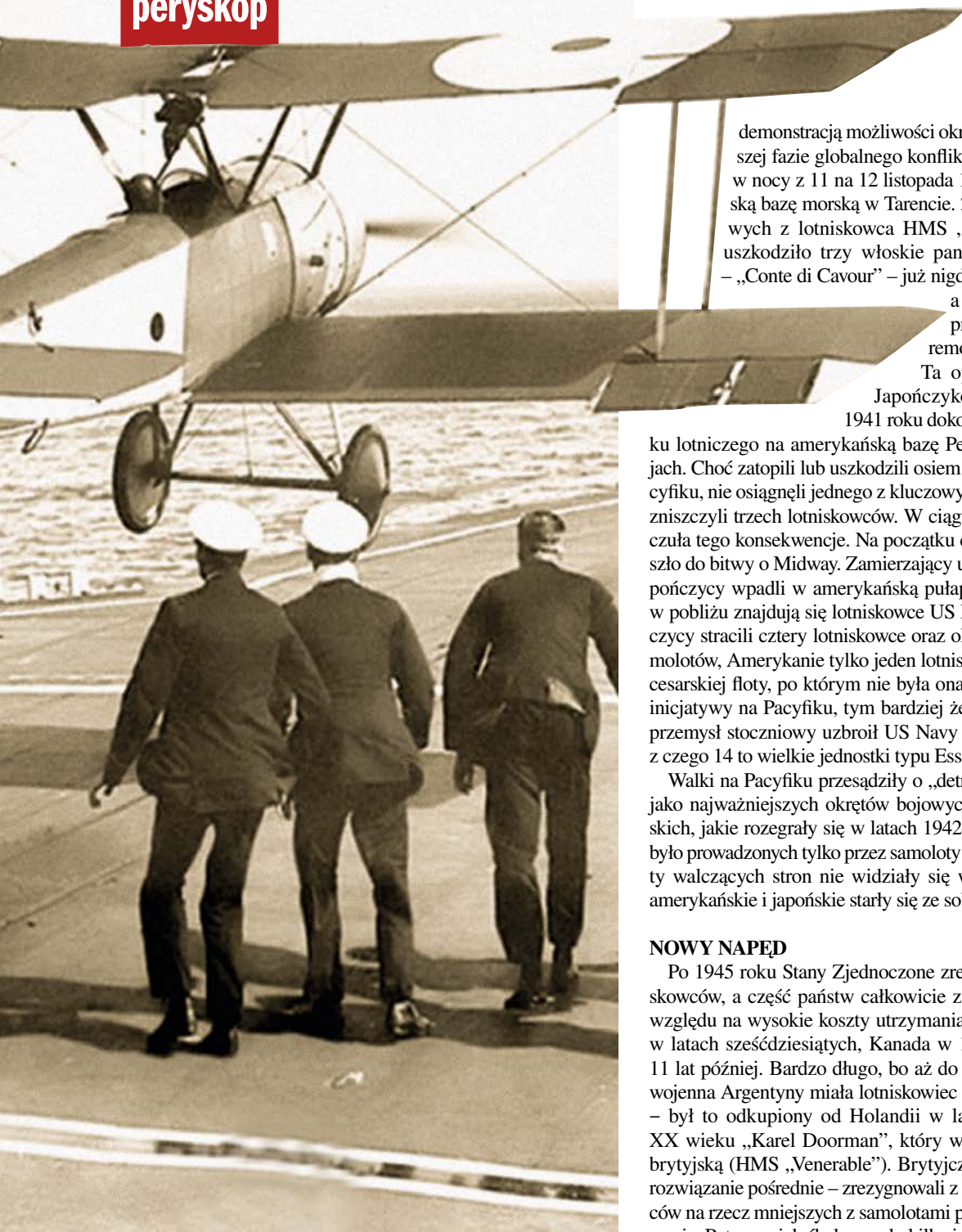
HMS „Argus”, pierwszy lotniskowiec z pokładem startowym wzdłuż całej długości okrętu, od dziobu do rufy, i hangarem znajdującym się pod nim (100,6 metra długości i szerokości 14,6–20,7 metra) wszedł do służby w brytyjskiej marynarce wojennej we wrześniu 1918 roku. Zbudowano go na bazie kadłuba włoskiego parowca pasażerskiego „Conte Rosso”. Okręt był przeznaczony dla 15–18 samolotów. Przed „Argusem”, już w czerwcu 1917 roku, do służby w Royal Navy przyjęto lotniskowiec „Furious”. W 1915 roku rozpoczęto budowę krążownika liniowego, ale w trakcie prac zmieniono jego przeznaczenie. Z pokładu usunięto wieże artylerii głównej, najpierw dziobową, a później rufową, i zastąpiono je pokładami startowymi. Zachowano jednak nadbudówki. Dopiero w latach dwudziestych XX wieku dokonano kompletnej rekonstrukcji tego okrętu i stworzono ciągły pokład lotniczy o długości 175,6 metra (długość całkowita okrętu wynosiła 239,8 metra). „Furious” uczestniczył w niewielu misjach bojowych, ponieważ traktowano go jako jednostkę eksperymentalną.



Sierżant E.H.Dunning
2 sierpnia 1917 roku
przeprowadza
pierwsze lądowanie
na poruszającym się
okręcie
HMS „Furious”.

W 1918 roku Brytyjczycy rozpoczęli prace nad trzecim lotniskowcem, „Eagle”. Tym razem odkupili i przebudowali nieukończony chilijski pancernik „Almirante Cochrane”.

Przełomem w tego typu konstrukcjach było podjęcie w styczniu 1918 roku budowy „Hermesa”, pierwszego okrętu na świecie, który zaprojektowano specjalnie jako lotniskowiec. W latach dwudziestych XX wieku Japończycy, Amerykanie, Francuzi i Brytyjczycy budowali swe lotniskowce na bazie kadłubów nieukończonych dużych okrętów bojowych lub przebudowywali już istniejące jednostki. Wpływ na to miał traktat waszyngtoński z 1922 roku o ograniczeniu zbrojeń na morzu. Budowa lotniskowców była sposobem na zago-



demonstracją możliwości okrętów tej klasy w pierwszej fazie globalnego konfliktu był przeprowadzony w nocy z 11 na 12 listopada 1940 roku atak na włoską bazę morską w Tarenzie. 21 samolotów torpedowych z lotniskowca HMS „Illustrious” poważnie uszkodziło trzy włoskie pancerniki. Jeden z nich – „Conte di Cavour” – już nigdy nie wrócił do służby, a dwa pozostałe musiały przejść wielomiesięczne remonty.

Ta operacja zainspirowała Japończyków, którzy 7 grudnia 1941 roku dokonali zmasowanego ataku lotniczego na amerykańską bazę Pearl Harbour na Hawajach. Choć zatopili lub uszkodzili osiem pancerników Floty Pacyfiku, nie osiągnęli jednego z kluczowych celów operacji – nie zniszczyli trzech lotniskowców. W ciągu pół roku Japonia odczuła tego konsekwencje. Na początku czerwca 1942 roku doszło do bitwy o Midway. Zamierzający uderzyć na tę wyspę Japończycy wpadli w amerykańską pułapkę – nie wiedzieli, że w pobliżu znajdują się lotniskowce US Navy. W bitwie Japończycy stracili cztery lotniskowce oraz około ćwierć tysiąca samolotów, Amerykanie tylko jeden lotniskowiec. To był cios dla cesarskiej floty, po którym nie była ona zdolna do odzyskania inicjatywy na Pacyfiku, tym bardziej że potężny amerykański przemysł stocznioowy uzbroił US Navy w setkę lotniskowców, z czego 14 to wielkie jednostki typu Essex.

Walki na Pacyfiku przesądziły o „detronizacji” pancerników jako najważniejszych okrętów bojowych. Wiele z bitew morskich, jakie rozegrały się w latach 1942–1945 na tym oceanie, było prowadzonych tylko przez samoloty z lotniskowców, a okręty walczących stron nie widziały się wzajemnie. Pancerniki amerykańskie i japońskie starły się ze sobą tylko dwukrotnie.

NOWY NAPEŁ

Po 1945 roku Stany Zjednoczone zredukowały liczbę lotniskowców, a część państw całkowicie z nich zrezygnowała ze względu na wysokie koszty utrzymania – Holandia zrobiła to w latach sześćdziesiątych, Kanada w 1971 roku, a Australia 11 lat później. Bardzo długo, bo aż do 1999 roku, marynarka wojenna Argentyny miała lotniskowiec „Veinticinco de Mayo” – był to odkupiony od Holandii w latach sześćdziesiątych XX wieku „Karel Doorman”, który wcześniej był jednostką brytyjską (HMS „Venerable”). Brytyjczycy natomiast przyjęli rozwiązanie pośrednie – zrezygnowali z klasycznych lotniskowców na rzecz mniejszych z samolotami pionowego startu i lądowania. Potem w ich ślady poszło kilka innych państw.

Okres powojenny to czas zmian w konstrukcji lotniskowców. Największą było wprowadzenie napędu atomowego. Pojawienie się cięższych samolotów odrzutowych wymusiło opracowanie nowych sposobów ich startu z pokładu. Skonstruowano wspomagające katapulty i skocznie. Nowum były wspomniane maszyny pionowego startu i lądowania, które mogły operować z mniejszych jednostek, a zatem tańszych. Interesującym rozwiązaniem były sowieckie krążowniki lotnicze typu Kijów. Zbudowane w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych miały pokład lotniczy o długości około 180 metrów oraz potężne uzbrojenie artyleryjsko-rakietowe. Przenosiły do 22 statków powietrznych, w tym samoloty myśliwsko-szturmowe pionowego startu i lądowania Jak-38 oraz śmigłowce. ■

spodarowanie nadwyżkowych pancerników, krążowników liniowych i krążowników.

CZAS WIELKIEJ PRÓBY

W okresie międzywojennym trwał spór o miejsce i rolę lotniskowców w działaniach morskich. Wielu starszych oficerów flot wojennych widziało je jedynie jako jednostki pomocnicze, wykonujące zadania na rzecz pancerników i krążowników liniowych, które uznawano za trzon sił morskich. Ów spór trwał do wybuchu II wojny światowej.

Na europejskim teatrze działań brytyjskie lotniskowce w czasie tego konfliktu walczyły ze zmiennym szczęściem. Najlepszą

TADEUSZ WRÓBEL

Japończycy zbudowali podczas II wojny światowej okręty podwodne, które miały dostarczyć w pobliże wybrzeży USA wodnosamoloty bombowo-torpedowe.

PODWODNE LOTNISKOWCE

Naukowcy z Hawaii Undersea Research Laboratory poinformowali, że w trakcie podmerskich badań ich pojazd „Pisces V” natknął się na wrak japońskiego okrętu podwodnego z II wojny światowej. Jednostkę odkryto 1 sierpnia 2013 roku w pobliżu wyspy O’ahu, ale informację o tym upubliczniono na początku grudnia, po wcześniejszych konsultacjach z Departamentem Stanu i władzami Japonii. Badacze ustalili, że to szczątki I-400, pierwszej jednostki typu Sen Toku. Bliźniaczy okręt, I-401, naukowcy z Hawajów namierzili 17 marca 2005 roku w pobliżu Barbers Point.

Admirał Isoroku Yamamoto, głównodowodzący Połączoną Flotą, która była trzonem Japońskiej Cesarskiej Marynarki Wo-

jennej, tuż po przystąpieniu Japonii do II wojny światowej po stronie Niemiec i Włoch postanowił przenieść działania wojenne w okolice Stanów Zjednoczonych. Idea admirała miała zostać zrealizowana dzięki potężnym okrętom podwodnym wyposażonym w wodoszczelne hangary dla samolotów.

Na początku 1942 roku Yamamoto przedstawił koncepcję zbudowania floty 18 jednostek o wielkim zasięgu (mogły wykonać trzy rejsy w pobliże zachodniego wybrzeża USA bez potrzeby uzupełniania paliwa lub jeden dookoła świata). Każda miała transportować co najmniej dwa wodnosamoloty zdolne do przeniesienia torpedy lub 800-kilogramowej bomby lotniczej. Plany okrętu były gotowe w połowie marca 1942 roku, ale budowa

MANKAMENTY KONSTRUKCJI: OKRĘTY TYPU I-400, CHOĆ IMPONUJĄCE, NIE BYŁY BEZ WAD.

Z względu na rozmiary oraz potężny hangar z kioskiem miały dużą sygnaturę radarową, co czyniło je łatwo wykrywalnymi przez wyposażone w sprzęt radiolokacyjny samoloty. Inne mankamenty to powolne zanurzenie, trwające prawie minutę, oraz możliwość zejścia pod wodę tylko na niewielką głębokość, mniejszą niż wynosiła długość I-400. Pojawiły się również problemy z manewrowaniem tak wielką jednostką.

Podobnie jak w przypadku innych japońskich okrętów podwodnych, zignorowano też potrzeby załogi. Choć jednostki typu I-400 miały przebywać w morzu ponad trzy miesiące, nie było na nich chłodni do przechowywania żywności, co miało wpływ na marynarską dietę. Brakowało też miejsca do spania, a toalety nie działały najlepiej. Co dziwniejsze, nie przewidziano klimatyzacji, choć okręty miały operować w wodach tropikalnych.



NARA

pierwszej jednostki, I-400, ruszyła 18 stycznia 1943 roku w stoczni w Kure. Kluczowym wydarzeniem dla tego programu była śmierć Yamamoto (zginął 18 kwietnia 1943 roku w samolocie zestrzelonym przez amerykańskie myśliwce P-38 Lightning – więcej na ten temat na stronach 98–102). Najpierw ambitne plany budowy 18 potężnych podwodnych lotniskowców zredukowano o połowę. Później zdecydowano się na pięć jednostek, ale ostatecznie postanowiono ograniczyć projekt do trzech.

HANGAR POD WODĄ

Charakterystycznym elementem zewnętrznym konstrukcji okrętu typu Sen Toku był cylindryczny wodoszczelny hangar na

śródkreściu o długości 31 metrów i średnicy 3,5 metra. Jego dach był podzielony na dwie części przez kiosk. Wewnątrz hangaru można było zmieścić trzy złożone wodnosamoloty typu Aichi M6A1 Seiran. Po zmontowaniu i uzbrojeniu maszyny te miały startować z 26-metrowej katapulty, zajmującej dziobową część pokładu. Po wykonaniu misji lądowałyby na pływakach, a później za pomocą żurawia byłyby podejmowane na pokład.

Nowością konstrukcyjną w I-400 był podwójny kadłub, podzielony wewnątrz na osiem przedziałów. Aby wyciszyć wnętrze okrętu i rozpraszać impulsy wrogich sonarów, kadłub od linii wodnej do kilu został pokryty specjalną powłoką, która była mieszaniną gumy, azbestu i różnego rodzaju klejów.



Okręt typu Sen Toku miał trzy radary. Jednym z nich był Mark 3 model 1 z dwiema odrębnymi antenami, mogący wykrywać samoloty w promieniu 80 kilometrów. Jednostkę wyposażono też w system demagnetyzacyjny. I-400 miał dwa ponad 12-metrowej długości peryskopy niemieckiej produkcji, a na I-401 zamontowano również sprowadzone z Niemiec chrapy, hydraulicznie podnoszone urządzenie, pozwalające okrętowi pobierać powietrze w zanurzeniu na głębokości peryskopowej. W okrętowej maszynie umieszczono cztery silniki Diesla, każdy o mocy 2250 koni mechanicznych, oraz dwa elektryczne. Napęd w I-400 umożliwiał rozwinięcie prędkości 18–19 węzłów na powierzchni i 6,5 węzła w zanurzeniu (według niektórych źródeł 12). Paliwa w zbiornikach miało wystarczyć do wykonania półtora okrążenia Ziemi. Japończycy mieli zatem broń, którą mogli zaatakować cele na obu wybrzeżach Stanów Zjednoczonych.

Choć główną bronią I-400 miały być wodnosamoloty, okręt wyposażono również w osiem dziobowych wyrzutni torpedowych kalibru 533 milimetrów i 20 torped oraz silne uzbrojenie artyleryjskie. Na hangarze umieszczono trzy stanowiska potrójnych armat przeciwlotniczych typu 96 kalibru 25 milimetrów, dwa z tyłu kiosku i jedno przed nim. Dodatkowo za mostkiem znalazła się jeszcze pojedyncza armata 25-milimetrowa, a na pokładzie rufowym, za hangarem, armata typu 11, kalibru 140 milimetrów z lufą o długości 40 kalibrów (5,6 metra) o zasięgu ognia 15–16 kilometrów.

Konieczność spełnienia wyśrubowanych wymagań dotyczących zasięgu pływania oraz liczby transportowanych samolotów spowodowała, że jednostka miała, jak na owe czasy, gigantyczne rozmiary. Długość japońskiego okrętu wynosiła prawie 122 metry, a jego wyporność przekraczała 6500 ton. Były to największe jednostki podwodne, które powstały przed pojawieniem się tych z napędem atomowym.

ZMIENNE CELE

Gdy koncepcja admirała Yamamoto nabierała realnych kształtów, Japonia odnosiła kolejne sukcesy w wojnie z aliantami. Do połowy 1942 roku opanowała należące do USA Filipiny oraz wyspy Guam i Wake, brytyjskie Malaje (wraz z Singapurem), Birmę i Hongkong oraz Holenderskie Indie Wschodnie (dzisiejsza Indonezja). W lipcu tegoż roku japońska armia rozpoczęła też ofensywę na Nowej Gwinei – ostatecznym celem była Australia.

Gdy kładziono stępkę pod pierwszy z okrętów typu I-400, sytuacja geostrategiczna w rejonie Pacyfiku się zmieniła. Czas błyskawicznych zwycięstw Japonii należał do przeszłości. Cesarska flota poniosła porażkę w bitwie o Midway, a na Nowej Gwinei armia została powstrzymana i zmuszona do odwrotu. Japończycy musieli też uznać się za pokonanych w bitwie o Guadalcanal. Teraz inicjatywę przejęli alianci.

Według planów admirała Yamamoto samoloty miały zaatakować z pokładu I-400 cele na terytorium USA. W nowej sytuacji wojennej dwaj oficerowie japońskiej marynarki wojennej – Chikao Yamamoto i Yasuo Fujimori – zaproponowali już latem 1943 roku, by zniszczyć wrota słuz na Kanale Panamskim. Tym samym zostałby przerwany najkrótszy szlak morski łączący oba wybrzeża Stanów Zjednoczonych, który ułatwiał Amerykanom przerzut okrętów i wojsk. Przygotowania do takiej operacji rozpoczęły się jednak dopiero po ponad roku. Japońskie dowództwo postanowiło wysłać z tą misją I-400

BYŁY TO NAJWIĘKSZE OKRĘTY PODWODNE PODCZAS II WOJNY ŚWIATOWEJ

i I-401 oraz dwa mniejsze podwodne lotniskowce typu AM, I-13 i I-14, które miały na pokładzie po dwa Seirany. Nalot wykonałoby więc dziesięć samolotów.

Po analizie planów konstrukcyjnych kanału japońscy specjaliści wojskowi uznali, że lepsze efekty może przynieść uderzenie po jego atlantyckiej stronie. Wyznaczony na dowódcę operacji komandor Tatsunosuke Ariizumi stwierdził natomiast, że szansa na sukces będzie większa, gdy piloci przeprowadzą atak w stylu kamikadze niż konwencjonalne bombardowanie.

Sytuacja na froncie (upadek Okinawy) znowu przyniosła zmianę planów. Japońskie dowództwo zrezygnowało z ataku na śluz Kanału Panamskiego, a jako nowy cel dla zgrupowania podwodnych lotniskowców został wyznaczony atol Ulithi w archipelagu Karolinów – zamierzano uderzyć na znajdujące się tam amerykańskie okręty, głównie lotniskowce. Samoloty Seiran, których piloci mieli przeprowadzić samobójczą misję, zostały przemalowane na kolor srebrny i otrzymały amerykańskie oznaczenia.

Pierwszy atak na atol zaplanowano na 17 sierpnia 1945 roku, ale 16 lipca amerykańskie samoloty Avenger uszkodziły okręt I-13, który następnie niszczyli eskortowy USS „Lawrence C. Taylor” zatopił bombami głębinowymi. Ponadto kilka dni przed planowanym atakiem na atol Amerykanie zrzućili bomby atomowe – 6 sierpnia na Hiroszimę

PRĘDKOŚĆ – 18,7 WĘZŁA (NA POWIERZCHNI), 6,5 WĘZŁA (W ZANURZENIU)
ZASIĘG PŁYWANIA – 37 500 MİL MORSKICH Z PRĘDKOŚCIĄ 14 WĘZŁÓW

DŁUGOŚĆ – 121,92 METRA

ZANURZENIE – 7,01 METRA

GŁĘBOKOŚĆ ZANURZENIA – 100 METRÓW

SZEROKOŚĆ – 12,01 METRA

WYPORNOŚĆ – 6670 TON

I-400 SEN TOKU

NAPĘD – CZTERY SILNIKI DIESLA O MOCY 1680 KILOWATÓW, DWA SILNIKI ELEKTRYCZNE O MOCY 1600 KILOWATÓW

WEWNĄTRZ HANGARU MOŻNA BYŁO ZMIEŚCIĆ TRZY ZŁOŻONE WODNOSAMOLOTY TYPU AICHI M6A1 SEIRAN

JAPOŃSKIE REKORDY

Choć w czasie II wojny światowej najwięcej okrętów podwodnych miała Trzecia Rzesza, to spośród 56 jednostek o wyporności ponad 3000 ton, aż 52 pływały pod japońską banderą. W Japonii powstały wszystkie z 39 zbudowa-

nych do 1945 roku okrętów, których moc napędu spalinowo-elektrycznego przekraczała 10 tysięcy koni mechanicznych, oraz 57 najszybszych jednostek podwodnych, rozwijających na powierzchni prędkość ponad 23 węzłów. Przed zakończeniem wojny zbudowano pierwsze cztery, które rozwijały prędkość 19 węzłów

w zanurzeniu (eksperymentalna jednostka z końca lat trzydziestych XX wieku osiągnęła 21 węzłów). Podobną zdolność miało 78 japońskich miniaturowych jednostek. W Kraju Kwitnącej Wiśni powstało aż 65 okrętów podwodnych, których zasięg pływania wynosił 20 tysięcy mil morskich.

i 9 sierpnia na Nagasaki – co zmusiło Japonię do kapitulacji. Operację „Arashi” (górska burza) zatem odwołano.

SMUTNY KONIEC

22 sierpnia 1945 roku załogi japońskich okrętów dostały rozkaz, aby zniszczyć całe uzbrojenie. Torpedy wystrzelono, a samoloty zrzucono do morza. W ręce Amerykanów wpadły 24 japońskie okręty podwodne, w tym trzy typu Sen Toku. I-400 poddał się 28 sierpnia niszczycielom USS „Blue” i „Mansfield”, a pod koniec miesiąca podwodny USS „Segundo” przejął I-401. I-402, który przerobiono w podwodny zbiornikowiec mający przewozić do Japonii ropę naftową z Azji Południowo-Wschodniej, wszedł do służby dopiero 27 lipca 1945 roku, a 11 sierpnia został uszkodzony w ataku lotniczym na bazę morską Kure.

Amerykanie nic wcześniej nie wiedzieli o japońskich gigantach. Tak byli zaskoczeni tym odkryciem, że I-400 i I-401 zna-

lazły się grupie pięciu zdobycznych okrętów podwodnych, które postanowiono poddać szczegółowym badaniom. Konstrukcje chciał też poznać Związek Sowiecki, który powoływał się na wcześniejsze uzgodnienia z czasów wojny. Tymczasem drogi dotychczasowych sojuszników rozchodziły się coraz bardziej. Amerykanie w marcu 1946 roku postanowili, że wszystkie zdobyczne japońskie okręty podwodne będą zatopione, aby uniemożliwić Rosjanom poznanie tajemnic jednostek typu Sen Toku. US Navy wykorzystwała je do testowania uzbrojenia.

Już 1 kwietnia 1946 roku koło wysp Gotō na Morzu Wschodniocchińskim Amerykanie posłali na dno I-402. Okręt był celem dla niszczyciela USS „Everett F. Larson”. 31 maja 1946 roku koło południowo-zachodniego wybrzeża O’ahu zatonął I-401, trafiony dwoma torpedami Mark 18, które wyrzelił okręt podwodny USS „Cabezon”. W podobny sposób 4 czerwca trzy torpedy odpalone z innego amerykańskiego okrętu podwodnego, USS „Trumpetfish”, zatopiły I-400. ■



armia



PIOTR BERNABIUK, TADEUSZ WRÓBEL

| S Ł U Ż B A Z D R O W I A |

W POGONI ZA RECEPTĄ

Dzięki operacjom irackiej i afgańskiej rozwinęła się medycyna polowa. Niestety, w tyle za nowymi rozwiązaniami i wyposażeniem pozostały regulacje prawne.

U S D O D



→ W POGONI ZA RECEPTĄ

Wrzucenie do jednego worka służby zdrowia wojskowej i cywilnej miało stanowić element reformy porządkującej ochronę zdrowia społeczeństwa. Jedną z jej konsekwencji było podjęcie w 2001 roku decyzji o likwidacji Wojskowej Akademii Medycznej, co oznaczało koniec kształcenia lekarzy wojskowych sensu stricto. Uwagi wskazujące na konieczność uwzględnienia specyfiki służby wojskowej oraz zadań armii kwitowano krótko: „Medycyna jest jedna”. Życie dość szybko jednak udowodniło, że tak nie jest. A dokładnie udział polskich żołnierzy w misjach irackiej i afgańskiej, które w praktyce okazały się operacjami bojowymi. Coraz liczniejsze ofiary „ajdików” i „kontaktów ogniowych” dostarczały argumentów, że na polu walki medycyna opiera się na specyficznych procedurach ratownictwa taktycznego, nieprzystających do cywilnego sposobu niesienia pomocy rannym.

Po tych doświadczeniach w wojsku zaczęto tworzyć systemy: ratowniczo-medyczny i ewakuacyjny. Potrzebny był do tego nowoczesny sprzęt ratowniczy i odpowiednio wyszkoleni ratownicy oraz lekarze wojskowi nie tylko z nazwy. Niestety za zachodzącymi zmianami nie podążały odpowiednie regulacje prawne. Skutek jest taki, że dziś znaczna część struktur i działań medycyny pola walki jest zawieszona w próżni legislacyjnej, czyli – mówiąc wprost – formalnie jest nielegalna.

BIBLIA MEDYKÓW

Jedynym sensownym rozwiązaniem w tej sytuacji jest opracowanie narodowej doktryny zabezpieczenia medycznego i ochrony zdrowia wojsk. Nad tym dokumentem pracują specjaliści z Zarządu Wojskowej Służby Zdrowia Inspektoratu Rodzajów Wojsk Dowództwa Generalnego. Według pułkownika Marcina Buszki, oficera tego zarządu zaangażowanego w reformy medycyny polowej, utworzenie adekwatnej do realiów doktryny powinno być dziś priorytetem: „Na bieżąco wspieramy się dokumentem natowskim. »Allied Joint Medical Support Doctrine« odnosi się jednak głównie do działań ekspedycyjnych, a nasza wojskowa służba zdrowia powinna się przygotowywać też do operacji obronnej. Chcemy, żeby doktryna narodowa obejmowała misje zagraniczne, obronę kraju oraz sytuacje kryzysowe”.

Oficerowie Zarządu Wojskowej Służby Zdrowia podkreślają, że operacji obronnej nie będą prowadziły jedynie siły zbrojne, ale całe państwo, więc niezbędny jest kompleksowy program militarnych i pozamilitarnych działań obronnych. Doktryna medyczna ma to odzwierciedlać i powinna między innymi określić standardy pomocy medycznej, zasady działania w wypadkach masowych, gdy jest duża liczba ofiar, czy też czas, w jakim ranni powinni mieć zapewnioną pomoc medyczną. Powstaje zatem pewnego rodzaju biblia dla medyków. „Chcemy, żeby nasz dokument był spójny również z doktryną medyczną Unii Europejskiej, tak aby każdy, niezależnie od charakteru operacji, mógł się dowiedzieć, co i jak ma robić”, twierdzi pułkownik Buszko.

TYLKO BOGATE KRAJE MAJĄ SPECJALNE MASZYNY DO EWAKUACJI MEDYCZNEJ

W wypadku wojny obronnej niezwykle ważny jest pozamilitarny system przygotowań, który powinien odgrywać znaczącą rolę w systemie ewakuacyjno-lecznym. Doktryna ma zatem określić zasady funkcjonowania w czasie konfliktu cywilnych placówek służby zdrowia, przede wszystkim szpitali. Pułkownik Buszko uważa za oczywistość, że „na terenie własnego kraju nie będziemy budować trzeciego poziomu polowego wzmocnienia medycznego”, bo jego funkcję powinny pełnić oddalone o 30–100 kilometrów od rejonu walk szpitale cywilne, mające specjalistyczny sprzęt oraz personel medyczny.

PULAPKI PRAWNE

„Brak odpowiednich zapisów prawnych utrudnia nam osiągnięcie interoperacyjności w ramach NATO”, sygnalizuje kolejny ważny problem pułkownik Krzysztof Kowalczyk, szef oddziału szkolenia Zarządu Wojskowej Służby Zdrowia.

Misje wojskowe poza granicami kraju ujawniły na przykład kłopot ze stosowaniem medykamentów i sprzętu medycznego. Nasi lekarze, zarówno w kraju, jak i za granicą, nie mogą stosować innych leków niż zarejestrowane w Polsce, ponieważ obligują ich do tego przepisy ustawy z 6 września 2001 roku „Prawa farmaceutyczne”. Sprzęt medyczny musi mieć natomiast oznakowanie CE, potwierdzające zgodność z dyrektywami Unii Europejskiej i dopuszczenie do użycia na jej terenie, a przecież nie wszyscy członkowie NATO należą do wspólnoty.

„Jak mamy w takiej sytuacji funkcjonować w jednej strukturze z Amerykanami i Kanadyjczykami?”, pyta retorycznie pułkownik Buszko. „Według inicjatywy smart defence każdy kraj wydzieli elementy medyczne, z których tworzy się modułowe placówki. Może się zatem zdarzyć, że w izbie przyjęć potrzebującym pomocy żołnierzem zajmie się Amerykanin, w gabinecie lekarskim Polak, a apotekarzem będzie Brytyjczyk. W natowskiej doktrynie medycznej są zapisy o integracji wysiłku, tworzeniu wspólnych placówek. Gdybyśmy chcieli honorować ją w pełni, co krok naruszałibyśmy przepisy krajowe”.

Raz, dwa, trzy

RÓŻNICE MIĘDZY WOJSKOWĄ I CYWILNĄ SŁUŻBĄ ZDROWIA SĄ WIDOCZNE MIĘDZY INNYMI W SPOSOBACH UDZIELANIA POMOCY.

W cywilnych placówkach generalną zasadą jest wykonywanie zabiegów ratujących życie czy zdrowie natychmiast i w jednym miejscu. Transport pacjenta do specjalistycznego ośrodka jest procedurą wyjątkową, stosowaną jedynie w razie konieczności. W wojskowej medycynie polowej normę stanowi wieloszczebelowość udzielania pomocy. Proces ratowania życia rannego żołnierza rozpoczyna się od samopomocy, czyli założenia opatrunku przez niego samego lub znajdującego się najbliżej kolegę. Potem pojawia się zespół ewakuacji medycznej z ratownikami, których głównym zadaniem jest wyniesienie poszkodowanego z rejonu zagrożenia. Zgodnie z najnowszymi tendencjami w ratownictwie pola walki, wywodzącymi się z praktyki operacji afgańskiej, rannego żołnierza jak najszybciej zabiera się na platformę ewakuacyjną i tam od razu udziela pomocy medycznej. W ten sposób działają między innymi brytyjskie zespoły medyczne szybkiego reagowania (Medical Emergency Response

Team), które na odpowiednio oprzyrządowanym pokładzie śmigłowca Chinook wykonują niemal wszystkie czynności z zakresu ATLS (Advanced Trauma Life Support), czyli zaawansowanych zabiegów, z przetaczaniem krwi włącznie. Dostąd takiej pomocy udzielano dopiero na drugim poziomie, czyli w szpitalu polowym. Dzięki tej zmianie statystyczny wskaźnik przeżywalności rannych wzrósł o dziesięć procent.

Operacje o charakterze asymetrycznym nie mogą jednak zniekształcić obrazu wojskowej służby zdrowia, przygotowującej się do wykonywania zadań podstawowych, czyli ratownictwa medycznego w warunkach obrony własnego kraju. W Iraku i Afganistanie były bazy, w których można było rozwijać różne placówki medyczne. Powstał zatem systemem, w którym ranni są przewożeni do placówek medycznych w przyjętych reżimach czasowych. W kon-

wencjonalnych działaniach liniowych nie uda się zastosować niektórych rozwiązań misyjnych. Tworzy się więc tak zwana eszelonizację, czyli gniazda rannych, z których odbywa się transport poszkodowanych do placówek o wyższych poziomach pomocy medycznej. Specjalistyczna pomoc przewidywana jest dopiero w miejscu w miarę oddalonym od rejonu walk. Tak jest usytuowany poziom pierwszy pomocy medycznej, na którym dokonuje się resuscytacji krążeniowo-oddechowej, czyli stabilizacji, ocenia się stan pacjenta i decyduje o kolejności ewakuacji na wyższe poziomy. W placówce medycznej poziomu drugiego są wykonywane zabiegi określane jako chirurgia pola walki. Służący w niej personel ma jedynie ustabilizować chirurgicznie pacjenta, a na finalne zabiegi i leczenie wysyła się go na poziom trzeci albo tak zwaną ciężką dwójkę. ■

PIOTR BERNABIUK



Podobne problemy prawne dotyczą całej polowej służby medycznej. „W Polsce istnienie i funkcjonowanie polowych placówek medycznych nie jest prawnie usankcjonowane”, zwraca uwagę na kolejną lukę legislacyjną pułkownik Buszko. Zapomniano je bowiem wyszczególnić w ustawie z 31 sierpnia 1991 roku o zakładach opieki zdrowotnej. Wojsko szkolące się do działań obronnych musi mieć polową służbę zdrowia, zabezpieczającą działania operacyjne. I oczywiście je ma, tyle że grupy zabezpieczenia medycznego znajdujące się w jednostkach wojskowych, stanowiące struktury służby zdrowia czasu wojny i czasu pokoju, mogą się jedynie szkolić i przygotowywać do przyszłych działań. Nie mogą natomiast wspierać powszechnej służby zdrowia i zajmować się zdrowiem stojących w kolejkach w ambulatoriach i przychodniach żołnierzy, ponieważ formalnie nie są podmiotami leczniczymi – nie są zarejestrowane, nie mają regonu i nie mogą

zawierać umów z Narodowym Funduszem Zdrowia. Co więcej, szpital polowy wysłany jako część kontyngentu wojskowego na misję zagraniczną również funkcjonuje poza obowiązującym prawem.

Pułkownik Dariusz Chłopek, szef Zarządu Wojskowej Służby Zdrowia, zwraca uwagę również na sytuacje szczególne, które mogą się zdarzyć w kraju: „Trudno sobie wyobrazić, że na przykład w razie katastrofy naturalnej o dużym zasięgu nie możemy rozwinąć naszej kontenerowo-namietowej placówki medycznej pełniącej funkcję małego szpitala. Kto wówczas wytłumaczy społeczeństwu, że zgodnie z literą prawa nie jest to podmiot leczniczy?”.

W takiej sytuacji należy użyć polowej jednostki medycznej na podstawie paragrafu 1 artykułu 162 „Kodeksu karnego”, który za nieudzielenie pomocy w sytuacji zagrożenia życia lub zdrowia grozi karą do trzech lat pozbawienia wolności. ➔

POD PANCERZEM

Za polski hit uważany jest WEM, wóz ewakuacji medycznej na kołowym transporterze opancerzonym Rosomak. Pojazd stanowi mobilne centrum resuscytacyjne z dwoma ratownikami medycznymi, którzy mają do dyspozycji defibrylatory, respiratory, butle z tlenem, leki i materiały opatrunkowe. WEM może ewakuować nawet sześciu rannych. W ramach programu pancernego mają pojawić się podobne pojazdy na gąsienicach.



PLATYNOWE MINUTY

Osukcesie działań ratowniczych na polu walki decyduje udzielenie pomocy w ciągu pierwszych dziesięciu tak zwanych platynowych minut od zdarzenia. Po godzinie powinien dojechać transport ewakuujący rannego, tak by na stole zabiegowym znalazł się on w ciągu dwóch godzin, a w szpitalu – maksymalnie po czterech godzinach. ■

Niedoskonałości prawne dotyczą również takich niuansów, jak używanie wojskowych pojazdów sanitarnych i ich załóg. Zgodnie z ustawą z 8 września 2006 roku o państwowym ratownictwie medycznym, mimo kwalifikacji, nie są to bowiem formalnie zespoły ratownictwa medycznego, więc przewożenie poszkodowanych wojskową sanitarką nie jest legalne.

MIEJSCE LEKARZA

Podczas porządkowania spraw dotyczących medycyny taktycznej nie wolno pominąć roli lekarzy w działaniach wojennych. Cywilnego medyka bez odpowiedniego przygotowania nie można bowiem umieścić w wojskowym szpitalu polowym, tuż za frontem. „Różne nacje już to przećwiczyły, również Amerykanie, na których najczęściej się wzorujemy”, zwraca uwagę pułkownik Buszko. Okazało się, że wykształcenie medyczne bez odpowiedniego przygotowania i praktyki w medycynie pola walki jest niewystarczające.

W Polsce, po sześciu latach przerwy, na Uniwersytecie Medycznym w Łodzi przywrócono zatem wojskowe studia medyczne. W najbliższych latach ukończy je ponad 200 absolwentów. Pierwsza większa grupa młodych lekarzy wojskowych pojawi się w 2017 roku.

Wojskowi doktorzy nie powinni jednak szukać swego miejsca na pierwszej linii ognia, bo jądro systemu medycznego na polu walki będą stanowili ratownicy medyczni. „Jeśli w wozie ewakuacji medycznej czy w placówce medycznej pierwszego poziomu jest wyposażenie służące ratownictwu taktycznemu, to nie jest tam potrzebny lekarz, bo nie będzie w stanie zrobić nic więcej niż ratownik. Tym bardziej że zgodnie z pragmatyką dowódca plutonu medycznego jest podporucznik lub porucznik, czyli byłby to lekarz bez specjalizacji i doświadczenia zawodowego”, mówi pułkownik Buszko. „Wkraczanie lekarza w obszar ratowników medycznych jest marnotrawstwem jego umiejętności. Pierwszy ma leczyć, a drugi ratować. Oczywiście w sytuacjach tego wymagających można czasowo przydzielić lekarza do wsparcia”.

Sygnałem nadchodzących zmian jest możliwość awansu doświadczonych ratowników medycznych, dotąd podoficerów, do korpusu oficerskiego. Jest już kilku takich oficerów. Będą oni dowodzili grupami ewakuacji medycznej w wojsko-

wych ośrodkach medycyny prewencyjnej oraz znajdą miejsce w Wojskowym Centrum Kształcenia Medycznego w Łodzi.

Według pułkownika Marcina Buszki w wojskowej służbie zdrowia musi działać prawo wyjątków – lex specialis: „Ratowanie życia na polu walki nie jest tym samym, czym praca zespołu wyjazdowego karetki pogotowia w powszechnym systemie leczenia”.

Jako najbardziej jaskrawy przykład niedoskonałości legislacyjnych przytacza status wojskowych ratowników medycznych: „Z jednej strony w Afganistanie mają wyposażenie i środki ratowniczo-medyczne o światowych standardach. Z drugiej jednak większości z nich nie powinni używać do udzielania tam pomocy, ponieważ prawo powszechne jednoznacznie stwierdza, że ratownik umiejętności i uprawnienia może wykorzystywać jedynie w ramach systemu powszechnej służby zdrowia”. Pełnoprawnym ratownikiem jest się zatem w zespole pogotowia ratunkowego lub w szpitalnym oddziale ratunkowym. Na poligonie czy na wojnie wojskowy ratownik medyczny nie jest elementem państwowego systemu i nie może udzielać pomocy kolegom. Prawnie jego działanie ogranicza się do kwalifikowanej pomocy przedmedycznej (KPP). „Do tego nie potrzeba jednak trzyletnich studiów i lat praktyki, wystarczy ukończenie 66-godzinnego szkolenia”, konkluduje pułkownik Krzysztof Kowalczyk. „Ustawa o ratownictwie medycznym musi stanowić legitymizację prawną tego, co żołnierz robi na polu walki. Nie może być tak, że będzie się on zastanawiał nad tym, czy za uratowanie życia koleźce dostanie medal, czy ze swojego postępowania będzie się musiał tłumaczyć przed prokuratorem”.

„W tej kwestii należy iść dalej. Wojskowy ratownik nie może mieć takich samych uprawnień jak jego kolega cywil w kraju, działający w systemie ratownictwa medycznego w czasie pokoju, bo to jest zdecydowanie za mało”, dopowiada pułkownik Buszko.

Problemów do rozwiązania, zwłaszcza prawnych, jest w medycynie polowej bardzo dużo i na różnych poziomach, począwszy od batalionu, po całe siły zbrojne i system obrony państwa. Zdaniem oficerów pracujących nad narodową doktryną wsparcia medycznego, włożony w jej tworzenie wysiłek łatwo może zostać zniweczony, jeśli nie znajdzie ona odpowiedniego wsparcia: „Sami z siebie nie jesteśmy w stanie przeforsować zmian w prawie”. ■



MARTWA NATURA KWIATOWA W SZKLANYM WAZONIE

barokowego malarza gdańskiego Andreasa Stecha

od 14 lutego 2014 do 20 kwietnia 2014

MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

Al. Jerozolimskie 3, 00-495 Warszawa

PARTNER WYSTAWY



PARTNERZY MEDIALNI







ZNIECZULENIE POD OSTRZAŁEM

Z Waldemarem Machałą
o operacjach w warunkach
bojowych i zmianach w wojskowej
służbie zdrowia rozmawiają
Piotr Bernabiuk i Tadeusz Wróbel



Lekarz anestezjolog, profesor doktor habilitowany, kierownik kliniki dziesięć lat po odejściu ze służby wojskowej wyjeżdża na operację bojową. To niecodzienne wydarzenie...

Jeżeli patrzy się z boku, to rzeczywiście można odnieść takie wrażenie. Przez całe zawodowe życie jestem anestezjologiem, a przez jego większą część lekarzem wojskowym. Kształcę młodych ludzi, w tym przyszłych lekarzy wojskowych. Jak mogę mówić im o pracy w warunkach wojennych, jeżeli sam tego nie doświadczyłem? Chciałem też spełnić jedno z moich zawodowych marzeń.

Był Pan dwa razy w Afganistanie, z niewielką przerwą. Czy to nie za wiele?

Misja sześciomiesięczna jest za długa, ponieważ zespoły medyczne pracują bardzo ciężko i w potwornym stresie. Pod ich opiekę trafiają nieustannie ranni, okaleczeni ludzie. W moim odczuciu w takich warunkach równowagę psychiczną da się zachować przez trzy miesiące.

Dlaczego zatem poleciał tam Pan ponownie?

W 2013 roku Ghazni miała być kulturową stolicą świata islamu. Wiedziałem, co się w tym czasie może zdarzyć, jak wielu może być rannych. A że specjaliści anestezjologii i intensywnej terapii nie garną się do wyjazdów na misje wojskowe, więc ja się zdecydowałem.

Sprawdził się czarny scenariusz?

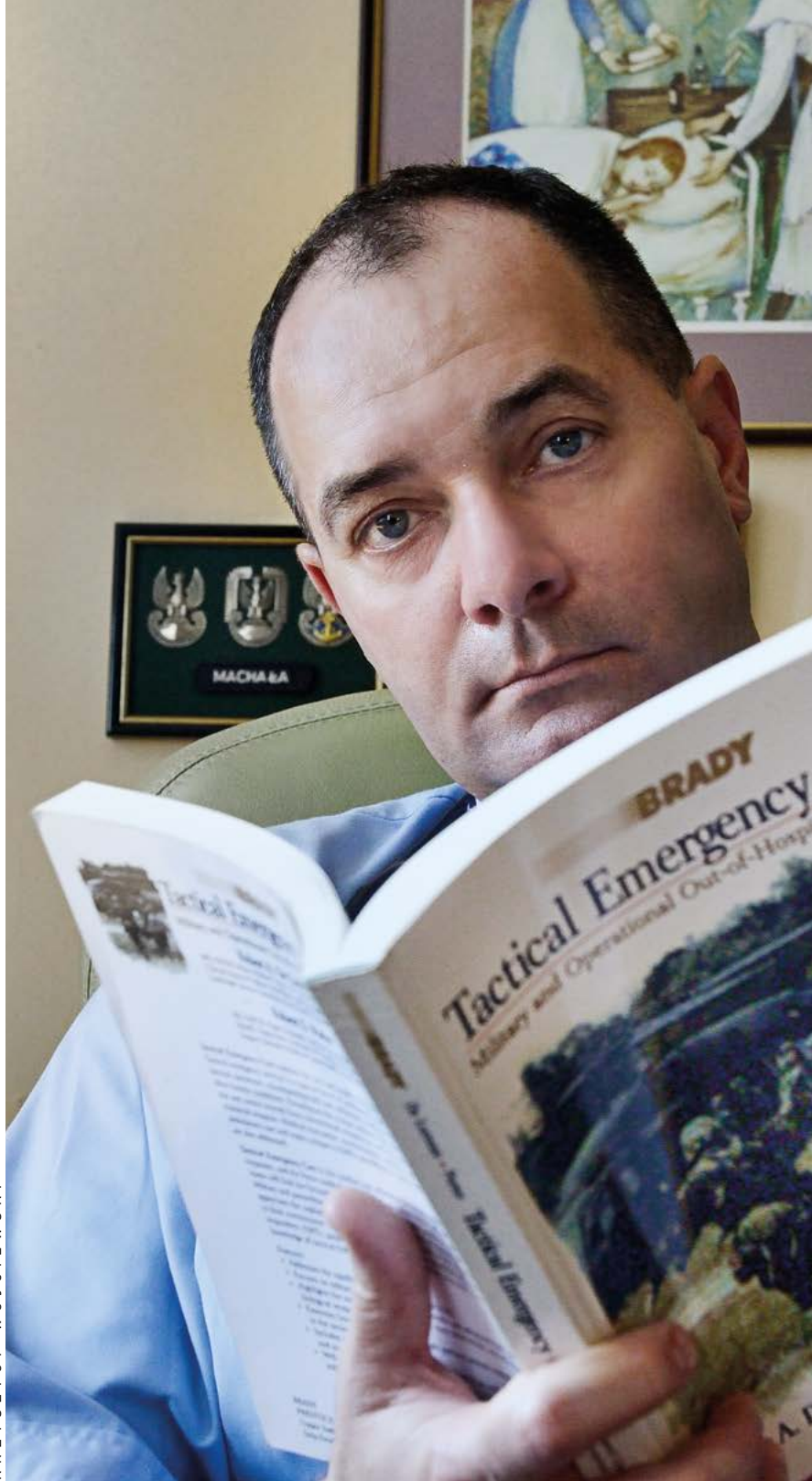
Półtora tygodnia po moim przylocie, 28 sierpnia, nastąpił atak na naszą bazę w Ghazni. Podczas XIII zmiany, w ciągu zaledwie trzech miesięcy, zginęło dwóch Polaków. Mieliśmy też wielu rannych. Gdy w prowincji została jedna baza, właśnie w Ghazni, częstotliwość ataków na nią znacznie się zwiększyła. Ostrzał tuż przed 28 sierpnia kosztował życie pracowników kontraktowych, obsługujących stołówkę.

Czy personel ratowniczo-medyczny jedzie na misję odpowiednio przygotowany?

Przygotowanie należy ująć w dwóch aspektach, psychologicznym i merytorycznym. Udział w kolejnej, trzeciej czy czwartej zmianie, oddzielane półrocznym wypoczynkiem, są nieporozumieniem. Ludzie do Afganistanu wracają wypaleni zawodowo, a w wypadku personelu medycznego ogromnie ważne jest przygotowanie psychiczne. Przed każdym wyjazdem trzeba odpowiedzieć sobie na pytanie: czy mam motywację, żeby komuś pomagać? Bo taka jest moja rola, bez względu na to, czy potrzebuje tego talib, nasz żołnierz, afgański policjant czy cywil.

A przygotowanie merytoryczne?

Łódzkie Wojskowe Centrum Kształcenia Medycznego, kierowane przez pułkownika doktora



Zbigniewa Aszkielańca, profesjonalnie przygotowuje do pracy w szpitalu polowym drugiego poziomu. Personel medyczny szkoli się przed wyjazdem na wiernej kopii „trauma room”, gdzie sprzęt, procedury i scenariusze stanów urazowych odpowiadają afgańskiej rzeczywistości. Po przyjeździe do Ghazni każdy zna swoje miejsce i wie, co do niego należy.

Lekarze, również młodzi, nie chcą brać udziału w operacjach bojowych.

KRZYSZTOF WOJCIEWSKI

W Afganistanie daleko do medycyny na poziomie europejskim, ale po roku widziałem tam zmiany wręcz przełomowe

Wojna nie jest miejscem dla zupełnie młodych lekarzy. Wysyłanie na nią podporucznika po uniwersytecie medycznym, czyli bez specjalizacji, jest niebezpieczne i dla żołnierzy, i dla niego samego.

Kto zatem powinien wyjeżdżać na misję?

Specjaliści. Może nie tacy jak ja, pięćdziesięciolatek, ale lekarze w średnim wieku. To muszą być ludzie doświadczeni, którzy być może trafią na nowe sytuacje, ale nie dadzą się zaskoczyć. Jestem za tym, by w misjach, takich jak afgańska, uczestniczyli młodzi lekarze, ale będący już na drugim czy trzecim roku specjalizacji. Niech na przykład taki ochotnik jedzie jako trzeci, czwarty chirurg i asystuje przy trudnych przypadkach, a sam bierze się za łatwiejsze pod okiem mistrza.

Wyjątkowo trudno o takich chętnych.

Czemu nie chcą jeździć na wojnę lekarze na trzecim, czwartym czy piątym roku specjalizacji? Z banalnego powodu. Misja przerywa im specjalizację.

Co zrobić, żeby to zmienić?

Należy sprawić, żeby zabiegi operacyjne czy znieczulenia wykonywane na wojnie pod okiem specjalisty były zaliczane w procesie specjalizacyjnym. Będą wówczas tłumy chętnych.

A co dla Pana było najtrudniejsze na misji?

Niesamowicie trudne do zniesienia było ciągłe czekanie na rannych. Kładę się spać... czekam; szczeknie krótkofalówka... czekam; idę do łazienki z tą krótkofalówką... czekam, idę na siłownię lub na stołówkę... czekam. Ktoś powie, że wariat czekał na rannych. Tak, czekałem, ale nie ze względu na potrzebę czynu czy konieczność podniesienia sobie adrenaliny. Nikomu przecież nie życzyłem tragedii.

A kiedy już skończyło się czekanie...

Rzucałem wszystko i biegłem do szpitala, by przygotować się do pracy. Miałem zajęcie, robiłem to, co było celem mojej obecności w Ghazni.

Trudno też nie czuć emocji, kiedy baza jest co chwilę ostrzeliwana.

Kiedy zaczynał się ostrzał, przychodził stres wywołany strachem o własne bezpieczeństwo.

Podczas ostrzału należało skryć się w schronie.

Jeżeli do szpitala docierają ranni, nie idzie się do schronu. Zdarzało się, że pracowaliśmy pod ostrzałem. Kontener bloku operacyjnego intensywnej terapii jest chroniony przed odłamkami, ale nie przed bezpośrednim trafieniem.

Trudno sobie wyobrazić chirurga operującego w kamizelce kuloodpornej i w hełmie.

Kiedy udzielaliśmy pomocy naszym żołnierzom podczas ataku na bazę 28 sierpnia, początkowo pracowaliśmy w kamizelkach i hełmach. W czasie alarmu bojowego są one obowiązkowe.

Kamizelka waży kilkanaście kilo!

Hełm zdjąłem w piątej czy dziesiątej minucie pracy, bo spływający spod niego pot zalewał mi twarz. Szczypały mnie oczy i nic nie widziałem. A po kilku kolejnych minutach pozbyłem się kamizelki, bo nie byłem w stanie poruszać się przy ciężko rannych.

Dlaczego umieścił Pan białą-czerwoną flagę przy łóżku operacyjnym w szpitalu w Ghazni?

Przykręciliśmy ją na pierwszym stanowisku „trauma room” i miała mieć taką wymowę: „Zostałeś ranny i jeśli masz nawet resztki świadomości, to wiedz, że leżysz w polskim szpitalu, pod polską flagą”.

Amerykanie bardzo eksponują swój sztandar...

Oni nie wstydzą się flagi, a ja odnoszę czasami wrażenie, że my na nasze symbole jakoś się boczmy. Oczywiście nie wszyscy, bo żołnierze sił specjalnych pokazują, że są z nich dumni i wszędzie eksponują orła.

Jak my wypadamy w porównaniu z Amerykanami pod względem medycznym?

W moim odczuciu, nasza wojskowa służba zdrowia w wersji polowej, wojennej, jest znakomitą towarem eksportowym. Kiedy pracowałem z amerykańskimi kolegami, mogłem zazdrościć im systemu, czyli określonych procedur działania, których my nie mamy. Jeśli chodzi natomiast o stronę merytoryczną, lekarską, nie miałem poczucia, że jestem gorszy.

A Amerykanie stanowią w tej dziedzinie punkt odniesienia. Współpracujemy z nimi i od nich się zarazem uczymy.

Pod wieloma względami jesteśmy nawet lepsi. Przede wszystkim mamy więcej empatii i nie tylko naszych żołnierzy, lecz także Afgańczyków traktujemy jak bliskich, a nie jak przedmiot procedur. Mogłem być dumny z naszych pielęgniarów, które wręcz matkowały rannym.



A jakie są warunki jeśli chodzi o opiekę medyczną w Afganistanie? W Ghazni, stolicy prowincji, jest przecież szpital...

Można odnieść wrażenie, że w tym szpitalu czas zatrzymał się na przełomie XIX i XX wieku. Nie ma centralnego ogrzewania, więc w salach chorych stoją „kozy”. Jest brudno. Nie ma też ani jednego respiratora i jeśli pacjent wymaga respiracji, to umiera, bo nie ma go jak wentylować.

Czyli nie ma porównania z naszymi warunkami.

Nie mówię tego, by kogoś oceniać. Trzeba bowiem zdawać sobie sprawę z tego, że w tym kraju nie ma ubezpieczeń społecznych, więc nie ma też pieniędzy na służbę zdrowia. Środki na szpital pochodzą w niewielkim stopniu z Kabulu lub od koalicjantów.

Czy ta pomoc koalicji jest skuteczna?

Do 2013 roku szpital nie miał czynnego aparatu do anestezji. Dwa lata temu amerykański zespół odbudowy prowincji (PRT) dał im co prawda dwa, ale nikt nie nauczył Afgańczyków, jak je obsługiwać, więc przez długi czas stały pod prześcieradłami. Uruchomiliśmy je i wyszkoliliśmy personel. Kiedy byłem drugi raz na misji sprawdziłem, że działają i noszą ślady użytkowania.

Idzie więc ku lepszemu?

Nadal daleko tam do medycyny na poziomie europejskim, ale po roku widziałem zmiany wręcz przełomowe. Lekarze zaczynają mieć możliwości leczenia chorych i nie ograniczają się do stwierdzenia, że Allah tak chciał.

Czy nasz szpital polowy przejmuje również miejscowych pacjentów?

Do szpitala w Ghazni trafiają wszyscy Afgańczycy, także ranni policjanci i żołnierze, bo zazwyczaj tam jest najbliżej. Po zabezpieczeniu są jednak przewożeni do nas i my ich operujemy.

A cywile?

Na nas spoczywa również obowiązek pomocy rannym cywilom, którzy odnieśli obrażenia przy prawdopodobnym udziale wojsk koalicji. Wiele razy udzielaliśmy jednak pomocy ludziom, którzy na pewno nie odnieśli obrażeń w efekcie działań bojowych, lecz w wyniku na przykład wypadków komunikacyjnych. Pomagaliśmy również wtedy, gdy bezsilna miejscowa służba zdrowia zwracała się do nas o wsparcie.

Udzielaliście zatem pomocy nie tylko rannym?

Kapitałną robotę wykonuje w prowincji pułkownik profesor Krzysztof Korzeniewski z Wojskowego Instytutu Medycznego, lekarz medycyny tropikalnej i medycyny podróży zarazem. Przy okazji regularnej, prowadzonej dwa razy w roku, oceny zachorowalności na choroby pasożytnicze przewodu pokarmowego naszych żołnierzy i miejscowej ludności wyleczył z nich ogromną liczbę Afgańczyków, dzieci i dorosłych.



**Nasza
wojskowa
służba
zdrowia
w wersji
polowej,
wojennej, jest
znakomitym
towarem
eksportowym**

O pomocy udzielanej przez naszych żołnierzy miejscowym, szczególnie dzieciom, głośno było w mediach.

W 2012 roku przyjąłem na oddział Żarkę, którą później leczylimy przez pięć tygodni. Polacy dzięki mediom dowiedzieli się o jej losie. Podobnie było z inną dziewczynką, którą na drodze znaleźli nasi żołnierze. Dziecko prawdopodobnie zostało porzucone ze względu na płeć. No cóż, to jest odmienny od naszego krąg kulturowy.

Afgańczycy bardzo się od nas różnią?

Tam dociera do nas, że jesteśmy śmiertelni. Człowiek godzi się z tym, że może zamarznąć, bo nie ma ani centralnego ogrzewania, ani skarpet czy butów. Liczy się z tym, że mogą zastrzelić go talibowie, bo znalazł się w złym miejscu o nieodpowiedniej porze.

Czy zdajemy sobie z tego sprawę na co dzień?

Żołnierzowi, zanim wyjedzie na misję, powinno się uświadomić, że kultura środkowoeuropejska niekoniecznie musi być najlepsza na świecie. Są inne, trwające od wieków i trzeba je uszanować. A w Afganistanie jesteśmy gośćmi, a nie gospodarzami.

W trakcie służby, jako lekarz w jednostce, podobno zalecał pan żołnierzom chodzenie w trampkach?

Najwspanialsze czasy! Ależ oczywiście, że tak było. W 124 Pułku Artylerii Przeciwlotniczej 12 Dywizji Zmechanizowanej w Szczecinie „przepisywałem” miękkie obuwie, a nie trampki, bo miały złą konotację. Zdarzało się wówczas, że w czasie poboru było nawet tysiąc rekrutów. Wówczas sta-

wało się na głowie, żeby ich zbadać i wcielić. A potem człowiek padał na twarz. To był jednak jeden z fajniejszych okresów w moim życiu. Byłem wtedy młody.

Czy to tylko kwestia młodości?

Miałem także ten komfort, że jako lekarz wojskowy mogłem w jednostce leczyć żołnierzy. Teraz lekarz wojskowy w jednostce nie może leczyć, bo ambulatoria czy izby chorych nie mają statusu POZ [podstawowa opieka zdrowotna].

Z punktu widzenia obowiązującego dziś prawa, struktura szpitala polowego jest nielegalna.

Formalnie nie istnieje. Jeśli na przykład żołnierz na misji zachoruje, to nie mamy możliwości wystawienia mu zwolnienia lekarskiego.

Czy Pana odejście z wojska wiązało się z rozwiązaniem Wojskowej Akademii Medycznej?

No pewnie! Spora grupa lekarzy wojskowych stanęła przed dylematem, czy zostać do końca na okręcie i salutując iść razem z nim na dno, czy najnormalniej w świecie odejść tam, gdzie znajdują zatrudnienie.

Pan zjął mundur i z wojskowej kliniki udał się na prowincję.

Do Brzezin.

Na przeczekanie?

Mnie się wówczas wydawało, że to na stałe. Potem się pojawił uniwersytet, do którego wróciłem, a więc historia zatoczyła koło i jestem w szpitalu, w którym zacząłem anesteziologię.

I w tym szpitalu, który jest teraz szpitalem uniwersyteckim i zarazem szpitalem imienia Wojskowej Akademii Medycznej, podpułkownik rezerwy profesor Waldemar Machała uczy przyszłych lekarzy.

Wojskowych też, bo na Uniwersytecie Medycznym powstał Wydział Wojskowo-Lekarski. Wspaniała inicjatywa, ukazująca, że rozwiązanie WAM było – delikatnie to ujmę – decyzją nieprzemyślaną.

Medycyna jest jedna, czy też można z jej materii wyodrębnić w jakiś sposób zjawisko określane jako medycyna wojskowa?

Medycyna, jako taka, jest dobra albo zła. Nie ma wojskowej, cywilnej, powiatowej, gminnej, klinicznej... Upierałbym się

jednak przy tym, żeby temu, co robimy w wojsku, nadać nazwę „medycyna taktyczna”.

Czym się wyróżnia?

Wymaga pewnej pokory i ofiary ze strony osób, które się nią zajmują. Tak samo jak anesteziologia na wojnie, bo można mówić o anesteziologii taktycznej.

Anesteziologia taktyczna?

Jeśli trafi do mnie żołnierz z pola walki, który umiera, to nie martwię się o wyniki jego badań dodatkowych.

W warunkach wojennych sposób działania dia-metralnie się różni od tego w cywilu.

W kraju nie mógłbym rannego po zaopatrzeniu transportować śmigłowcem, bo jeśli chory nie jest w pełni ustabilizowany, to nie można przewozić go do innego szpitala. A w Afganistanie musieliśmy podejmować takie ryzyko.

Czego najbardziej brakuje wojskowej służbie zdrowia w wydaniu taktycznym?

Specjalistów.

A gdzie wojskowi lekarze powinni być usytuowani na co dzień, w czasach pokoju?

W szpitalu. I według mnie, jeśli się pracuje w szpitalu wojskowym i nosi mundur, a na misji jest potrzebny lekarz o konkretnej specjalności, to taki specjalista nie szuka wymówki, tylko wkłada mundur i leci.

Wielu z tych lekarzy ma jednak również zobowiązania poza wojskiem.

Lekarz wojskowy powinien pracować w szpitalu wojskowym, być gotowy do wyjazdu w ciągu 48 godzin. Dodatkowa praca w prywatnych gabinetach nie jest żadną wymówką.

Lekarze uczestniczący w misjach wnieśli wiele nowości do medycyny wojskowej.

Niesamowitą rzecz zrobił pułkownik doktor Wojciech Wójcicki, komendant I Szpitala Polowego w Bydgoszczy, który przygotował wyposażenie szpitala polowego w sprzęt i leki. Z kolei pułkownik lekarz Adam Olszewski przystosował do warunków polskich „walking blood bank”, czyli chodzący bank krwi, pozwalający na przetaczanie pełnej krwi ciężko rannym żołnierzom na polu walki.

Głośno mówi się dziś o konieczności zmian w wojskowej służbie zdrowia. Co Pan by zmienił?

Jeśli z medyka wojskowego mamy zrobić lekarza, a nie urzędnika, to trzeba przekształcić w jednostkach ambulatoria czy izby chorych w gabinety POZ, żeby mogli praktykować, a nie tylko wykonywać zadania mobilizacyjne, czyli liczyć worki i leki potrzebne na czas W. ■

WIZYTÓWKA

WALDEMAR MACHAŁA

Podpułkownik rezerwy, profesor doktor habilitowany nauk medycznych jest specjalistą anesteziologii i intensywnej terapii oraz medycyny ratunkowej. Pełni funkcję kierownika Kliniki Anesteziologii i Intensywnej Terapii Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego im. Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi. Studia lekarskie ukończył w Wojskowej Akademii Medycznej, gdzie następnie pracował i rozwijał się naukowo. Po likwidacji wojskowej uczelni kontynuował karierę jako lekarz cywilny. Dwukrotnie, na XII i XIII zmianie, pełnił służbę w PKW Afganistan – był lekarzem anesteziologiem polskiego szpitala polowego w Ghazni.



BOGUSŁAW POLITOWSKI

PRZYCHODZI ŻOŁN

Wojskowe szpitale są nowoczesne. Tylko czy słowo „wojskowe” w nazwie tych placówek odróżnia je w jakiś sposób od cywilnych?

Ból objął najpierw okolice prawej nerki. Po kilkunastu minutach obolała i napięta była już cała dolna część tułowia. Znał to uczucie. Z kamicą nerkową walczy od lat. Wiedział, że gdy minie kilkadziesiąt minut, bóleści będą nie do zniesienia. Najsilniejsza tabletką, jaką miała je uśmierzyć, nie pomogła. Dochodziła północ. Jedynym ratunkiem było wezwanie karetki pogoto-

wia. Dyspozytorka nie zadawała zbędnych pytań. Bez wahania wysłała zespół. Lekarz i ratownik pojawili się po kilkunastu minutach. Zastrzyk na jakiś czas załatwił sprawę. Ból trochę ustąpił, ale na krótko.

Od samego rana próbował dodzwonić się do szpitala wojskowego, żeby dostać się do lekarza. Za którymś razem mu się udało, ale pani z rejestracji szybko sprowadziła go na



IERZ DO LEKARZA

MILITARIUM STUDIO MD

ziemię. Dowiedział się, że o wizycie tego dnia u swojego lekarza pierwszego kontaktu nie ma co marzyć. Pierwszy wolny termin znalazła za dwa dni. Nie wierzył w to, co usłyszał, i postanowił pójść do poradni. „W tak nagłej sytuacji, przy tak silnym bólu powinni przecież pomóc”, tłumaczył sobie. „Nie mogą wyrzucić za drzwi cierpiącego człowieka”.

Otuchy dodawał mu fakt, że to jego szpital wojskowy. Gdzie, jak nie tam, ma szukać pomocy emerytowany chorąży, który przesłużył

w wojsku kilkadziesiąt lat? Przecież 4 Wojskowy Szpital Kliniczny z Polikliniką we Wrocławiu zawsze był jego placówką medyczną. Wiele lat temu tutaj urodziła się jego córka. Tu wielokrotnie się leczył. Tu przechodził kiedyś badania okresowe. I po reformie służby zdrowia tu wybrał lekarza pierwszego kontaktu.

Gdy dotarł do rejestracji, usłyszał, że o dostaniu się do lekarza od ręki nie ma mowy. Nieoficjalnie jednak poradzono mu, aby próbował skontaktować się z lekarzem bezpośrednio, to →

może zgodzi się go przyjąć. Skorzystał z podpowiedzi. Nie miał innego wyjścia.

Przed gabinetem siedziało kilka osób. Przysiadł się do nich i czekał, aby wślizgnąć się do środka między wizytą jednego pacjenta a drugiego i poprosić o ratunek. Po chwili w drzwiach gabinetu pojawiła się wychodząca z niego pacjentka, a zaraz za nią lekarka. „Teraz będzie przerwa. Wróćcie za kilkanaście minut”, obwieściła i ruszyła korytarzem.

AKT DESPERACJI

„Jak nie teraz, to nigdy”, pomyślał i podążył za kobietą. Próbując dorównać jej kroku, szybko tłumaczył, co mu dolega. Lekarka okazała się jednak nieczuła na opowieść o dolegliwościach. Usłyszał od niej tylko, że powinien poszukać prywatnego gabinetu, żeby zrobić badanie ultrasonograficzne nerek i dopiero z wynikiem zjawić się u niej.

Oniemiał. Nie mógł uwierzyć w to, jak jego, byłego wojskowego, potraktowano w szpitalu teoretycznie wojskowym. Skręcał się z bólu, a odmówiono mu pomocy. Lekarz kazał szukać prywatnego gabinetu, a sto metrów dalej, w budynku szpitalnym byli i specjaliści, i aparaty do USG.

Dobre kilka minut stał pod tablicą szpitala, który mienił się jedną z najnowocześniejszych placówek medycznych w regionie, bardzo dobrze wyposażoną i podobno przyjazną pacjentom. Zdenerwowany i obolały, z konieczności postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Wyjął telefon i wybrał numer przyjaciela. Po kilku minutach ktoś do niego oddzwonił. Wyraźnie podniesiony na duchu ominął budynek polikliniki i wszedł na teren szpitala. Szybko znalazł szpitalny oddział ratunkowy (SOR) i drzwi do gabinetu, do którego kazano mu pójść.

Gdy podał swoje nazwisko, natychmiast się nim zajęto. Już po kilkunastu minutach podłączono mu kroplówkę i podano niezbędne leki. Później wykonano USG. Zastój w prawej nerce i dwa kamienie wykryte w lewej uzasadniały szybką interwencję. Po dwóch godzinach, z uśmierzonym bólem i receptami na niezbędne leki, wyszedł ze szpitala. Spojrzał na budynek polikliniki. „Czy nie można było tak od razu? Czy lekarka pierwszego kontaktu nie powinna skierować go na SOR?”

BEZ PRZYWILEJÓW

Opisana sytuacja pokazuje, że w szpitalach i poliklinikach mających w nazwie przymiotnik „wojskowy” ludzie ze środowiska mundurowego nie mają żadnych przywilejów. Traktowani są jak tysiące innych pacjentów. Mało tego, placówki te nawet nie wiedzą, ilu podopiecznych to żołnierze, członkowie ich rodzin czy emeryci resortu obrony.

Do 4 Wojskowego Szpitala Klinicznego w 2013 roku było zapisanych 19 438 osób. Jak wyjaśnia jego rzeczniczka, placówka nie gromadzi jednak informacji na temat związku z wojskiem pacjentów zapisanych do lekarza pierwszego kontaktu.

„Chorych rozliczamy w Narodowym Funduszu Zdrowia na zasadach ogólnych, obowiązujących wszystkie placówki medyczne, niezależnie od ich organu założycielskiego. [...] Ministerstwo Obrony Narodowej już od lat nie oczekuje w rocznych sprawozdaniach informacji dotyczącej liczby żołnierzy leczonych w placówkach wojskowych”, napisano w wyjaśnieniu nadesłanym do redakcji.

Na przywileje, zgodnie z obowiązującymi przepisami, mogą liczyć jedynie inwalidzi wojenni, wojskowi oraz osoby represjonowane. Ci pacjenci mają priorytet w wypadku wizyt u specjalistów. Nie jest to jednak nic szczególnego, ponieważ na podstawie ustawy z 27 sierpnia 2004 roku o świadczeniach opieki zdrowotnej finansowanych ze środków publicznych takie przywileje musi zapewnić tej grupie pacjentów każda placówka ochrony zdrowia. Podobne prawo do opieki zdrowotnej poza kolejnością przysługuje też osobom mającym status weterana poszkodowanego.

W SZPITALACH I POLIKLINIKACH MAJĄCYCH W NAZWIE PRZYMIOTNIK „WOJSKOWY” LUDZIE ZE ŚRODOWISKA MUNDUROWEGO NIE MAJĄ ŻADNYCH PRZYWILEJÓW. TRAKTOWANI SĄ JAK TYŚCIĘ INNYCH PACJENTÓW

WOJSKOWY NIE TYLKO Z TRADYCJI

Powstaje zatem pytanie, czy wyraz „wojskowy” w nazwie tej placówki ma jakieś uzasadnienie? Odpowiedziano nam, że ma on wymiar historyczny, ponieważ szpital powstał niemal 70 lat temu i jest spadkobiercą tradycji wojennego Szpitala Lekko Rannych numer 6. Powody, dla których nosi taką nazwę, są utrwalone przez lata powojenne, gdy placówka służyła przede wszystkim żołnierzom oraz ich rodzinom.

Poinformowano nas, że obecnie, oprócz typowych zadań medycznych, szpital wykonuje też między innymi zadania mobilizacyjne. W jego strukturze mieści się także rejonowa baza zaopatrzenia medycznego. Ponadto placówka daje lekarzom wojskowym możliwość rozwoju

zawodowego, jest bazą dydaktyczną dla osób, które robią tu specjalizację.

We wrocławskim szpitalu, podobnie jak w innych tego typu placówkach ze słowem „wojskowy” w nazwie, prowadzone są także nieodpłatne szkolenia personelu medycznego zatrudnionego w innych jednostkach wojskowych. Sam też jest jednostką wojskową, w której służbę pełni kilkudziesięciu żołnierzy zawodowych, oraz stanowi ogniwo łańcucha ewakuacji i leczenia rannych na misjach zagranicznych. Jest także ujęty w systemie zabezpieczenia medycznego NATO.

Szukając związków szpitala z wojskiem, dowiedzieliśmy się również, że w 2013 roku przebadano w nim 3200 żołnierzy i pracowników wojska. 700 to osoby wyjeżdżające na misje lub z nich wracające, a 300 było związanych w różny sposób z Siłami Odpowiedzi NATO. Pozostałych skierowały tutaj na badania wojskowe komendy uzupełnień, biura emerytalne i jednostki.

Sprawdziliśmy więc, ile jest wojska w wojsku, czyli w szpitalu wojskowym. I wiemy, że placówka ta ma duże osiągnięcia na polu wdrażania nowych metod leczenia i ratowania życia. Jej oddziały są dobrze wyposażone i pracują w nich znakomici specjaliści. Czy jednak droga do niego musi być taka kręta? ■

SZEREGOWY ŁUKASZ DYDYNA

MŁODSZY MONTER DRUŻYNY KABLOWEJ BATERII
DOWODZENIA W DYWIZJONIE PRZECIWOLOTNICZYM
17 WIELKOPOLSKIEJ BRYGADY ZMECHANIZOWANEJ

ROK I MIEJSCE URODZENIA: 1986, Barlinek

W WOJSKU SŁUŻĘ OD... 2012 roku.

TRADYCJE WOJSKOWE: w mojej rodzinie zawsze byli ludzie związani z mundurem. Mój dziadek był milicjantem, a i wśród kuzynów jest żołnierz i policjant.

EDUKACJA WOJSKOWA: ukończyłem Wyższą Szkołę Oficerską we Wrocławiu na Wydziale Zarządzania, specjalizacja – zarządzanie kryzysowe.

NAJLEPSZA BRONIA: 5,56 KBS
BERYL – JEST SKUTECZNY,
CELNY I LEKKI!

ZOSTAŁEM ŻOŁNIERZEM, BO... służba wojskowa stwarza bardzo duże możliwości rozwoju oraz opiera się na honorze i pięknych tradycjach Wojska Polskiego, które są dla mnie ważne.

MOJE NAJWIĘKSZE OSIĄGNIĘCIE: już samo bycie żołnierzem 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej jest dla mnie zaszczytem. Obdarzenie mnie zaufaniem przez kolegów z pododdziału i powierzenie funkcji męża zaufania szeregowych zawodowych, a także wybór na szeregowego roku 17 WBZ, to jednak szczególnie ważne osiągnięcia w mojej karierze.

W UMUNDUROWANIU POLSKIEGO ŻOŁNIERZA PODOBAJĄ MI SIĘ... odznaki wojskowe. Cenię je za ich znaczenie, a nie za wygląd.

NIEZAPOMNIANY FILM: „Siedem dusz”, ponieważ pokazuje, że za swoje czyny trzeba ponosić odpowiedzialność. Ważne jest także pokazanie problemów ludzi, którzy potrzebują przeszczepu organów. Wiem, jakie to ważne, ponieważ mój brat jest po przeszczepie.

MISJE I ĆWICZENIA: udział w różnych ćwiczeniach wojskowych, w których uczestniczyła moja bateria. Na misję poza granicami kraju przyjdzie mi jeszcze poczekać.

GDYBYM NIE ZOSTAŁ ŻOŁNIERZEM, BYŁBYM DZIŚ... Nie było takiej opcji. Przed wstąpieniem do armii prowadziłem hurtownię oraz pracowałem jako urzędnik w starostwie powiatowym, w wydziale zarządzania kryzysowego.

PRZEŁOMOWE WYDARZENIE W ŻYCIU: NARODZINY MOJEGO SYNA IGNASIA, KTÓRY JEST MOJĄ DUMĄ.

MOJA KSIĄŻKA ŻYCIA: UWAŻAM, ŻE JEST WIELE CIEKAWYCH POZYCJI LITERACKICH, ALE NIE MAM JEDNEGO ULUBIONEGO TYTUŁU. WRAZ Z UPŁYWEM CZASU ZMIENIA SIĘ GUST LITERACKI.





KRZYSZTOF WOJCIEWSKI

TADEUSZ WRÓBEL

Łowcy skażeń

System wykrywania skażeń Sił Zbrojnych RP funkcjonuje 24 godziny na dobę. Jego sercem jest warszawski Centralny Ośrodek Analizy Skażeń.

Po wprowadzeniu konwencji o zakazie broni biologicznej i toksycznej (z 10 kwietnia 1972 roku) oraz chemicznej (z 13 stycznia 1993 roku) broń biologiczna i chemiczna jest całkowicie zakazana, co teoretycznie wyklucza jej masowe użycie. Jednak w pewnych okolicznościach może być ona wykorzystana, ale w sposób ograniczony. Potwierdzeniem, że mimo regulacji prawnych groźba użycia takiej broni nadal istnieje, są na przykład wydarzenia w Syrii, gdzie doszło do ataków chemicznych. Bronią masowego rażenia posługują się również ugrupowania niepaństwowe, takie jak organizacje terrorystyczne czy sekty. Ponadto tego rodzaju skażenia mogą być spowodowane katastrofą przemysłową lub wypadkiem drogowym. Dlatego od 2006 roku w Polsce istnieje zintegrowany krajowy system ich wykrywania.

CZARNOBYLSKA PRZESTROGA

Po raz pierwszy groźba skażenia radioaktywnego na terytorium Polski, niezwiązana zresztą z użyciem broni jądrowej, pojawiła się w 1986 roku, po awarii w elektrowni atomowej w Czarnobylu na Ukrainie. Wtedy się okazało, że wojsko nie ma odpowiednich urządzeń, by wykryć niewielkie zmiany promieniowania (tylko takie były na terytorium Polski). Detektory używane w siłach zbrojnych były przystosowane bowiem do pomiaru o wiele większych skażeń po użyciu broni jądrowej. Wprowadzenie do jednostek nowego bardzo czułego sprzętu pod koniec lat osiemdziesiątych XX wieku było pewnego rodzaju rewolucją.

„W siłach zbrojnych obecnie funkcjonuje automatyczna sieć wykrywania skażeń promieniotwórczych”, mówi pułkownik Bogusław Kot, dowódca Centralnego Ośrodka Analizy Skażeń w Warszawie, gdzie znajduje się serce wojskowego systemu. Stąd można automatycznie sterować urządzeniami, rozmieszczonymi w 13 miejscach na terenie kraju. Podob-

ny sprzęt do wykrywania tego typu skażeń znajduje się w punktach obserwacyjnych marynarki wojennej rozlokowanych na wybrzeżu Morza Bałtyckiego. „Jeśli takie urządzenie zaalarmuje o wzroście promieniowania, żołnierz pełniący służbę musi sprawdzić, czy podobne zmiany zasygnalizowały inne stacje w rejonie, także te cywilne, należące do Państwowej Agencji Atomistyki czy Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej”, wyjaśnia pułkownik Kot. „Jako wojsko jesteśmy bowiem elementem znacznie większej struktury, czyli krajowego systemu wykrywania skażeń i alarmowania”.

W wypadku skażeń promieniotwórczych potencjalnym zagrożeniem dla mieszkańców Polski mogą być istniejące w kilku państwach tej części Europy elektrownie atomowe. „Z tego powodu staramy się stworzyć ponadnarodowy system informowania i w 2013 roku przeprowadziliśmy trening razem z innymi państwami Grupy Wyszehradzkiej”, stwierdza pułkownik Sławomir Kleszcz, szef obrony przed bronią masowego rażenia (OPBMR). „Możliwość wymiany informacji między takimi placówkami jak warszawskie centrum zwiększa poziom bezpieczeństwa w regionie”, podkreśla. „Nasz ośrodek jest elementem systemu natowskiego”, dodaje pułkownik Kot.

Jak pokazała awaria w Czarnobylu, znaczna odległość obiektu stwarzającego zagrożenie od granicy państwa nie gwarantuje bezpieczeństwa. Skażenia promieniotwórcze mogą się bowiem przemieszczać nawet na znaczne odległości. Po awarii czarnobylskiej wiatr sprawił, że obłoki radioaktywne znalazły się nad Skandynawią, a nad Polskę dotarły dopiero od strony Bałtyku. „Największe skażenie w Polsce nie było wówczas na wschodzie, ale w rejonie wałbrzyskim, bo gdy przechodziła nad tym obszarem chmura radioaktywna, zaczął padać deszcz”, przypomina pułkownik Kot.

CHEMIA CZY BIOLOGIA?

Najłatwiej jest wykryć skażenie promieniotwórcze. „Ono przychodzi do nas z zewnątrz, z zagranicy. W wypadku skażeń chemicznych, musimy wejść na zagrożony teren, aby je wykryć”, mówi pułkownik Kleszcz. Ich potencjalne źródła to nie tylko wielkie zakłady chemiczne, które znajdują się na przykład w okolicach Tarnowa, Inowrocławia, Szczecina czy na Śląsku, →



Stan zagrożenia

Mobilne laboratorium COAS składa się z trzech specjalistycznych dziesięcioosobowych sekcji – biologicznej, chemicznej i radiologicznej.

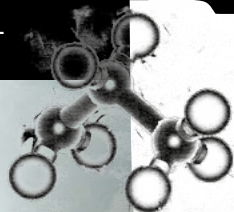
Każda z nich dzieli się na trzy zespoły: laboratoryjny (oficer laboratorium, analityk i technik kierowca), pobierania prób (dowódca, laborant i technik kierowca) oraz logistyczny (starszy technik i technik kierowca). Dziewiątym członkiem laboratorium jest dowódca.



W listopadzie 2013 roku przeprowadzono ćwiczenia „Błysk '13”, w których wzięło udział 100 różnych uczestników, w tym zespoły specjalistyczne z różnych jednostek wojskowych. Ich scenariusz zakładał prowadzenie operacji obronnej, podczas której nastąpi użycie broni masowego rażenia i pojawią się też skażenia chemiczne, biologiczne oraz promieniotwórcze. Głównym celem ćwiczeń „Błysk '13” było zgranie działania elementów systemu wykrywania skażeń Sił Zbrojnych RP.



Sekcja chemiczna



Specjalistyczne wyposażenie laboratorium mieści się we wnętrzu zabudowy (ma ona system filtracyjno-wentylacyjny) na podwoziu samochodu Scam. „Jest ono przeznaczone do identyfikacji bojowych środków trujących i wybranych toksycznych środków przemysłowych”, wyjaśnia major Andrzej Biedrzycki, szef sekcji. „Wyposażenie laboratorium pozwala nam też wykryć produkty rozpadu lub syntezy bojowych środków trujących”, mówi porucznik Sylwia Pietrzyk, szef zespołu laboratoryjnego. Głównym przyrządem analitycznym jest chromatograf gazowy sprzężony ze spektrometrem masowym. Do wstępnej identyfikacji substancji jest wykorzystywany spektrometr podczerwieni. Bezpieczeństwo personelowi zapewnia komora rękawicowa, do której próbkę wkłada się od zewnątrz, przez specjalne okienko. Elementami wyposażenia laboratorium są butle z helem i azotem, wirówka, waga, przyrząd do oczyszczania próbek i myjka ultradźwiękowa. T W

lecz także mleczarnie i masarnie na terenie całego kraju. Skażenie może się też pojawić na drogach czy szlakach kolejowych, którymi są przewożone substancje toksyczne.

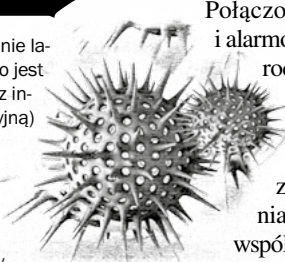
W jednostkach wojskowych położonych w pobliżu miejsc uznanych za niebezpieczne funkcjonują stałe punkty monitoringu. Obserwacją zajmuje się służba dyżurna i choć w jej składzie są nie tylko chemicy, to żołnierze dysponują sprzętem, który pozwala im wykryć skażenie promieniotwórcze i chemiczne. Niebezpieczeństwo wystąpienia tego drugiego istnieje zwłaszcza wtedy, gdy niedaleko od koszar znajdują się zakłady wykorzystujące w produkcji takie środki chemiczne, jak amoniak czy

chlor. „Na podstawie ocen poziomu zagrożenia każda jednostka ma przygotowane plany ewakuacji personelu, żołnierzy i pracowników wojska”, mówi pułkownik Sławomir Kleszcz. „Przy czym muszą być one wariantowe, uwzględniać rodzaj substancji i warunki atmosferyczne, takie jak kierunek i siła wiatru. Te czynniki mają bowiem znaczny wpływ na to, jak duży obszar zostanie skażony”.

W wypadku środków chemicznych pierwsze objawy zatrucia pojawiają się natychmiast, a po użyciu broni biologicznej dopiero po kilku tygodniach, gdy zaczynają chorować ludzie lub zwierzęta. Wykrycie tego rodzaju skażenia jest najtrudniejsze,

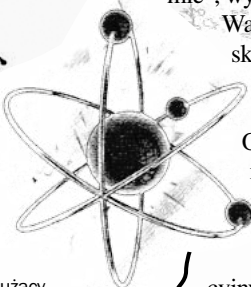
Sekcja biologiczna

Specjalistyczne wyposażenie laboratorium biologicznego jest umieszczone w zabudowie (z instalacją filtracyjno-ventylacyjną) na podwoziu samochodu Scam. „Skupiamy się na identyfikacji najbardziej zakaźnych patogenów, takich jak dżuma czy węglik. Tych, które mogą być wykorzystane przez terrorystów”, mówi major Mariusz Tyburski, szef sekcji. Próbkę do badań są dostarczane do wnętrza laboratorium przez specjalną służbę. Ich wstępna identyfikacja jest przeprowadzana za pomocą testów chromatograficznych. „Wynik otrzymujemy już po około 20 minutach i jest on podstawą do dalszych badań”, wyjaśnia porucznik Tomasz Binek, szef zespołu laboratoryjnego. Próbkę są badane w takich urządzeniach, jak rapid i bioluminometr. T W



Sekcja radiologiczna

Specjalistyczne wyposażenie mieści się w zabudowie (z systemem filtracyjno-ventylacyjnym) na podwoziu samochodu Scam. „Jest przeznaczone do wykrywania i identyfikacji izotopów alfa-, beta- i gamma-promieniotwórczych”, tłumaczy major Norbert Drzewic, szef sekcji. Główny sprzęt analityczno-pomiarowy to przede wszystkim przenośny system spektrometrii gamma InSpector 2000, służący do wykrywania i identyfikacji izotopów gamma-promieniotwórczych metodą spektrometrii gamma. Pozostałe metody to: analiza ilościowa zawartości izotopów alfa- i beta-promieniotwórczych w próbkach stałych i ciekłych, pomiar mocy dawki i powierzchniowych skażeń promieniotwórczych. T W



MILITARIUM STUDIO P K

a obecnie najlepszym „detektorem” tego zagrożenia jest, niestety, człowiek. „To jednak nie tylko nasz problem. Wszystkie kraje NATO widzą potrzebę stworzenia urządzeń, które pozwolą nam w miarę szybko wykryć zagrożenie biologiczne”, przyznaje pułkownik Kleszcz. „Jest to wielkie wyzwanie dla ośrodków naukowych, które już pracują nad takimi detektorami”.

Chemiccy zwracają uwagę na jeszcze jeden problem związany z bronią biologiczną. Skażenia chemiczne i promieniotwórcze są przypisane do konkretnego obszaru (na przykład gminy, miejscowości, a nawet jednej ulicy czy budynku). W wypadku skażeń biologicznych jest natomiast inaczej, ponieważ zarażeni

ludzie i zwierzęta przemieszczają się i przenoszą zarazki w inne miejsca, nawet odległe o setki czy tysiące kilometrów.

WE WSPÓŁPRACY SIŁA

Połączony cywilno-wojskowy system wykrywania i alarmowania o skażeniach nadzoruje minister obrony narodowej, a jego organem wykonawczym jest Centrum Dyspozycyjne Krajowego Systemu Wykrywania Skażeń i Alarmowania w Centralnym Ośrodku Analizy Skażeń. Tam powstają rozwiązania organizacyjne, procedury (sposoby meldowania) i inna dokumentacja, pozwalająca prowadzić wspólne działania elementom wojskowym i cywilnym.

Całodobowy dyżur w systemie wykrywania skażeń Sił Zbrojnych RP na różnych poziomach gotowości pełni kilkaset osób. „Istnieje w nim kilkadziesiąt stałych punktów monitoringu, które są utrzymywane w stanie jednogodzinnej gotowości”, mówi pułkownik Kot. Na szczeblach brygady (flotylli, skrzydeł), dywizji, korpusu, w ośrodkach dowodzenia i naprowadzania oraz rodzajów sił zbrojnych (także Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych i Dowództwa Garnizonu Warszawa) znajdują się natomiast ośrodki analizy skażeń, przy czym w warunkach pokoju, ze względu na koszty, funkcjonuje tylko część z nich. Od 1 stycznia 2014 roku OAS, które dotąd były w dowództwach Wojsk Lądowych, Sił Powietrznych i Marynarki Wojennej RP, znalazły się w Centrum Operacji Morskich, Centrum Operacji Powietrznych i 4 Pułku Chemicznym.

„Inspektoratowi Wsparcia podlegają ośrodki analizy skażeń wojewódzkich sztabów wojskowych, które mają bezpośredni kontakt z układem pozamilitarnym. Współpraca cywilno-wojskowa jest jednak możliwa w tej dziedzinie na każdym poziomie”, wyjaśnia szef OPBMR.

Ważnym elementem całego systemu wykrywania skażeń są laboratoria mobilne. Znajdują się one w 4 i 5 Pułku Chemicznym wojsk lądowych oraz w kompaniach chemicznych 3 Flotylli Okrętów i 8 Flotylli Obrony Wybrzeża. Własne ma też Centralny Ośrodek Analizy Skażeń. „Laboratoria w rodzajach sił zbrojnych mogą przeprowadzać analizy skażeń chemicznych i promieniotwórczych na poziomie taktyczno-operacyjnym, a nasze laboratorium jest szczeblem operacyjnym. Różni się również tym, że może badać skażenia biologiczne”, wyjaśnia dowódca COAS. Z laboratoriami blisko współdziałają zespoły pobierania prób, które dostarczają materiały do celów analitycznych. „Podstawową zasadą jest, że laboratorium »nie wchodzi« na teren skażony”, mówi pułkownik Kleszcz. Istnieje też pięć zespołów rozpoznania biologicznego.

Własne komórki przeznaczone do wykrywania skażeń mają również resorty rolnictwa i zdrowia, Państwowa Straż Pożarna, Straż Graniczna, wojewodowie oraz Państwowa Agencja Atomistyki. Funkcjonują one w całym systemie krajowym, ale przy zachowaniu kompetencji poszczególnych instytucji. I tak na przykład gdyby doszło do skażenia biologicznego, główna rola oraz odpowiedzialność za działania prowadzone w odpowiedzi na zagrożenie przypadłaby Ministerstwu Zdrowia i inspekcji sanitarnej. Przy skażeniu promieniotwórczym instytucją wiodącą byłaby natomiast Państwowa Agencja Atomistyki. ■

BOGUSŁAW POLITOWSKI

Cicho i skutecznie

„Korn”, komandos z Lublińca, opowiada o akcji pojmania jednego z groźnych talibów.

Operator Jednostki Wojskowej Komandosów z Lublińca „Korn” nie chce, żeby robić mu zdjęcia. Może ujawnić tylko swój pseudonim. Pytania o życie prywatne zbywa milczeniem. Owszem, ma rodzinę, ale to jest temat tabu. Niechętnie też opowiada o akcjach, w których brał udział. „Niektóre były ciche, spokojne, inne głośnie, z kontaktem ogniowym. Ot, taka praca”, podsumowuje komandos. O tych głośnych operatorzy z Lublińca mówią niechętnie. Ich dewiza przecież to: „cicho i skutecznie”.

Za zgodą przełożonych doświadczony komandos uchyla jednak rąbka tajemnicy. Przyznaje, że w Afganistanie były takie potyczki, które trwały chwilę – kilka strzałów oczyszczało drogę do celu lub pozwalało na bezpieczne wycofanie po akcji. Zdarzały się jednak i małe bitwy. Wówczas po wystrzeleniu sześciu magazynków ładowało się następne...

„Korn” przed akcją nie myśli o zagrożeniu. Zdaje sobie sprawę z tego, że ryzyko jest wpisane w jego zawód. Obawy, że może zostać ranny lub nawet zginąć, szybko od siebie odpędza, bo mogłyby działać destrukcyjne. Nie ukrywa też, że niekiedy podczas operacji na wrogim terenie strach ścisnął za gardło, ale nie na długo. Nie paraliżował go. W takich sytuacjach „Korn”, jako zastępca dowódcy sekcji, nie miał czasu myśleć o sobie. „Oczy trzeba mieć wówczas dookoła głowy i mniej myśleć o sobie, a więcej o tym, aby swoich ludzi bezpiecznie wyprowadzić z zagrożonego terenu”, twierdzi komandos.

Z ZASKOCZENIA

W czasie trzech zmian w Afganistanie „Korn” dziesiątki razy wychodził wykonywać zadanie, czasami nawet dwa, trzy razy w tygodniu. O wielu z nich już zapomniiał. W jego pamięci pozostały tylko akcje wyjątkowo niebezpieczne lub ciekawe. Opowiada o jednej

z nich. Twierdzi, że była niebanalna. Ważna jak wiele innych i niebezpieczna tak jak każda w Afganistanie, lecz nieszablonowa, ponieważ wymagała precyzyjnego przygotowania i wyjątkowego sprytu.

„Tego JPEL-a [rebelianta umieszczonego na liście najbardziej poszukiwanych osób] nasz wywiad od dawna miał na oku”, opowiada komandos. „Uważnie go obserwował. Było wiadomo, gdzie najczęściej się ukrywa. Talib, znajdujący się w pierwszej piątce na liście najbardziej poszukiwanych terrorystów, był jednak bardzo czujny. Gdy tylko słyszał nadlatujący śmigłowiec lub zauważył w okolicy jakieś pojazdy wojskowe, natychmiast opuszczał kryjówkę i znikał”. Zauważono, że w takich sytuacjach szukał schronienia w meczecie, do którego żołnierze koalicji nie mieli prawa wejść, lub wsiadał w samochód i na jakiś czas przepadał w nieznanym miejscu.

**„KORN” PRZED AKCJĄ
NIE MYŚLI O ZAGROŻENIU.
ZDAJE SOBIE SPRAWĘ
Z TEGO, ŻE RYZYKO JEST
WPISANE W JEGO ZAWÓD**

„Aby pojmać człowieka, który miał na sumieniu życie wielu żołnierzy sił międzynarodowych, musieliśmy niepostrzeżenie dostać się w okolice kalaty, w której się ukrywał”. Nie było to jednak łatwe. Terrorysty wszędzie mieli czujki. Śledzili każdy ruch wojsk koalicji. Ich agenci szczególnie uważnie obserwowali żołnierzy wojsk specjalnych.

„Tym razem postanowiliśmy zmienić taktykę, żeby przechytrzyć przeciwników. Zapadła decyzja, że do akcji użyjemy pojazdów innych niż zazwyczaj”, wspomina operator.

„Samochody musiały wyglądać jak wszystkie inne, ale trzeba je było tak przygotować, żeby nikt nie mógł zobaczyć, iż wewnątrz są ukryci uzbrojeni i wyposażeni żołnierze”.

Kiedy już wszystko przygotowano, komandosi czekali tylko na odpowiednią decyzję. W końcu dostali rozkaz. W stan gotowości postawiono elementy wspierające i zabezpieczające ich działania, czyli siły szybkiego reagowania (Quick Reaction Force – QRF), dysponujące transporterami i potężną siłą ognia, oraz afgańskich komandosów. W powietrze wystartował bezzałogowiec. Na końcu z bazy wyjechała grupa szturmowa.

Do budynku, w którym znajdował się terrorysta, komandosi dojechali, nie wzbudzając żadnych podejrzeń miejscowych. Jeden z żołnierzy prawie bezgłośnie otworzył najpierw bramę do obejścia, następnie drzwi do domostwa. Operatorzy po cichu szybko weszli do wnętrza kalaty. Dopiero wtedy terrorysta usłyszał niepokojące dźwięki i chciał wstać z łóżka. Na ucieczkę było jednak za późno. Przeprowadzone na miejscu akcji badania biometryczne potwierdziły tożsamość zamachowca. Razem z poszukiwanym zostali zatrzymani również jego dwaj bracia.

Akcja trwała zaledwie kilka minut. Kiedy operatorzy z Lublińca wycofywali się, zamknęli za sobą drzwi do budynku i bramę prowadzącą na podwórkę. Zniknęli w mroku bez śladu. Zabrali ze sobą talibów, ale przez wiele godzin nikt z mieszkańców tej miejscowości nie zauważył, że nie ma ich w domu.

„Chociaż w tej akcji nie padł ani jeden strzał, była ona bardzo niebezpieczna”, komentuje „Korn”. „Poruszaliśmy się po terenie wroga nieopancerzonymi pojazdami”.

Akcja polskich komandosów przyniosła ważny efekt wizualny. Wieść o zatrzymaniu jednego z przywódców terrorystów szybko bowiem rozeszła się w kręgach afgańskich bojowników. Był to dla nich sygnał, że nie znają dnia ani godziny...

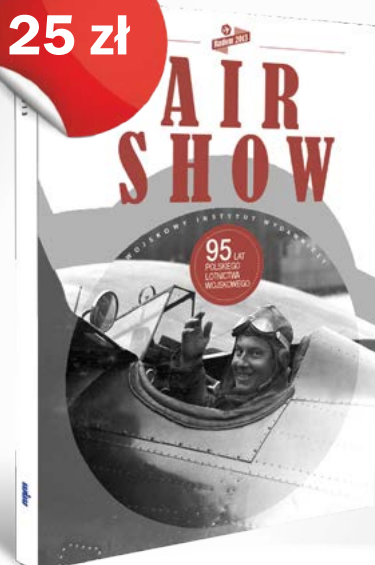
REFLEKSJE

„Operator Jednostki Wojskowej Komandosów to brzmi dumnie. Niedługo trzeba będzie jednak pomyśleć o innym zajęciu”, wyznaje „Korn”. „Dobiegam czterdziestki. U nas służy się do czasu, gdy się jest pewnym, że można dobrze wspomagać chłopaków z zespołu, że w czasie trudnej operacji nie jest się dla nikogo ciężarem. Kiedyś trzeba się będzie wycofać”.

Jak na razie jednak komandos nie narzeka na kondycję i zdrowie. Cieszy się, że w swojej jednostce doszedł do podoficerskiego stopnia, a zaczynał od zera. Jak wyznał, trochę mniej zadowolona z jego pracy jest żona. Trzy tury w Afganistanie, jedna w Iraku, 13 miesięcy na misji w Macedonii oraz wyjazdy na różnego rodzaju kursy i ćwiczenia to całe lata spędzone z dala od najbliższych. ■

BIB LIO TE KA WIW

25 zł



„Air Show. 95 lat polskiego lotnictwa wojskowego”

Wydawnictwo albumowe
na temat historii i współczesności
polskiego lotnictwa wojskowego
oraz Międzynarodowych
Pokazów Lotniczych
Air Show w Radomiu.

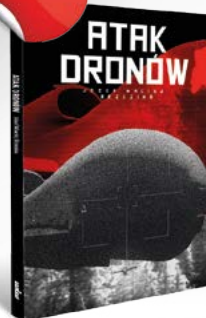
Praca zbiorowa, „Air Show. 95 lat polskiego
lotnictwa wojskowego”, Warszawa 2013,
wydanie I, polsko-angielskie, format A4,
obwoluta twarda, stron 132

20 zł

„Atak dronów”

Bogato ilustrowana prezentacja konstrukcji,
systemów sterowania oraz zastosowania
bezzałogowych statków powietrznych
– dronów – w wybranych armiach,
ze szczególnym uwzględnieniem
Stanów Zjednoczonych i Polski.

Józef Maciej Brzezina, „Atak dronów”, Warszawa 2013,
wydanie I, format B6, stron 148



10 zł



„Tajemnice Talibanu”

Jakimi motywami kierują się bojownicy
talibscy? Jakie są ich cele? Oto pytania,
na które starał się odpowiedzieć autor
książki o działalności talibów po 2001 roku.

Tomasz Pędzik, „Tajemnice Talibanu”,
Warszawa 2013, wydanie I, format B6, stron 84.

JAROSŁAW
RYBAK

Hasła i symbole

CORAZ CZĘŚCIEJ
Z SYMBOLIKĄ
JEST JAK
Z BOŻONARODZENIOWĄ
ATMOSFERĄ
W SUPERMARKETACH



Zaufaj gór, one cię ochronią”. Gdyby gdzieś pod Mount Everestem himalaista powiedział tak do kolegów, ci natychmiast zaczęliby go podejrzewać o problemy zdrowotne związane z utratą kontaktu z rzeczywistością. Każdy wspinacz wie, że góry można pokochać, czuć do nich szacunek i respekt. Nie można im jednak zaufać. Tymczasem hasło: „Zaufaj morzu, ono cię ocali”, było mottem naszej morskiej jednostki specjalnej. Ze świecą trzeba dziś szukać zarówno autora, jak i osób, którym się ono podobało. Podobno jednak Formoza wraca do swojego pierwotnego zawołania. Brzmi ładnie, nieznajomo, po łacinie: „Morituri non cognant”. Na polski można to przetłumaczyć jako „idący na śmierć nie znają swego losu”. Nie wiem, kto zdecydował, że hasło formacji specjalnej ma odwoływać się do śmierci jej członków podczas misji. Ono nie powinno być negatywne. Cichociemni własne credo opisali krótko: „Wywalcz jej wolność lub zgin”. Choć mówi o śmierci, to jednak jest przekazem pozytywnym, doskonale obrazującym determinację członków zespołu, którego dotyczy.

Nie od dziś mamy problem z symboliką militarno-patriotyczną oraz zgodą środowiska na to, aby nazbyt luźny miała ona związek z rzeczywistością. Jednym z najbardziej rozpoznawalnych symboli powstania warszawskiego jest przecież Mały Powstaniec, rzeźba kilkuletniego dziecka w hełmie, panterce, z pistoletem maszynowym w ręku. Pomnik wpisał się w popkulturę. Jest nawet modnym motywem tatuży. Tymczasem rzeźba zakłamuje historię sierpniowego zrywu w Warszawie. Nie tylko z tego powodu, że z braku broni żaden powstaniec nie oddałby kilkulkatowi pe-ema, lecz także dlatego, że dziecko z bronią to zaprzeczenie funkcji wychowawczej Szarych Szeregów. I na tym polega główny problem z tym pomnikiem. Podziemne harcerstwo zostało podzielone na grupy wiekowe. Członkowie najmłodszej – Zawiszek – skupiającej nastolatków w wieku 12–14 lat, mieli uczyć się na tajnych kompletach oraz przygotowywać do pełnienia służby pomocniczej w czasie akcji „Burza”. Dlatego dziecko w wieku „małego powstańca” nie mogło nie tylko walczyć, lecz także nawet należeć do konspiracyjnych Szarych Szeregów! Jak więc doszło do tego, że ten pomnik zaakceptowali powstańcy? Co prawda nie wszyscy. Osobiście znałem harcerzy z Szarych Szeregów oburzonych rzeźbą. Może jakąś próbą tłumaczenia jest to, że przy postumencie ustawiono tablicę z fragmentem wiersza Stanisława R. Dobrowolskiego „Warszawskie dzieci pójdziemy w bój”? Ale jeśli ktoś dosłownie potraktuje te słowa, to znaczy, że niewiele rozumie z historii.

Oczywiście można mówić, że symbole nie muszą być wiernym odzwierciedleniem rzeczywistości. To prawda. Ale z symboliką coraz częściej jest jak z bożonarodzeniową atmosferą w supermarketach. Zaczyna się prawie dwa miesiące przed świętami. I z roku na rok ma coraz mniej wspólnego z Bożym Narodzeniem. Ostatnio nawet trudno dociec, jakie święta obchodzimy w grudniu. ■

JAROSŁAW RYBAK JEST PUBLICYSTĄ ZAJMUJĄCYM SIĘ PROBLEMATYKĄ BEZPIECZEŃSTWA. AUTOREM KSIĄŻEK O POLSKICH JEDNOSTKACH SPECJALNYCH. BYŁ RÓWNIEŻ RZECZNIKIEM PRASOWYM MON I BBN.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Powrót do szeregu

Ranni żołnierze, którzy znaleźli się poza wojskiem, do końca 2014 roku mogą się starać o powrót do służby.

Zwolnienie ze służby – to był jeden z największych problemów rannych żołnierzy. Obrażenia, jakie odnieśli podczas misji zagranicznej lub na poligonie w kraju, przekreślały ich dalszą karierę w wojsku. Dla wielu oznaczało to katastrofę. Tak było jeszcze kilka lat temu. Potem poszkodowani żołnierze, nawet tacy, którzy stracili nogę czy rękę, zyskali szansę na powrót do munduru – mogli kontynuować służbę dzięki nowej kategorii wojskowej – „zdolny z ograniczeniem”.

POPRAWIONA USTAWA

Taką możliwość dała rannym żołnierzom znowelizowana w 2009 roku ustawa pragmatyczna. Wprowadziła ona stanowiska „zdolny z ograniczeniem”, czyli takie, na których nie w pełni sprawny żołnierz mógł nadal służyć. Nowe przepisy zaczęły obowiązywać w 2010 roku, gdy ukazały się rozporządzenia niezbędne do ich wykonania.

Po konsultacjach z dowódcami jednostek, a także ze Stowarzyszeniem Rannych i Poszkodowa-

nych w Misjach poza Granicami Kraju, w Wojskach Lądowych przygotowano 35 etatów: pięć przeznaczono dla poszkodowanych oficerów, dziesięć dla podoficerów w różnych stopniach, resztę dla szeregowych i starszych szeregowych zawodowych. W pierwszym roku chęć powrotu do armii na stanowisko Z/O zadeklarowało kilkanaście osób.

„Chcemy pomóc poszkodowanym żołnierzom, wykorzystać ich zdolności i doświadczenie, na przykład w szkoleniu przygotowawczym do misji. Tam, gdzie są takie możliwości, chcemy dać im szansę na odnalezienie się w służbie”, deklarował pułkownik Krzysztof Gradys, ówczesny pełnomocnik dowódcy Wojsk Lądowych do spraw poszkodowanych w misjach.

O tym, czy poszkodowany żołnierz może wrócić do służby, decydowała komisja lekarska, która oceniała, czy spełnia on określone wymogi zdrowotne. Kilkadziesiąt stron załączników do przepisów wykonawczych precyzyjnie określało schorzenia pozwalające pełnić służbę na stanowisku Z/O. Zdarzało się, że zapadała decyzja

KOMENTARZ

TOMASZ KŁOC



Tomasz Kłoc jest prezesem Stowarzyszenia Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju.

Wojsko powinno zagospodarowywać rannych żołnierzy, stwarzać im możliwość dalszej służby – zabiegaliśmy o to od chwili, gdy w 2008 roku powstało stowarzyszenie. Przedłużenie terminu składania wniosków o przywrócenie do służby na stanowisku Z/O daje szansę na taki powrót tym, którzy nie zdążyli tego zrobić, bo są jeszcze w trakcie leczenia. Uważam, że powinni z niej skorzystać także żołnierze, którzy pobierają renty z ZUS, bo „wejść” wówczas w wojskowy system emerytalno-rentowy, a to będzie dla nich korzystniejsze rozwiązanie.

negatywna. Zgodnie z obowiązującymi przepisami o takie specjalne etaty mogli ubiegać się tylko ci wojskowi, których z powodu odniesionych na misjach ran komisja lekarska nie odesłała do cywila. Gdy tak się stało, żołnierze musieli zdjąć mundur.

Byli żołnierze zawodowi, którzy z powodu odniesionych ran znaleźli się poza wojskiem, mieli dwa lata na złożenie wniosku o ponowne przyjęcie do służby. Nie wszyscy zdążyli to zrobić. Niektórzy na przykład nie zakończyli jeszcze leczenia, więc nie występowali z taką prośbą do ministra obrony narodowej, ale mieli taki zamiar.

Drzwi do armii ponownie otworzyła im poprawka, jaką do nowelizowanej ustawy o służbie żołnierzy zawodowych wprowadził senat jesienią 2013 roku. Przedłużyła on byłym żołnierzom, którzy doznali stałego lub długotrwałego uszczerbku na zdrowiu – byli ranni lub zachorowali podczas służby na misjach zagranicznych – możliwość wystąpienia do Ministerstwa Obrony Narodowej o powrót do służby. Mają na to czas do końca 2014 roku. Takim żołnierzom będzie można przyznać kategorię „zdolny z ograniczeniami”.

URAN PRZECIERA SZLAK

Stanowisko „zdolny z ograniczeniem” było tworzone dla konkretnego żołnierza. Pierwszym misjonarzem, który je otrzymał, był starszy szeregowy Emil Uran z 18 Batalionu Powietrznodesantowego w Bielsku-Białej, ranny na III zmianie Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Afganistanie. Przy obrażeniach, jakie Emil odniósł, gdy na drodze z Ghazni do Szarany jego samochód wjechał na „ajdika”, jego powrót do armii można uznać niemal za cud: usunięta nerka, śledziona, strzaskane biodro, kolano i kostka, złamane żebra i kręgosłup w trzech miejscach. Po roku rehabilitacji stanął przed komisją lekarską. Ale przy 80-procentowym uszczerbku na zdrowiu nie miał szans, aby wrócić do służby na normalnych zasadach. Miał tylko szczęście w całym tym nieszczęściu, że wypadek wydarzył się wtedy, gdy zmieniał się prawo.

Dziś Emil pracuje za biurkiem jako młodszy podoficer w sekcji personalnej 18 Batalionu Powietrznodesantowego. Wie, że nie pojedzie już na poligon ani nie skoczy ze spadochronem, ale jest zadowolony, że wrócił do jednostki.

W kancelarii 5 Batalionu Strzelców Podhalańskich pracuje starszy szeregowy Krzysztof Laszewicz, który pojechał na VII zmianę do Afganistanu jako strzelec wyborowy. Został ranny na snajperskim posterunku obserwacyjnym w prowincji Adżiristan. Odłamkami moździerza dostał w nogę, kolano, pośladek, biodro, ucho i dłoń. Wiedział, że nie ma szans, aby wrócić na stanowisko snajpera, ale nie wyobrażał sobie powrotu do cywila. Nawet nie pomyślał, aby przejść na rentę powypadkową. „Nie potrafiłbym się odnaleźć w cywilu, bo wojsko było całym moim życiem”, mówi Krzysztof.

Gdy wojskowa komisja lekarska przyznała mu kategorię „zdolny z ograniczeniem”, dowódca 5 Batalionu Strzelców Podhalańskich w Przemyślu specjalnie dla niego stworzył takie stanowisko. Od czerwca 2012 roku pracuje w kancelarii jednostki: rejestruje pisma, wydaje dokumenty, archiwizuje dane, prowadzi bibliotekę. Ma jednak większe ambicje



Zapraszamy do udziału w pierwszej w Polsce
branżowej imprezie dla entuzjastów
rekonstrukcji historycznej!

FORUM Rekonstrukcja Historyczna

29-30.03.2014



www.rekonstrukcja-historyczna.targikielce.pl

W ramach Forum:

- Konferencja: Historia ożywiona – historyczne, prawne i techniczne aspekty rekonstrukcji historycznej
- Konkurs o Laur „COP-2014”
- Ekspozycja grup rekonstrukcyjnych z wszystkich okresów historycznych
- Ekspozycja firm świadczących usługi na rzecz grup rekonstrukcyjnych
- Kiermasz militariów, książek historycznych, gier militarnych i komiksów

Początek sezonu imprez rekonstrukcyjnych w Polsce!



organizatorzy

Biuro organizacyjne: Targi Kielce SA, Monika Witke, tel. 41 365 12 08, 692 893 437, witke.m@targikielce.pl

PATRONAT HONOROWY:



WOJEWODA
ŚWIĘTOKRZYSKI



PREZYDENT
MIASTA
KIELCE



MARSZAŁEK
WOJEWÓDZTWA
ŚWIĘTOKRZYSKIEGO

PATRONAT MERYTORYCZNY:



PATRONAT MEDIALNY:



– chce awansować. W styczniu rozpoczął naukę w szkole podoficerskiej.

SZANSA NA AWANS

Żołnierze z kategorią „zdolny z ograniczeniem” zyskali szansę na taki awans od wiosny 2012 roku. Wówczas otworzyły się przed nimi drzwi do Szkoły Podoficerskiej Wojsk Lądowych imienia Generała Brygady Franciszka Seweryna Włada w Poznaniu. „Nie nadajemy się do służby w kompaniach szturmowych, ale jeśli pracujemy w wojskowej administracji, też chcemy się rozwijać zawodowo”, mówi Emil Uran, który był jednym z pierwszych absolwentów kursu o specjalności: „administracja wojskowa”.

Skierowanie żołnierzy z kategorią zdrowia Z/O na kurs podoficerski nie wymagało zmian legislacyjnych, lecz jedynie przygotowania odpowiedniego programu szkolenia. Szansę na skierowanie do poznańskiej szkoły mają ci żołnierze z kategorią Z/O, którzy skończyli szkołę średnią oraz dostali piątkę z ostatniego opiniowania służbowego i nie byli karani. Przed rozpoczęciem nauki nie muszą zdawać egzaminów wstępnych i są zwolnieni z WF-u.

Trzy miesiące trwa szkolenie ogólne. Żołnierze uczą się między innymi regulaminów, musztry i podstaw dowodzenia. Chodzą na wykłady, strzelają z pistoletu, trenują na basenie i siłowni. Potem czeka ich miesięczne szkolenie specjalistyczne, na którym poznają między innymi przepisy dotyczące działalności kadrowej, ochrony informacji niejawnych oraz programy komputerowe, z których korzysta armia. Starsi szeregowi po zakończeniu kursu podoficerskiego na pierwszy stopień podoficerski zostają mianowani na kaprali, a po powrocie do swoich jednostek obejmują stanowiska podoficerskie w administracji wojskowej.

Dla szeregowych mających kategorię Z/O ukończenie kursu podoficerskiego jest przepustką do stałej służby wojskowej, bo jako szeregowi mogą służyć jedynie 12 lat (taką cezurę wyznacza znowelizowana w 2009 roku ustawa pragmatyczna).

Od kwietnia 2012 roku kursy podoficerskie w Poznaniu ukończyło dziesięciu weteranów misji, a pięciu jest w trakcie nauki. W 2013 roku w armii na stanowiskach „zdolny z ograniczeniami” służyło 38 żołnierzy, większość w Wojskach Lądowych, pozostali – w Inspektoracie Wsparcia Sił Zbrojnych i w Dowództwie Garnizonu Warszawa.

TEŚKNOTA ZA MUNDUREM

„Nie było łatwo, ale się udało”, cieszył się plutonowy Paweł Śliza z 2 Mazowieckiego Pułku Saperów, gdy po siedmiu latach starań powrócił do służby.

Podczas II zmiany PKW Irak w 2004 roku został bardzo ciężko ranny. W trakcie operacji oczyszczania terenu z materiałów niebezpiecznych w wyniku ostrzału moździerzowego doszło do detonacji zebranych bomb i pocisków. Poparzenia, jakie odniósł, obliczono na 85 procent powierzchni ciała, niemal stracił słuch. Już podczas rehabilitacji myślał o tym, aby wrócić do czynnej służby. Niestety, w tamtym czasie przepisy nie przewidywały takiej możliwości.

„Poparzenia się wygoiły, słuch jest pod kontrolą, przeszedłem kolejną, ósmą, operację, ale gdy półtora roku od wypadku stanąłem na komisji, wyrok brzmiał: kategoria E”, opowiada Paweł. Odwołał się, ale rejonowa komisja podtrzymała

OD KWIETNIA 2012 ROKU KURSY PODOFICERSKIE W POZNANIU UKOŃCZYŁO DZIESIĘCIU WETERANÓW MISJI, A PIĘCIU JEST W TRAKCIE NAUKI

werdykt. W 2006 roku został zwolniony z nadterminowej służby wojskowej i przeniesiony do rezerwy. Jako pracownik wojska został zatrudniony na stanowisku starszego referenta sekcji rozpoznawczej brygady. I tęsknił za mundurem.

Wprowadzone w 2010 roku zmiany w przepisach dotyczących służby dla żołnierzy rannych i poszkodowanych w misjach poza granicami kraju, otworzyły Pawłowi drzwi do armii. Stanął ponownie przed wojskową komisją lekarską. „Jak będziemy przyjmować głuchych, ślepych i inwalidów bez rąk czy nóg, stworzymy armię inwalidów”, usłyszał od lekarza, ale kategorię Z/O otrzymał. „Wierzyłem, że wrócę do wojska. Byłem, jestem i pozostanę żołnierzem”, mówi Paweł. I w tym przekonaniu nie przeszkadza mu wcale 75-procentowy uszczerbek na zdrowiu. Obecnie Paweł objął stanowisko starszego podoficera sekcji personalnej sztabu brygady.

II zmiana PKW w Iraku zakończyła się dla starszego szeregowego Arkadiusza Polewskiego z 23 Pułku Artylerii z Bolesławca urazem kręgosłupa. Komisja orzekła, że jest niezdolny do dalszej służby. Po dwóch latach ZUS odebrał mu rentę, więc podjął pracę jako kierownik sklepu. Gdy zmienione przepisy umożliwiły powrót do wojska, skorzystał z tej okazji. Skończył kurs w szkole podoficerów w Poznaniu. „Chcę się rozwijać i awansować”, mówi Arkadiusz. Ocenia, że stanowiska Z/O to świetna sprawa, bo wojskowemu trudno odnaleźć się w cywilu. I powtarza słowa, które często można usłyszeć od innych „zdolnych z ograniczeniem”: „Czujemy się przecież żołnierzami”.

Ostatnia runda

Były żołnierz zawodowy chory na PTSD przez lata walczył o przyznanie renty.

Pprzed Sądem Apelacyjnym w Szczecinie po długotrwałym procesie sądowym (sprawa o sygn. akt. AUa 479/13) 30 grudnia 2013 roku zapadł wyrok, na mocy którego uchylono wyrok sądu okręgowego z 28 lutego 2013 roku (sprawa o sygn. akt. VI U 813/11). Odmówiono wówczas uznania byłego żołnierza zawodowego za inwalidę. Sąd apelacyjny przyznał mu prawo do II grupy inwalidztwa w związku ze służbą, powstałego w wyniku choroby, z tytułu której przysługują świadczenia odszkodowawcze.

Spór sięga początku 2011 roku, gdy w wyniku toczącego się postępowania Terenowa Wojskowa Komisja Lekarska w Szczecinie uznała, że żołnierz jest w pełni zdolny do pełnienia zawodowej służby wojskowej mimo długiego wywiadu chorobowego na tle PTSD. Żołnierz wniósł odwołanie od tego orzeczenia do Rejonowej Wojskowej Komisji Lekarskiej w Bydgoszczy, która podtrzymała stanowisko TWKL w Szczecinie. Żołnierz został zwolniony z zawodowej służby wojskowej z powodu nieprzedłużenia mu kontraktu, a wojskowe biuro emery-

talne odmówiło wypłaty świadczenia rocznego, ponieważ w chwili zwolnienia nie miał okresu służby wymaganego do jego przyznania. Na podstawie orzeczeń wojskowych komisji lekarskich Wojskowe Biuro Emerytalne w Szczecinie odmówiło byłemu żołnierzowi również prawa do renty wojskowej. Ta decyzja została jednak zaskarżona. Przed sądem przeprowadzono dowody w postaci opinii biegłych sądowych: psychiatry, psychologa, neurologa oraz lekarza medycyny pracy. Podważyli oni prawidłowość oceny stanu zdrowia żołnierza dokonanej przez komisje lekarskie i uznali, że odwołującego się należy uznać za osobę o całkowitej i trwałej niezdolności do pełnienia zawodowej służby wojskowej, a także częściowej niezdolności do pracy. Mimo to sąd dokonał wadliwej oceny tej opinii, co stało się przedmiotem apelacji wniesionej przez żołnierza. Sąd apelacyjny naprawił błąd sądu pierwszej instancji i uznał, że żołnierz powinien zostać uznany za niezdolnego do służby i częściowo niezdolnego do pracy w związku ze służbą wojskową. R K ■

Wygrana komandosa

Sąd Apelacyjny w Katowicach (po rozpoznaniu apelacji dyrektora Wojskowego Biura Emerytalnego w Katowicach od wyroku sądu okręgowego) wydał wyrok uchylający decyzję organu rentowego odmówienia przyznania prawa do renty wojskowej żołnierzowi, który stał się inwalidą w wyniku wypadku na służbie. Sprawa dotyczyła żołnierza zawodowego z Jednostki Wojskowej Komandosów, który w wyniku wypadku w czasie służby znalazł się w ciężkiej sytuacji życiowej. Dowódca odmówił podpisania z nim kolejnego kontraktu na pełnienie służby wojskowej między innymi z tego powodu, że żołnierz nie rokował w sprawie dalszej służby. Wojskowa komisja lekarska uznała natomiast, że jest on zdolny do służby. Wojewódzki Sąd Administracyjny w Krakowie stwierdził, że odmowa zawarcia kolejnego kontraktu odbyła się z naruszeniem prawa i wydał wyrok na korzyść żołnierza, a Sąd Okręgowy Pracy w Katowicach przyznał mu prawo do wojskowej renty inwalidzkiej – na stałe. Wyrok jest prawomocny i biuro emerytalne w Katowicach musi wypłacić żołnierzowi należne świadczenie rentowe z wyrównaniem za okres od dnia złożenia wniosku. R K ■

niezbędnik

Dodatek dla pilota

Czy godziny lotów na samolotach F-16 w wypadku żołnierzy, którzy odbyli szkolenie w USA, powinny być uwzględniane przy określaniu podstawy świadczenia emerytalnego zgodnie z ustawą o zaopatrzeniu emerytalnym żołnierzy zawodowych oraz ich rodzin?

Pprzed Sądem Okręgowym Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Poznaniu (sprawa o sygn. akt. VII U 1971/13/11) 3 grudnia 2013 roku zapadł już drugi wyrok w sprawie dotyczącej byłych oficerów (pilotów) samolotów F-16, tym razem pozytywny dla odwołującego się.

Dyrektor Wojskowego Biura Emerytalnego w Poznaniu odmówił pilotom

podwyższenia świadczenia emerytalnego o 4 procent podstawy za wykonywanie lotów w składzie personelu latającego na samolotach naddźwiękowych. Powodem odmowy była nieregulowana w odpowiednim czasie kwestia statusu żołnierzy skierowanych do Stanów Zjednoczonych na szkolenie w lotach na F-16. Na podstawie zeznań świadków sąd doszedł do wniosku, że piloto-

wi powinno się zwiększyć świadczenie emerytalne o 4 procent podstawy wymiaru za loty na tych maszynach.

Powyższe prawo wynika z przepisów rozporządzenia Rady Ministrów w sprawie szczegółowych warunków podwyższania emerytur wojskowych z 27 lutego 1995 roku (DzU nr 21 poz. 110, z późn. zm.), które stanowią, że „emeryturę wojskową podwyższa się o 2 procent podstawy wymiaru za każdy pełny rok zawodowej służby wojskowej pełnionej bezpośrednio w składzie personelu latającego na samolotach naddźwiękowych, jeżeli żołnierz wykonywał loty w wymiarze nie mniejszym niż 30 godzin w ciągu roku”.

Przed sądem toczy się trzecia, i ostatnia, sprawa tożsama przedmiotowo, której finału można się niebawem spodziewać. R K ■

Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych. Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

Ojcowski dla kontraktowego

PODSTAWY PRAWNE: ustawa z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (tekst jednolity DzU 2010 nr 90 poz. 593, z późn. zm.) – art. 3 ust. 1, art. 6 ust. 1 pkt 1, art. 65 ust. 1; rozporządzenie ministra obrony narodowej z 30 grudnia 2009 roku w sprawie urlopów żołnierzy zawodowych (DzU 2010 nr 2 poz. 9, z późn. zm.) – § 12 ust. 1 pkt 1.

Jestem żołnierzem w służbie kontraktowej. Czy należy mi się urlop ojcowski lub macierzyński?

→ **Odpowiedź na pytanie czytelnika można znaleźć w przepisach powszechnie obowiązującego prawa.** 17 czerwca 2013 roku weszła w życie zmiana ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych. Zgodnie ze znowelizowanym art. 65 ust. 1 tego aktu żołnierzowi zawodowemu przysługuje urlop macierzyński, dodatkowy urlop macierzyński, urlop na warunkach urlopu macierzyńskiego, dodatkowy urlop na warunkach urlopu macierzyńskiego, urlop ojcowski oraz urlop rodzicielski na zasadach i w wymiarze określonych w kodeksie pracy. Ustawodawca wprowadził zatem dodatkowe uprawnienie dla żołnierzy zawodowych poza prawem do urlopu macierzyńskiego, który przysługiwał także na podstawie po-

przednio obowiązującego stanu prawnego. Ustawa pragmatyczna wskazuje także wprost, że żołnierze zawodowi to żołnierze w czynnej służbie wojskowej, czyli pełniący stałą albo kontraktową zawodową służbę wojskową (art. 3 ust. 1 w związku z art. 6 ust. 1 pkt 1 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych).

Wziąwszy powyższe pod uwagę należy stwierdzić, że od 17 czerwca 2013 roku żołnierz zawodowy (w tym także żołnierz odbywający służbę kontraktową) ma prawo do korzystania z uprawnienia w postaci urlopu ojcowskiego oraz macierzyńskiego na zasadach określonych w kodeksie pracy. ■

MAREK PASZKIEWICZ
Kancelaria Radców Prawnych SC
K. Przymęcka & J. P. Przymęcki

Żołnierz w spółdzielni

Zgodnie z art. 57 ustawy o służbie wojskowej żołnierz zawodowy nie może być członkiem organów spółek prawa handlowego oraz przedsiębiorców. Tymczasem spółdzielnia mieszkaniowa prowadzi działalność gospodarczą oraz jest przedsiębiorcą. Czy w takiej sytuacji skuteczny jest wybór żołnierza zawodowego do rady nadzorczej spółdzielni?

→ **Ustawa o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych reguluje wiele dziedzin związanych z zawodową służbą wojskową, między innymi prawa i obowiązki żołnierzy w kwestii prowadzenia działalności gospodarczej i działalności w podmiotach będących przedsiębiorcami.** Zgodnie z art. 57 żołnierz zawodowy nie może wchodzić w skład organów spółek, innych przedsiębiorców oraz fundacji. Powyższy zakaz, choć dość lakoniczny, jest jednoznaczny.

Należy się jednak zastanowić nad ważnością wyboru osoby będącej w czynnej służbie wojskowej do organów spółdzielni, która prowadzi działalność gospodarczą i jest przedsiębiorcą. W pierwszej kolejności trzeba zaznaczyć, że wybór rady nadzorczej według prawa spółdzielczego leży w gestii walnego zgromadzenia (odpowiednio zebrania przedstawicieli, zebrania grup członkowskich). Wyboru dokonuje się spośród członków spółdzielni, chyba że wybierze się osobę prawną. Sama rada sprawuje funkcję kontrolną i nadzorczą nad działalnością spółdzielni.

W ocenie kancelarii wybór osoby będącej w czynnej służbie wojskowej, która de facto ma zakaz sprawowania określonej funkcji w podmiotach będących przedsiębiorcami, można słusznie ocenić jako nieważny, ponieważ został dokonany

Czas służby

Służę w Wojskach Lądowych. Proszę o informację na temat czasu pracy w służbie. Kodeks pracy mówi o 40 godzinach tygodniowo. W wojsku nadgodziny uznaje się jednak, gdy czas służby przekroczy 48 godzin. Rozumiem, że te osiem godzin żołnierz może przepracować bez oczekiwania, że dowódca mu je „zwróci”?

→ **Kwestia czasu służby żołnierzy zawodowych została kompleksowo uregulowana w ustawie o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych oraz rozporządzeniu ministra obrony narodowej w sprawie czasu służby żołnierzy zawodowych.** Akty te wystarczająco opisują ten problem, więc nie trzeba się odwoływać do postanowień kodeksu pracy.

Czas służby nie powinien przekraczać 40 godzin tygodniowo. Jednocześnie wykonywanie zadań służbowych nie może przekraczać przeciętnie 48 godzin w tygodniu w czteromiesięcznym okresie rozliczeniowym (art. 60 ust. 2 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych). Wydłużenie 40-godzinnego czasu służby może nastąpić tylko w drodze wyjątku, w uzasadnionych okolicznościach sprecyzowanych w § 6 ust. 2 rozporządzenia w sprawie czasu służby żołnierzy zawodowych. Ustawodawca wskazał także, że za czas służby przekraczający 40 godzin w tygodniu (a nie jak wskazuje autor pytania – 48 godzin) należy się żołnierzowi czas wolny w tym samym wymiarze. Ustawa pragmatyczna wprowadza natomiast czteromiesięczny okres rozliczeniowy. Ustalenie uprawnienia do czasu wolnego za „po-

nadnormatywny” czas służby następuje zatem po upływie czterech miesięcy. O ile bowiem w kodeksie pracy ustawodawca dał swobodę pracodawcom w kwestii ustalania okresu rozliczeniowego (do niedawna były to maksymalnie cztery miesiące, a po nowelizacji przepisów prawa pracy nawet 12 miesięcy), o tyle ustawa pragmatyczna dotycząca żołnierzy zawodowych takiej możliwości nie przewiduje i wprowadza sztywny, czteromiesięczny okres rozliczeniowy.

Dowódca jednostki wojskowej lub upoważniona przez niego osoba są zobowiązani prowadzić w formie pisemnej ewidencję czasu służby, w której odnotowuje się w szczególności czas wykonywania przez żołnierzy zadań służbowych przekraczający normy czasu służby, a także rozliczenie wykorzystanego czasu wolnego (§ 12 ust. 1 i 2 rozporządzenia w sprawie czasu służby żołnierzy zawodowych).

Podsumowując, należy stwierdzić, że za przekroczenie 40 godzin służby w tygodniu, z uwzględnieniem czteromiesięcznego okresu rozliczeniowego, żołnierzowi należy się czas wolny w tym samym wymiarze. Zasady dotyczące terminów, w jakich dowódca jednostki winien udzielić czasu wolnego, zostały określone w rozporządzeniu w sprawie czasu służby żołnierzy zawodowych, w szczególności w § 8 i 11 tego aktu.

MAREK PASZKIEWICZ
Kancelaria Radców Prawnych SC
K. Przymęcka & J. P. Przymęcki

(świadomie czy też nie – nie ma to znaczenia) sprzecznie z art. 57 ust. 1 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych. Konstatacja nieważności wypływa z brzmienia art. 58 kodeksu cywilnego, zgodnie z którym czynność prawna sprzeczna z ustawą albo mająca na celu obejście ustawy jest nieważna. Podobne konsekwencje, wskazujące na nieważność podjętej czynności, a dokładnie uchwały organu spółdzielni, znajdują się w ustawie „Prawo spółdzielcze”, gdzie w myśl art. 42 ust. 2 każda uchwała sprzeczna z ustawą jest nieważna.

Należy jednak podkreślić, że uchwała walnego zgromadzenia korzysta z domniemania zgodności z prawem, więc obowiązuje wszystkich członków spółdzielni i jej organy do czasu ustalenia jej nieważności w postępowaniu sądowym lub do czasu jej uchylenia w postępowaniu wewnątrzspółdzielczym, lub na skutek wniesienia powództwa do sądu o uchylenie. Skoro zatem do chwili obecnej

żadne z postępowań się nie toczy oraz nie zapadło wiążące orzeczenie sądu powszechnego, opinia o nieważności wyboru nie może przesądzić o braku respektowania i stosowania danej uchwały organu spółdzielni.

W opisywanym przypadku należy się zastanowić także nad sytuacją żołnierza, który zdecydował się na kandydowanie i wybór do władz spółdzielni mimo posiadanego zakazu. W ocenie kancelarii takie zachowanie będzie uprawniać do wszczęcia i prowadzenia przeciwko niemu postępowania dyscyplinarnego z uwagi na rażące naruszenie podstawowych i ustawowych obowiązków określonych w ustawie o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych.

JAKUB PIOTR PRZYMĘCKI, radca prawny
Kancelaria Radców Prawnych SC
K. Przymęcka & J. P. Przymęcki

PODSTAWY PRAWNE:
ustawa z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (tekst jednolity DzU 2010 nr 90 poz. 593, z późn. zm.) – art. 60 ust. 2; rozporządzenie ministra obrony narodowej z 26 czerwca 2008 roku w sprawie czasu służby żołnierzy zawodowych (DzU 2008 nr 122 poz. 786) – § 4 ust. 1 i 2, § 6, § 12.

PODSTAWY PRAWNE:
ustawa z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (DzU 2010 nr 90 poz. 593, z późn. zm.) – art. 57; ustawa z 16 września 1982 roku „Prawo spółdzielcze” (DzU 2003 nr 188 poz. 1848, ze zm.) – art. 42; ustawa z 23 kwietnia 1964 roku „Kodeks cywilny” (DzU 1964 nr 16 poz. 93; z późn. zm.) – art. 58.

Odszkodowanie po ugryzieniu kleszcza

Jestem żołnierzem zawodowym i od ponad dziesięciu lat służę w wojskach desantowych. Kiedy byłem na poligonie, ugryzł mnie kleszcz, ale go nie zauważyłem, bo wbił się w małżowinę uszną. Odpadł dopiero po kilku dniach. Po badaniach okazało się, że zaraził mnie boreliozą. Obawiam się teraz, że moja choroba może być przesłanką zwolnienia mnie ze służby. Co powinienem zrobić? Czy mogę się ubiegać o jakieś odszkodowanie?

→ **Może się Pan ubiegać o odszkodowanie.**

W pierwszej kolejności należy złożyć pisemny meldunek do bezpośredniego przełożonego wraz ze swoim oświadczeniem, zawierającym krótki opis sytuacji. Należy przede wszystkim napisać, kiedy doszło do ukąszenia przez owada oraz w jaki sposób została ujawniona choroba. Choć jest to sprawa dość nietypowa, dowódca jednostki wojskowej nie może jej zbagatelizować i powinien powołać komisję powypadkową, która ustali okoliczności wypadku i sporządzi protokół. Od ustaleń zawartych w protokole zainteresowanemu przysługuje prawo do złożenia zastrzeżeń na piśmie. Później protokół oraz pozostała część dokumentacji powypadkowej zostanie przekazana do właściwego wojewódzkiego sztabu wojskowego w celu wydania kwalifikacji prawnej (stwierdzenie, czy wypadek zdarzył się podczas pełnienia zawodowej służby wojskowej, w trakcie wykonywania czynności służbowych, w ramach szkolenia).

Gdy wyda on pozytywną kwalifikację, to skieruje Pana do właściwej rejonowej wojskowej

komisji lekarskiej, by ustalić związek zakażenia z sytuacją, która zaistniała na poligonie oraz by ocenić ewentualny stopień trwałego lub długotrwałego uszczerbku na zdrowiu. Komisja po przeprowadzeniu stosownych badań wyda orzeczenie lekarskie, od którego może się Pan odwołać do Centralnej Wojskowej Komisji Lekarskiej w Warszawie w terminie 14 dni od dnia doręczenia.

Jeżeli wojewódzki sztab wojskowy wyda negatywną kwalifikację prawną, to zostanie wydana decyzja o odmowie wypłaty odszkodowania, którą można zaskarżyć do właściwego sądu rejonowego pracy i ubezpieczeń społecznych w terminie 30 dni od dnia doręczenia. Osobną kwestią jest to, czy w sprawie w ogóle dojdzie do ustalenia długotrwałego lub trwałego uszczerbku na zdrowiu, ponieważ borelioza jest chorobą, którą można wyleczyć.

ROBERT KŁOSIŃSKI

PODSTAWY PRAWNE:

ustawa o świadczeniach odszkodowawczych przysługujących w razie wypadków i chorób pozostających w związku ze służbą wojskową z 11 kwietnia 2003 roku (DzU 2003 nr 83 poz. 760, z późn. zm.) – art. 2, 5 i 6; rozporządzenie ministra obrony narodowej zmieniające rozporządzenie w sprawie wykazu chorób, pozostających w związku ze służbą wojskową, z tytułu których przysługują świadczenia odszkodowawcze z 17 marca 2009 roku (DzU 2009 nr 52 poz. 426) – § 2 – vide załącznik do rozporządzenia, poz. 15; rozporządzenie ministra obrony narodowej zmieniające rozporządzenie w sprawie postępowania w razie wypadku lub ujawnienia choroby, pozostających w związku z pełnieniem czynnej służby wojskowej z 4 stycznia 2012 roku (DzU 2012 poz. 72) – § 6 i 7.

Jaki dodatek?

Jestem żołnierzem zawodowym od dziewięciu lat, a od trzech jako sierżant zajmuję stanowisko dowódcy obsługi. Nie dostaję niestety dodatku dowódczego, choć na co dzień dowodzę żołnierzami, a egzamin z wychowania fizycznego zdaję zgodnie z normami dla grupy dowódczej. Czy jest to zgodne z przepisami?

→ **Dodatek się nie należy.** Wyjaśnienia wymaga na wstępie pojęcie dodatku, o który ubiega się zainteresowany. Czytelnik użył nazwy „dodatek dowódczy”. Jest to błędna nazwa, ponieważ w opisaną przez czytelnika sytuacji można rozpatrywać wyłącznie kwestię ewentualnego uprawnienia do otrzymywania dodatku służbowego, o którym

mowa w paragrafie 22 rozporządzenia ministra obrony narodowej w sprawie dodatków do uposażenia zasadniczego żołnierzy zawodowych. W tym przepisie ustawodawca wymienił enumeratywnie stanowiska, których zajmowanie przez żołnierza zawodowego uprawnia go do otrzymywania wskazanego dodatku. To, które zajmuje czytelnik, nie zostało ujęte w treści rozporządzenia, a tym samym nie przysługuje mu dodatek. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

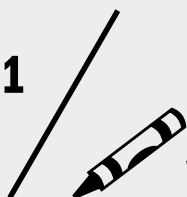
PODSTAWA PRAWNA:

rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie dodatków do uposażenia zasadniczego żołnierzy zawodowych z 8 czerwca 2004 r. (DzU 2004 nr 141, poz. 1497), tekst jednolity DzU 2013 poz. 1151 – § 22 ust. 1 pkt. 1).

Do you speak English?

Część pisemna testów językowych sprawia zdającym sporo trudności.

Level 1



writing

Część pisemna (writing) na poziomie pierwszym składa się z dwóch zadań: odpowiedzi na e-mail oraz krótkiej notatki (memo) do przełożonego.

W poleceniach w języku polskim znajdują się informacje, co musisz zawrzeć w swojej odpowiedzi. Aby o niczym nie zapomnieć, wykorzystaj miejsce na notatki w arkuszu egzaminacyjnym. Pamiętaj, że twoja praca pisemna musi być uporządkowana i poprawna gramatycznie. Powinieneś też zwrócić uwagę na to, żeby nie powtarzać tych samych zwrotów.

Zadanie 1

Otrzymałeś następujący e-mail od kolegi.

Cześć!

Przepraszam, że tak długo nie pisałem, ale byłem ostatnio chory na grypę. Czuję się fatalnie i prawie dwa tygodnie nie było mnie w pracy. Rzecz jasna, szef nie był tym zachwycony. Po powrocie musiałem zostawać po godzinach, więc byłem bardzo zajęty.

W ostatnim mailu pytasz, czy nie spędzilibyśmy z Wami wakacji. Rozmawiałem z żoną i bardzo się z tej propozycji ucieszyła. Mamy ochotę pojechać w tym roku po górach, ale wyjazd nad morze też dobrze by nam zrobił. Najbardziej odpowiada nam druga połowa lipca, choć bierzemy też pod uwagę sierpień. Odpisz, proszę, jak najszybciej. Jaki termin odpowiada Wam najbardziej? Gdzie chcielibyście pojechać?

Z niecierpliwością czekam na odpowiedź.

Pozdrawiam. Andrew

Odpowiedz na niego w 12–15 zdaniach.

Napisz: ● że przykro Ci z powodu choroby kolegi, ● że też chorowałeś i opisz, co Ci dolegało, ● gdzie moglibyście wyjechać i dlaczego jest to najodpowiedniejsze miejsce, ● zaproponuj termin wyjazdu, ● kiedy i gdzie możecie się spotkać, żeby omówić szczegóły.

E-mail to podchwytliwa forma wypowiedzi, ponieważ w komunikacji elektronicznej Native English Speakers (NES) używają konstrukcji, które na egzaminie będą uznane za błąd gramatyczny. Pamiętaj zatem, że na egzaminie każde zdanie musi zawierać podmiot i musisz napisać: „I had a nice weekend”, chociaż w e-mailu od NES możesz zobaczyć sformułowanie: „Had a nice weekend”.

Przykładowa odpowiedź

Hi Andrew,

I was sad to find out that you were sick. However, I am glad to know you are all right now. At this time of year it is quite easy to catch the flu. Last week, I had to spend a few days in hospital myself. I had breathing difficulties and doctors said that it was a bad case of influenza.

It will be great to spend a few days at the seaside in August and catch up with you guys. I work on some projects that won't be completed until late

July. That is why we'd like to take summer holidays in August.

Kate has already booked a very nice bungalow in Ustka for the four of us.

My wife is still undergoing rehabilitation after a knee injury. That is why we'd like to go to the seaside instead of mountain climbing this year.

Why don't we meet in Tygmont Club on Friday to discuss the details? Does 6.30 p.m. suit you?

Talk to you soon. XYZ

Zadanie 2

Twój przełożony był chory. Jako jego zastępca poszedłeś na spotkanie z komendantem. Następnego dnia nie możesz mu osobiście przekazać informacji na ten temat, bo nie będzie Cię w pracy, napisz mu więc krótką wiadomość.

Uwzględnij w niej następujące informacje: ● dlaczego nie będzie Cię w pracy, ● dlaczego byłeś na spotkaniu z komendantem, ● czego ono dotyczyło, ● że należy przesłać komendantowi raport do końca tygodnia, ● gdzie zostawiłeś przełożonemu ważne dokumenty.

Przykładowa odpowiedź

To: Maj. Stan Kowalski

From: Capt. XYZ

Subject: Review of the current situation / Update.

Date: November 28, 2013

On the 25th of November, I participated in a meeting with the Commandant. Following issues were mentioned during a two-hour session:

1) Armory relocation.

2) Dragon 2013 Exercise preparations.

Every company is required to deliver readiness report by the end of this week. All documents from the meeting and a draft of the report are in the safe deposit in my office.

Due to the fact that I have to complete compulsory medical screening tests, I will be absent on the 29th of November.

Na koniec spokojnie przeczytaj jeszcze raz swoje odpowiedzi i sprawdź, czy uwzględniłeś wszystkie punkty zawarte w poleceniu.

OPRACOWAŁ ARKADIUSZ SAWA

Jeśli masz jakiegokolwiek pytania związane z egzaminem, wyślij e-mail do autora: areksawa@yahoo.com.au

INFORMACJE



E-sprawdzian

Wojsko zaczęło korzystać z nowego systemu informatycznego, mającego ułatwić zarządzanie danymi dotyczącymi egzaminów sprawnościowych żołnierzy.

Prace nad zunifikowanym oprogramowaniem, mającym ułatwić zarządzanie danymi o kondycji żołnierzy, rozpoczęto trzy lata temu w Zarządzie Szkolenia – P7 Sztabu Generalnego WP we współpracy z Resortowym Centrum Zarządzania Projektami Informatycznymi. W 2010 roku na prototypowym systemie jako pierwsza pracowała centralna komisja egzaminacyjna Ministerstwa Obrony Narodowej, a w ostatnich dwóch latach także dowództwa rodzajów sił zbrojnych. Od 2014 roku z systemu informatycznego „Sprawdzian” będzie korzystać już całe wojsko. Znajdą się tam między innymi wyniki testów z wychowania fizycznego z podziałem na płeć, wiek i stanowisko. Dzięki e-bazie dowódcy będą mieli wgląd w oceny żołnierzy nawet z ostatnich kilku lat. Nowe rozwiązanie jest pomocne szczególnie tym, którzy zasiadają w komisjach. Po zdaniu egzaminie administrator systemu wpisze wyniki żołnierzy i prześle do wspólnej bazy. Dostęp do nich będzie możliwy tuż po zakończonym sprawdzianie. Co więcej, wyniki testów sprawnościowych będą automatycznie wprowadzane do systemu kadrowego. Ocena kondycji żołnierza znajdzie się więc w jego elektronicznej „teczce personalnej” razem z innymi informacjami dotyczącymi na przykład ukończonych kursów czy przebiegu służby. PZ ■

KADRY

Bez „martwych stopni”

Automatyczny awans otrzyma około 24 tysięcy podoficerów w służbie czynnej i rezerwie. To efekt nowych przepisów ustawy pragmatycznej, które likwidują formalnie nieistniejące już w armii stopnie wojskowe.

Zgodnie z nowelizacją ustawy pragmatycznej, która obowiązuje od 1 stycznia 2014 roku, starszy plutonowy automatycznie zostanie awansowany na stopień sierżanta, sierżant sztabowy i starszy sierżant sztabowy będą młodszymi chorążymi, a młodszy chorąży sztabowy i chorąży sztabowy zostaną starszymi chorążymi sztabowymi.

W sumie na awans z automatu liczyć może około pięciu tysięcy podoficerów w służbie czynnej. Mianowanie na wyższy stopień otrzyma też blisko 19 tysięcy podoficerów rezerwy i w stanie spoczynku. Jeśli mający „martwe stopnie” podoficerowie wracają do

służby, są przydzielani na stanowiska zaszerogowane do najbliższego tego istniejącego niższego stopnia. Rozkazy o mianowaniu podoficerów będzie wydawać dyrektor Departamentu Kadr MON. Szacuje się, że cała „operacja awansów” potrwa pół roku i będzie kosztować około 12 milionów złotych.

Zgodnie ze znowelizowaną pragmatyką od 1 stycznia 2014 roku korpus podoficerski składa się z trzech grup: podoficerów młodszych (kapral, starszy kapral i plutonowy), podoficerów (sierżant, starszy sierżant i młodszy chorąży) oraz podoficerów starszych (chorąży, starszy chorąży i starszy chorąży sztabowy). PZ ■

KONDYCJA

Egzaminy z WF-u

Zołnierze mogą zdawać egzaminy z WF-u przez cały rok, a nie, jak dotąd, w dwóch terminach. To kolejne zmiany dotyczące testów sprawnościowych. Poprzednie, obowiązujące od 2013 roku, wprowadziły dodatkowy termin organizowania sprawdzianów. Dla tych, którzy z przyczyn zdrowotnych lub służbowych nie podeszli do nich w maju i czerwcu, dowódcy jednostek w okresie od lipca do października wyznaczali nowy termin testu.

Od 2014 roku, dzięki nowelizacji rozporządzenia MON, testy sprawnościowe będą organizowane w ciągu całego roku. Wojsko w ten sposób chce zwiększyć frekwencję na egzaminach. Rozwiązanie ma między innymi wyeliminować sytuacje, gdy żołnierze nie zdają WF-u z przyczyn służbowych. Według nowego prawa, żołnierza, który w dniu egzaminu będzie w podróży

służbowej, nie ominie test sprawności, bo będzie musiał go zdać w wyznaczonym, późniejszym terminie. Ci z kolei, którzy przez co najmniej 30 dni będą przebywać służbowo w innym miejscu, właśnie tam podeszli do egzaminu. Dodatkowy termin na sprawdzenie kondycji będzie też dla żołnierzy przebywających na zwolnieniu lekarskim. Z egzaminów zostaną natomiast zwolnione kobiety w ciąży lub karmiące dziecko piersią.

Nowelizacja rozporządzenia wynika też z wejścia w życie od 1 stycznia 2014 roku nowej struktury dowodzenia i kierowania siłami zbrojnymi. Dotychczasowe komisje egzaminacyjne na szczeblach dowództw rodzajów sił zbrojnych zostaną zastąpione przez komisje dowództw: Generalnego i Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych, powoływane przez ich dowódców. PZ ■

Ł A T W E

Nalewka z dzikiej róży

Kilogram owoców dzikiej róży, pół kilograma cukru, litr wódki, kawałek kory cynamonu, kilka goździków, garść rodzynek.

Owoce oczyścić, usunąć nasiona, umyć i osuszyć. Włożyć do słoja i zasypać cukrem. Odstawić w ciepłe miejsce na 14 dni, aby puściły sok. Po tym czasie zalać alkoholem, dodać przyprawy i rodzynek. Stój zakręcić i odstawić na kolejne dwa tygodnie. Co kilka dni nim potrząsać. Potem nalewkę przecedzić i rozlać do butelek. Postawić w chłodne miejsce. Alkohol powinien

odczekać co najmniej trzy miesiące, zanim będzie się nadawał do picia.

Dzika róża to pospolity krzew w całym kraju. Porasta zarośla, skraje lasów, miedze i przydroża. Jej owoce najlepiej zbierać po przymrozkach albo można przemrozić je w zamrażalniku. Stają się wtedy miękkie i łatwo uzyskać z nich sok. Niestety tracą też w ten sposób część witaminy C. Nalewka z dzikiej róży jest rozgrzewająca i działa wzmacniająco. A D



niezbędnik

T R U D N E

Zupa grzybowa z gwiazdnicą

Półtora litra bulionu, garść suszonych grzybów, cztery ziemniaki, dwie cebule, pięć łyżek kaszy jęczmiennej, dwa ząbki czosnku, filiżanka umytej i posiekanej gwiazdnicy, pieprz, sól, szczypiorek, śmietana.

Grzyby i kaszę gotujemy w bulionie pół godziny, dodajemy pokrojone ziemniaki i cebulę. Pod koniec, kiedy warzywa będą miękkie, dosypujemy gwiazdnicę i zmiażdżony czosnek. Zupę solimy, pieprzymy i gotujemy jeszcze moment, a na koniec dodajemy szczypiorek oraz doprawiamy kilkoma łyżkami śmietany.

Gwiazdnica pospolita występuje w całej Polsce. Rośnie na polach uprawnych, w ogrodach, zaroślach, lasach i na przydrożach. Można ją zbierać przez cały rok. Kwitnie czasem nawet zimą, a jej białe kwiaty kształtem przypominają gwiazdy. Liście można jeść na surowo w sałatkach – smakiem przypominają zielony groszek – ale ze względu na zawartość saponin większe ilości lepiej jest ugotować. Posiekane liście dodane do ciasta sprawiają, że upieczone z nimi podplomyki zyskują ciekawy smak.

A D



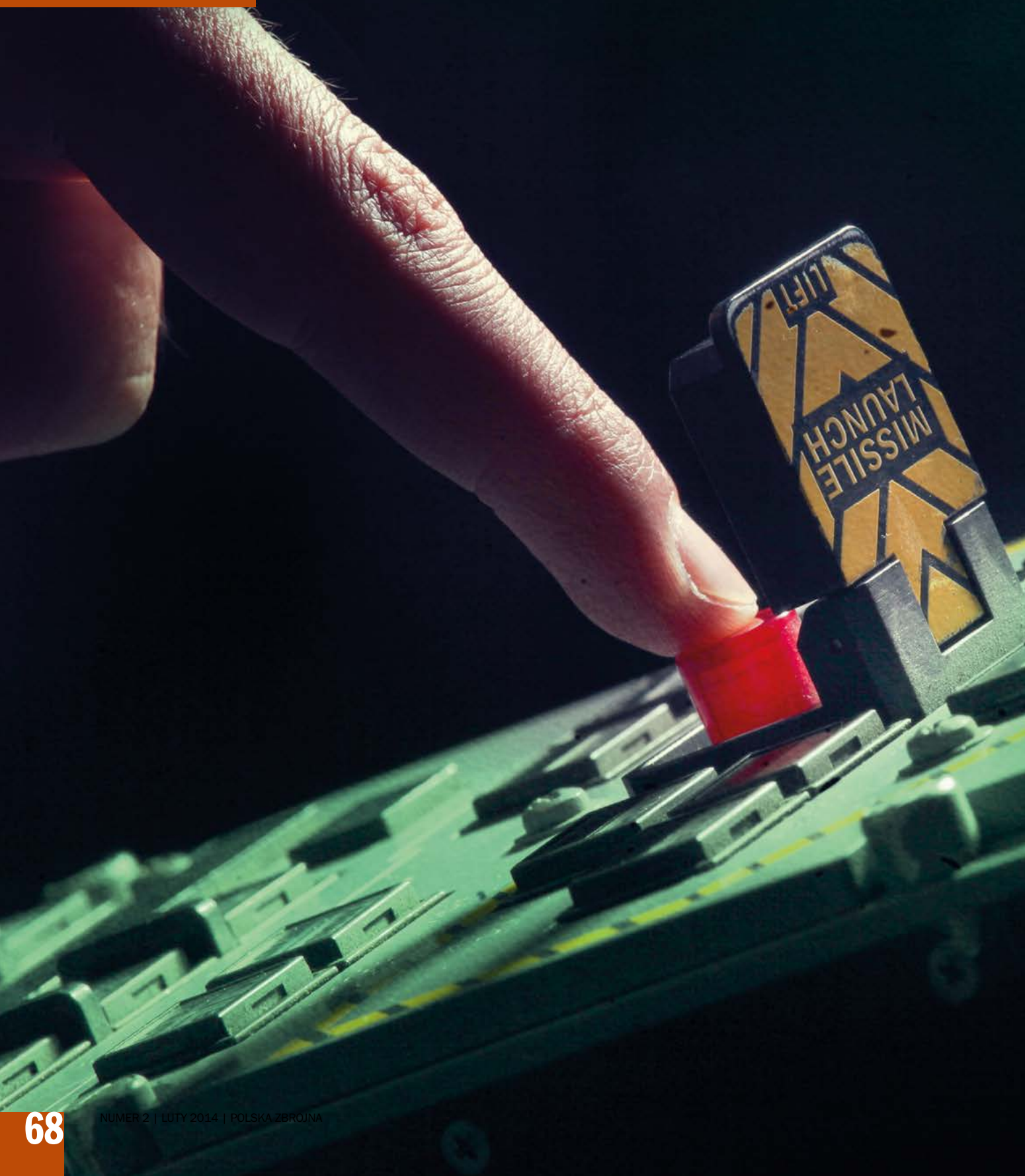
| Z Ż O Ł N I E R S K I E G O K O T Ł A |



PIOTR
BERNABIUK

Batonik
przetrwania

Wydawałoby się, że kuchnia survivalowa jest szczególnie wyrafinowana. Nic bardziej mylnego. Teoretycznie survivalowe jedzenie jest to takie jedzenie, które konsumuje się wówczas, gdy już nie ma zupełnie nic do jedzenia. A skoro go nie ma, to trzeba je jakoś zdobyć. Zgodnie z instrukcją przetrwania z amerykańskiego podręcznika survivalu należy upolować wiewiórkę. Jak to jednak zrobić? Według tego poradnika, musimy oprzeć sosnowy kołek z pętlami chwytającymi o pień brzozy pod kątem 45 stopni i czekać na zdobycz. Tyle że nikt nigdy jeszcze w ten sposób nie złapał ani wiewiórki, ani innego leśnego stworzenia. Jeśli jednak podejść do tego zagadnienia od strony „naukowej”, dochodzimy do wniosku, że ta instrukcja przetrwania została tak sporządzona, by nie wpakować nas w kłopoty związane z kłusownictwem. Zaoszczędzi nam to też innych rozterek, bo skoro nie złapiemy nieszczęsnego stworzenia, to nie musimy go ani mordować, ani oprawiać, ani tym bardziej spożywać na surowo. Ponadto, co jest jeszcze ważniejsze, nie narazimy się na zarażenie wścieklizną. Cóż zatem powinien zrobić żołnierz po takiej analizie, która zapewne nie tylko pochłonęła sporo jego energii, lecz także nie doprowadziła na dodatek do konsumpcji. Jak uczy jednak doświadczenie, profesjonalista zawsze ma „zabunkrowany gdzieś batonik przetrwania”. Nie umrze więc z głodu.



| P R Z E G L Ą D |



KRZYSZTOF
WILEWSKI

GRA O MILIARDY

Na nowy system obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej naszego kraju wydamy od kilkunastu do kilkudziesięciu miliardów złotych. Ministerstwo Obrony Narodowej chce każdą z warstw tego parasola zbudować z produktów polskiej zbrojeniówki.

KURTKUBIK/FOTOLIA®



ARMATA 35 MM



ZESTAW PRZECIWOLOTNICZY POPRAD

ELEMENTY SYSTEMU VSHORAD

→ GRA O MILIARDY

Dzisiejszy system obrony przeciwlotniczej Polski trudno nazwać parasolem ochronnym. O ile nie można niczego zarzucić wyszkoleniu naszych żołnierzy, o tyle trudno to samo powiedzieć o uzbrojeniu, które mają jednostki obrony przeciwlotniczej – trzy pułki przeciwlotnicze z wojsk lądowych oraz brygady obrony powietrznej. Głównie są one wyposażone w oparte na technologii sprzed czterdziestu lat przeciwlotnicze zestawy rakietowe 9K33M2/M3 Osa i 2K12 Kub (w wojskach lądowych) oraz S-125 Newa i jeden S-200WE Wega (w siłach powietrznych). Niezbyt korzystnego obrazu nie zmieniają nowsze rodzime systemy artyleryjskie i rakietowe bardzo krótkiego zasięgu – Strzała-2M i Grom, 23-milimetrowe armaty przeciwlotnicze ZU-23-2 oraz zestawy artyleryjsko-rakietowe ZUR-23-2KG i ZSU-23-4MP Biała.

NOWY SYSTEM

Na szczęście nie tylko powstał projekt odbudowy naszego potencjału przeciwlotniczego, lecz także postanowiono wzmocnić parasol ochronny nad Polską. W ramach „Planu modernizacji technicznej na lata 2013–2022” Siły Zbrojne RP mają otrzymać sześć baterii rakietowych Wisła i 11 baterii rakietowych Narew, 77 zestawów przeciwlotniczych Poprad, 486 rakiet przeciwlotniczych Grom lub Piorun, a także sześć przeciwlotniczych systemów rakietowo-artyleryjskich bliskiego zasięgu Piłica (do 2018 roku), 12 stacji radiolokacyjnych Soła (do 2015 roku) oraz 15 stacji radiolokacyjnych Bystra (do 2022 roku).

Pierwszą warstwę nowego systemu obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej naszego kraju będzie stanowił VSHORAD (very short range air defense), system bardzo krót-



STACJA RADIOLOKACYJNA SOŁA

DO 2022 ROKU SIŁY ZBROJNE RP
MAJĄ OTRZYMAĆ:

- 6** baterii rakietowych Wisła
- 11** baterii rakietowych Narew
- 77** zestawów przeciwlotniczych Poprad
- 486** rakiet przeciwlotniczych Grom lub Piorun
- 6** przeciwlotniczych systemów rakietowo-artyleryjskich bliskiego zasięgu Piłica
- 12** stacji radiolokacyjnych Soła
- 19** stacji radiolokacyjnych Bystra

kiego zasięgu, oparty na zestawach rakietowo-artyleryjskich Grom lub Piorun oraz artyleryjskich produkowanych przez Polski Holding Obrony (dawny Bumar), zarządzanych przez rodzime systemy dowodzenia i łączności, którym informacji dostarcza polskie radary.

Drugą warstwę parasola ochronnego mają tworzyć systemy rakietowe krótkiego zasięgu (do 25 kilometrów). Zestawy SHORAD (short-range air defence) mają nosić oznaczenie Narew. Plan modernizacyjno-techniczny na lata 2012–2022 zakłada kupno 11 baterii rakiet tego typu. Szukamy też takich poci-

WEDŁUG SZACUNKÓW NASZEGO MINISTERSTWA OBRONY NA **TARCZE** POTRZEBA CO NAJMNIJ KILKUNASTU MILIARDÓW ZŁOTYCH

sków SHORAD, które mogą nie tylko zwalczać klasyczne cele powietrzne, takie jak samoloty, śmigłowce czy bezzałogowce, lecz także niszczyć pociski manewrujące. O ile w wypadku rakiet krótkiego zasięgu likwidowanie nieprzyjacielskich pocisków manewrujących to jedynie zdolność dodatkowa, o tyle w ostatniej, trzeciej warstwie nowego systemu OPL i OPR naszego kraju, w odniesieniu do zestawów MRAD (medium range air defence), czyli rakiet średniego zasięgu (do 100 kilometrów), jest to wymóg bezwzględny.

W kwestii zarówno systemów dowodzenia i łączności, jak i rozpoznawczych MON bierze pod uwagę różne warianty: kupno gotowych rozwiązań w postaci jednego systemu z efektorami SHORAD i MRAD, głęboką polonizację, czyli produkcję radarów i systemów dowodzenia w Polsce, oraz połączenie radarów oferowanych przez polskich producentów z systemami uzbrojenia kontrahenta zagranicznego.

ZAPEWNIONE FINANSOWANIE

Według szacunków naszego ministerstwa obrony, na tarczę, czyli nowy system obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej kraju, potrzeba co najmniej kilkunastu miliardów złotych. Niektórzy eksperci ostrzegają jednak, że przy tak ambitnych planach może ona kosztować około 30 miliardów. Wskazują również, że ponieważ budżet MON jest powiązany z PKB kraju i uzależniony od głosowania parlamentarzystów, w wypadku tego typu projektów kluczem do ich realizacji jest stabilne finansowanie niezależne od kasy ministerstwa. Rządzącym udało się jednak znaleźć salomonowe rozwiązanie.

„Podpisuję ustawę, która będzie gwarantowała jako absolutny priorytet dla polskich sił zbrojnych budowę własnego systemu obrony przed zagrożeniami lotniczymi i rakietowymi”, stwierdził prezydent Bronisław Komorowski w kwietniu 2013 roku, gdy w Szypliszkach koło Suwałk złożył podpis pod nowelizacją ustawy o modernizacji technicznej i finansowaniu sił zbrojnych. Wprowadziła ona wymóg, że w ramach 1,95 procent PKB, który co roku w budżecie państwa jest zapisywany na obronność, kwoty wynikające ze wzrostu gospodarczego muszą być przeznaczane na wyposażenie wojska w środki obrony przeciwrakietowej i przeciwlotniczej. Przyjmując jako wyznacznik budżet MON z 2013 roku, na OPL i OPR resort obrony musi przeznaczyć około pięciu procent ze swoich środków.

SZANSA DLA POLSKI

Zarówno prezydent RP Bronisław Komorowski, jak i premier Donald Tusk oraz minister obrony narodowej Tomasz Siemoniak podkreślają, że w naszym interesie jest, aby przy tak dużych wydatkach na zbrojenia jak najwięcej pieniędzy zostało w Polsce. O ile jednak w wypadku systemów VSHORAD już wiadomo, że będą to rodzime rozwiązania, ponieważ będziemy kontynuowali zakupy już wprowadzonego do służby uzbrojenia tego typu, o tyle zestawy SHORAD i MRAD musimy pozyskać w sposób gwarantujący każdej zainteresowanej firmie możliwość zdobycia lukratywnego kontraktu, ale bez łamania unijnych przepisów, takich jak dyrektywa 2009/81/WE.

Aby chronić polskie interesy, Ministerstwo Obrony Narodowej jako wymóg bezwzględny stawia ewentualnym kontraktom polonizację i transfer technologii do naszego kraju (i rodzimych firm). Latem 2013 roku Inspektorat Uzbrojenia MON w ramach dialogu technicznego zaprosił producentów zestawów rakietowych średniego zasięgu do rozmów na ten temat.

„Celem dialogu technicznego jest zidentyfikowanie uwarunkowań związanych z ewentualnym transferem wiedzy, technologii oraz produkcji wybranych elementów i podzespołów przez przedsiębiorstwa polskiego przemysłu zbrojeniowego, a także udział krajowych ośrodków naukowo-badawczych w pracach rozwojowych związanych z opracowywaniem i modernizacją zestawów rakietowych obrony powietrznej”, podkreślał kilka miesięcy temu podpułkownik Jacek Sońta, rzecznik prasowy ministra obrony.

Do dialogu zgłosili się wszyscy liczący się obecnie na świecie producenci przeciwlotniczych i przeciwrakietowych zestawów rakietowych, a także niezbędnych do ich działania radarów oraz systemów dowodzenia i łączności – Northrop Grumman International Trading Inc., Raytheon Company i Boeing Company SM&DS. (wszystkie firmy z USA), francuski koncern MBDA oraz turecki Aselsan AS, włoski Selex i Thales (którego w rozmowach będzie reprezentować polskie przedstawicielstwo). To jednak nie wszystko. Polskim kontraktem zainteresowały się również mniejsze firmy. Wpłynęły zatem wnioski od amerykańskiej firmy MEADS International Inc., hiszpańskiej Indry oraz Sener spółki z o.o. (zależnej od Sener Ingenieria y Sistemas). Znaczące było również to, że izraelskie przedsiębiorstwa w rozmowach z Inspektoratem Uzbrojenia Ministerstwa Obrony Narodowej reprezentowała rządowa agencja Sibat.

Oficer z ministerstwa obrony, zaangażowany w dialog z producentami, przyznaje, że zagraniczne firmy bardzo różnie podchodzą do kwestii polonizacji i transferu technologii do naszego kraju: „Najbardziej otwarci na bliską współpracę z rodzimym

przemysłem są Francuzi oraz Izraelczycy. Amerykanie zdecydowanie mniej, ale ich stanowisko w ostatnich miesiącach uległo znaczącej zmianie. Teraz już nie wykluczają transferu technologii do Polski, ale jeszcze kilka miesięcy temu rozmowy z nimi były bardzo trudne, uważali, że mają system gotowy od A do Z”, komentuje oficer i dodaje, że najbardziej zacięta dyskusja dotyczy polonizacji rakiet. „Nic w tym dziwnego. Gdy weźmie się pod uwagę koszt całego systemu, jednej baterii wraz z systemem dowodzenia i łączności oraz radarami, to okazuje się, że właśnie pociski kosztują najwięcej. Stanowią one około 70 procent wartości”.

JESTEŚMY GOTOWI

Taką wycenę potwierdza doktor inżynier Tomasz Zawada, główny konstruktor i integrator systemu obrony przeciwrakietowej i przeciwlotniczej w Bumarze Elektronika SA. I dodaje, że nasz budżet odczuje to nie tylko przy zakupie, lecz także podczas używania uzbrojenia. Przy założeniu, że system będzie używany przez 20–30 lat, za jego eksploatację (serwisowanie i modernizację) trzeba będzie zapłacić około 60 procent ceny zakupu.

„To jest gra o miliardy złotych, które wydamy na zakup, utrzymanie, serwisowanie, a potem modernizację i ulepszanie systemów raketowych obrony przeciwrakietowej i przeciwlotniczej. Bardzo ważna jest dobra i mądra polonizacja radarów czy systemów dowodzenia i łączności, które w całości mogą być polskie, ale przede wszystkim efektorów, czyli pocisków”, dodaje inżynier.

Marek Borejko, dyrektor programu „Tarcza Polski” i jednocześnie dyrektor działu obsługi klienta strategicznego w Polskim Holdingu Obronnym przyznaje, że nasz przemysł jest gotowy do tak głębokiej polonizacji tego projektu. Wiosną 2013 roku ówczesny Bumar powołał do życia konsorcjum Tarcza Polski, którego liderem i integratorem został Polski Holding Obronny – odpowiedzialny za kierowanie projektem i zapewnienie jego finansowania. Pozostałe firmy mają natomiast odpowiadać za poszczególne elementy systemu: Bumar Elektronika – za radary oraz systemy dowodzenia i kierowania ogniem, Mesko – za produkcję albo całych rakiet, albo ich podzespołów, Przemysłowe Centrum Optyki – za urządzenia oraz sprzęt optyczny i optoelektroniczny, Huta Stalowa Wola – za pojazdy i sprzęt artyleryjski, Zakłady Mechaniczne w Tarnowie – za uzbrojenie artyleryjskie, OBR CTM SA – za systemy łączności i przetwarzania danych, Jelcz Komponenty – za samochody ciężarowe, Wojskowe Zakłady Łączności nr 1 – za łączność radiową i przewodową, Wojskowe Zakłady Elektroniczne SA – za podzespoły do stacji radiolokacyjnych i rozpoznania radioelektronicznego, polonizację wyrzutni raketowych.

Jak wyjaśnia Borejko, konsorcjum powstało nie tylko po to, aby MON miało z kim po polskiej stronie rozmawiać o udziale naszej zbrojeniówki w projekcie budowy nowego systemu OPL i OPR, lecz także dlatego, aby być bardziej wiarygodnym partnerem do rozmów dla zachodnich koncernów zbrojeniowych: „Nie bez powodu w konsorcjum znalazły się wyłącznie firmy państwowe. Owszem, przewidujemy znaczne zaangażowanie podmiotów prywatnych jako podwykonawców pewnych rozwiązań czy systemów, ale zależało nam na tym, aby pokazać, że jako przedsiębiorstwa nadzorowane przez Skarb Państwa gwarantujemy zagranicznym firmom aspekt polonizacji, na którym zależy MON-owi”.

Aby profesjonalnie opracować projekt „Tarcza Polski”, w PHO (Bumar Elektronika) powstało Biuro Systemów Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwrakietowej, które prawie rok pracowało nad zakresem polonizacji systemu oraz nadzorowało negocjacje handlowe z zainteresowanymi współpracą z polskim konsorcjum branżowymi gigantami. Jednym z najciekawszych wniosków z kilkumiesięcznych analiz jest rekomendacja biura odnośnie do pocisków krótkiego zasięgu: „Według naszej oceny dysponujemy wystarczającym potencjałem, zarówno naukowo-badawczym, jak i produkcyjnym, aby podjąć się produkcji pocisków tej klasy w naszym kraju. Oczywiście nie mamy na myśli opracowania we własnym zakresie, bo na to potrzebowalibyśmy ogromnych funduszy i dziesięciu, a może nawet piętnastu lat. Ale jeśli nasz kraj kupiłby pomoc w ich opracowaniu lub licencję na produkcję, to w kilka lat byłibyśmy gotowi do jej rozpoczęcia, a potem rozwijania i unowocześniania”, zapewnia Tomasz Zawada i dodaje, że plany przeniesienia pełnej produkcji dotyczą tylko rakiet krótkiego zasięgu. „Stąpamy twardo po ziemi. W wypadku pocisków średniego zasięgu jesteśmy w stanie podjąć się produkcji i dalszego rozwoju wybranych ważnych podzespołów, wykonać montaż finalny i zapewnić samodzielnie serwisowanie oraz modernizację rakiety podczas całego cyklu życia”.

Obaj rozmówcy z Polskiego Holdingu Obronnego zapewniają, że to nie jest utopia i że konsorcjum już prowadziło rozmowy w sprawie pocisków z ich producentami. Odzew był bardzo różny, ale co ważne, sytuacja zmienia się na korzyść.

„Nie możemy zdradzać kulisów rozmów, ale mogę powiedzieć, że nawet firmy, które na początku były nastawione zdecydowanie negatywnie, teraz podchodzą do sprawy w bardziej otwarty sposób”, komentuje Borejko. Według niego konsorcjum doszło już do kresu swoich możliwości negocjacyjnych.

„Ustaliliśmy już tyle, ile było można”, wyjaśnia Zawada. „Teraz nasi zagraniczni partnerzy w rozmowach z nami nie mogą pójść dalej, na przykład omówić szczegółów polonizacji danej części rakiety, ponieważ zgodę na to muszą wyrazić tamtejsze władze. Chodzi przecież o tajemnice państwowe najwyższej klasy. Rządy zaś czekają na wskazanie im partnera do negocjacji po polskiej stronie albo na podpisanie umowy między państwowej”.

CZAS NA DECYZJE

Partnerem do rozmów dla zagranicznego resortu obrony mogłaby być stosowna agencja rządowa, taka jak izraelski Sibat (który reprezentuje firmy ze swojego kraju w dialogu technicznym w sprawie zestawów Wisła). Niestety w Polsce nie ma jego odpowiednika, a tego typu zadań nie może wykonywać Inspektorat Uzbrojenia MON, ponieważ jest kupującym z ramienia resortu obrony i obowiązują go wszystkie formalne ograniczenia związane z przetargami. W tej sytuacji MON mogłoby podpisać stosowną umowę, na przykład taką, jaką w 2012 roku zawarliśmy z Izraelem – „Porozumienie dotyczące międzyrządowej współpracy strategicznej”. Co ważne, taka umowa z jednym krajem albo nawet kilkoma nie stanowiłaby przeszkody w procedurze przetargowej prowadzonej w formie dialogu technicznego przez Inspektorat Uzbrojenia. MON zebraloby w ten sposób od firm informacje, których nie mogą one przekazać bez zgody swojej armii, a nasz przemysł miałby możliwość dalszego negocjowania w sprawie zakresu polonizacji, a efekt tych rozmów jak najszybciej zaprezentować rządowi. ■



3 Flotylla Okrętów

Powstała 11 marca 1971 roku. Nosi imię komandora Bolesława Romanowskiego.

Jest największym związkiem taktycznym polskiej marynarki wojennej. Służy w niej blisko trzy tysiące marynarzy. Zasadnicze siły uderzeniowe jednostki są skupione w dywizjonach: Okrętów Bojowych (w którego składzie funkcjonują dwie fregaty typu Oliver Hazard Perry, trzy okręty rakietowe typu Orkan oraz korweta zwalczania okrętów podwodnych typu Kaszub) i Okrętów Podwodnych (jedna jednostka typu Kilo i cztery typu Kobben) oraz niedawno utworzonym Nadbrzeżnym Dywizjone Raketowym. Ponadto gdyńska flotylla

ma okręty hydrograficzne, rozpoznawcze, ratownicze, szkolne oraz pomocnicze jednostki pływające. Podlegają jej również jednostki brzegowe – Komenda Portu Wojennego Gdynia, Oddział Zabezpieczenia Marynarki Wojennej, 43 Batalion Saperów i 9 Dywizjon Przeciwlotniczy – oraz Ośrodek Szkolenia Żeglarskiego. W skład 3 Flotylli wchodzi również okręt-muzeum ORP „Błyskawica”. Większość jej jednostek znajduje się w Gdyni, ale część jest rozlokowana wzdłuż polskiego wybrzeża od Gdyni po Ustkę. ■

Nr 2.

Ubiór ćwiczebny

MARYNARZ
3 FLOTYLLI OKRĘTÓW (2009 ROK)

Prezentujemy marynarza w letnim ubiorze ćwiczebnym, jaki noszą członkowie załóg jednostek pływających. Główne elementy stroju to granatowa bluza, spodnie i czapka (z marynarskim orłem). Dodatkowymi elementami umundurowania są niewidoczne na rysunku koszula koloru stalowego z granatową lamówką oraz pas żołnierski z klamrą z literami MW (tylko jeżeli żołnierz występuje z bronią). Marynarze jednostek pływających do ubioru ćwiczebnego noszą granatowe buty okrętowe. Na rysunku, ze względu na pomarańczową kamizelkę ratowniczą (kapok), którą ma na sobie marynarz, nie widać oznaki stopnia wojskowego umieszczonej nad lewą kieszenią bluzy.

Nr 3.

Pilot z 31 Bazy
Lotnictwa
Taktycznego
(2007 rok)



Nr 2.

MARYNARZ
3 FLOTYLLI OKRĘTÓW
(2009 ROK)



Kapok, czyli pomarańczowa
kamizelka ratownicza



Czapka z marynarskim orłem



RYS. MONIKA ROKICKA

A Z J A

Latające łodzie

Indie i Japonia negocjują szczegóły transakcji dotyczącej latającej łodzi poszukiwawczo-ratowniczej ShinMaywa US-2I.



ShinMaywa US-2I ma bardzo duży zasięg, wynoszący aż 4700 km.

Pierwsze spotkanie w tej sprawie przedstawicieli obu stron miało miejsce pod koniec ubiegłego roku w Indiach. Na ten temat rozmawiali również szefowie resortów obrony Japonii i Indii na spotkaniu w pierwszej dekadzie stycznia 2014 roku w Nowym Delhi. Minister Itsunori Onodera zaproponował, by następna runda negocjacji dotyczących US-2I odbyła się w jego kraju oraz zaproponował przedstawicielom strony indyjskiej możliwość odbycia próbnych lotów.

Indie są zainteresowane jeszcze trzema innymi typami łodzi latających – kanadyjskim Bombardierem CL-415, niemiecko-amerykańskim Dornierem Seastar CD2 oraz rosyjskim Beriewem Be-200. Japońska maszyna jednak jako jedyna z całej czwórki może operować przy stanie morza 5 (fale o wysokości 2,5–4 metrów). WR ■

REPUBLIKA KOREI

Niszczycielska trójka

Południowokoreańskie kolegium szefów sztabów zdecydowało w grudniu 2013 roku, że do połowy przyszłej dekady marynarka wojenna otrzyma trzy nowe niszczyciele rakietowe z systemem bojowym Aegis, które mają kosztować cztery biliony wonów. Obecnie ma ona już trzy niszczyciele typu KDX-III z systemem Aegis, które weszły do służby w latach 2008–2012. Nowe jednostki mają mieć jednak większe zdolności wykrywania i śledzenia rakiet balistycznych oraz wykrywania okrętów i pojazdów podwodnych. TWR ■

CZECHY

Wietrzenie magazynów

Rząd zaakceptował w styczniu 2014 roku sprzedaż 28 lekkich samolotów bojowych L-159A.

Nabywcą jest amerykańska firma Draken International. Amerykanie kupią 24 całe maszyny i cztery zdekompletowane. Wartość transakcji wyniesie od 434 do 516 milionów koron (21,72–25,8 miliona dolarów) – ostateczna kwota będzie uzależniona od stanu technicznego samolotów. W latach 1997–2003 firma Aero Vodochody

wyprodukowała 72 egzemplarze L-159A dla czeskich sił powietrznych. Obecnie używają one jednak tylko 25 tych maszyn. Wyposażona jest w nie 212 Eskadra Lotnictwa Taktycznego w Čáslavi. Inne L-159A od kilku lat stoją w magazynach. Przechowanie ich kosztowało w latach 2006–2013 już 260 milionów koron. TED ■

AERO VODOCHODY

INDONEZJA

W poszukiwaniu następcy

Szef sztabu indonezyjskich sił powietrznych generał Ida Bagus Putu Dunia ujawnił, że w latach 2015–2020 planowany jest zakup 16 samolotów wie-

lozadaniowych. Jako jedną z propozycji minister obrony Purnomo Yusgiantoro wymienił rosyjskie Su-35. Indonezja kupiła w Rosji już pięć samolotów Su-27

i 11 maszyn Su-30, które kosztowały ponad miliard dolarów. Według dowódcy sił zbrojnych generała Moeldoko, Dżakarta zainteresowana jest również amerykańskimi myśliwcami F-15 i F-16 (ma jedną eskadrę F-16A/B – 10 z 12 maszyn dostarczonych jej w latach 1989–1990) oraz szwedzkim JAS-39 Gripen. W ■

BRAZYLIA

Postawili na Gripena

Po wielu latach analiz Brazylia wskazała, że jej przyszłym samolotem wielozadaniowym będzie Saab Gripen NG, produkowany na licencji. Wstępny kontrakt, który prawdopodobnie zosta-

nie podpisany w grudniu 2014 roku, ma dotyczyć 36 maszyn, ale przewidywane jest jego rozszerzenie do około 100 sztuk. Pierwszy myśliwiec ma być dostarczony po około 48 miesiącach od

podpisania umowy finansowej, czyli pod koniec 2018 roku. Ze względu na tak odległy termin Brazylia jest zainteresowana zakupem lub leasingiem używanych Gripenów C/D. WRT

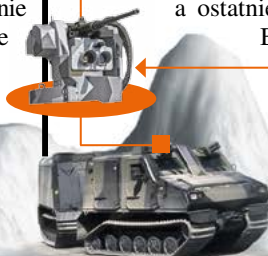
S A A B

U S A

Kosztowne MRAP-y

Amerykanie kupili na potrzeby misji w Iraku i Afganistanie aż 25 tysięcy pojazdów minoodpornych, czyli MRAP-ów.

Teraz, gdy kończy się operacja afgańska, powstaje problem z ich nadwyżką. Amerykańskie wojska lądowe chcą zachować 8585 MRAP-ów, z których większość (5036) trafi do rozrzuconych po świecie składów. 1073 sztuki znajdują zastosowanie do szkolenia, a reszta – w jednostkach czynnych. Utrzymanie i modernizacja tego sprzętu w perspektywie kilku lat będzie kosztować 1,7 miliarda dolarów. Ponadto MRAP-y kupowano pod presją czasu, co spowodowało, że US Army i US Marines Corps mają 25 różnych typów tych pojazdów. Wojska lądowe chcą zachować tylko trzy z nich. WROB



B2M

są przeznaczone do operowania poza Francją. W morzu mają przebywać nawet 200 dni w ciągu roku i zostaną użyte do takich zadań, jak dozorowanie wód wyłącznych stref ekonomicznych oraz zwalczanie przemytu narkotyków, nielegalnej emigracji i piractwa.



S Z W E C J A

Druga seria BvS10

Koncern BAE Systems otrzymał od szwedzkiego ministerstwa obrony nowy kontrakt na 800 milionów koron szwedzkich (120 milionów dolarów) i dostarczy tamtejszym siłom zbrojnym 102 transportery przegubowe BvS10. W 2010 roku agencja uzbrojenia Szwecji zamówiła już 48 takich pojazdów. Pierwsze transportery, które będą produkować zakłady BAE Systems Hägglund w Örnköldsvik, zostaną dostarczone w 2014 roku, a ostatnie – w końcu 2015 roku. Szwedzkie BvS10 mają być wyposażone w zdalnie sterowany moduł uzbrojenia Protector. Pojazdy te kupiły również takie państwa, jak Francja, Wielka Brytania i Holandia. WRT

F R A N C J A

Okręty wielofunkcyjne

Agencja uzbrojenia Francji podpisała z grupą DCNS i firmą Piriou kontrakt na budowę trzech oceanicznych wielozadaniowych okrętów, z możliwością rozszerzenia umowy o czwar-

ty. Dostawa jest przewidziana na lata 2015–2016. Jednostki, oznaczone jako B2M, o długości 65 metrów i wyporności – zależnie od źródeł – od około 1500 ton do 2300 ton, będą mogły poruszać się z prędkością 12–15 węzłów i przebywać w morzu do 30 dni bez uzupełniania zapasów. WRT

R O S J A

Przyływ sprzętu

W 2014 roku rosyjska marynarka wojenna ma otrzymać około 40 okrętów bojowych i jednostek pomocniczych. Poinformował o tym zastępca dowódcy marynarki wojennej do spraw uzbrojenia kontradmirał Wiktor Bursuk.

Flocie zostanie przekazany między innymi atomowy okręt podwodny typu Borej – „Władimir Monomach” oraz okręt projektu 636.3 o napędzie spalino-wo-elektrycznym. Ta ostatnia jednostka trafi do

Floty Czarnomorskiej. Marynarka wojenna dostanie także nowy okręt ratowniczy – „Igor Bielousow”. Rosjanie planują też remonty wielu jednostek. W W

DCNS

R U S S I A N N A V Y

TURCJA

Własny śmigłowcowiec

Podsekretariat do spraw przemysłu obronnego w Turcji pod koniec grudnia 2013 roku postanowił, że śmigłowcowiec desantowy dla jej marynarki wojennej zbuduje miejscowa prywatna stocznia. Jako pierwszą wskazano Sedef Gemi İnşaatı A.Ş. z Istanbuhu, a jeśli dalsze negocjacje z nią się nie powiodą, podsekretariat rozpocznie rozmowy ze Desan Deniz İnşaat Sanayi A.Ş. Kontrakt szacowany jest na pół miliarda dolarów. Okręt desantowy zostanie zbudowany na podstawie projektu hiszpańskiej jednostki „Juan Carlos I” firmy Navantia. Desantowiec ma pomieścić do tysiąca członków załogi i żołnierzy desantu oraz 13 czołgów, 81 pojazdów pancernych i osiem śmigłowców. W R R ■

C-27J Spartan

to samolot wielozadaniowy, który może również brać udział w misjach cywilnych.



ALENIA AERMACCHI

PERU

Apetyt na Spartany

Peruwiańskie ministerstwo obrony podpisało z firmą Alenia Aermacchi kontrakt na dostawę dwóch samolotów transportowych C-27J Spartan. Wraz z pakietami logistycznym i szkoleniowym wartość transakcji wyniesie oko-

ło 100 milionów euro. Peruwiańczycy porozumieili się też z Rosją w sprawie zakupu 24 śmigłowców transportowych Mi-171. Moskwa zobowiązała się utworzyć na terenie ich kraju regionalne centrum serwisowe tych śmigłowców. W ■

FINLANDIA

Modernizacja transporterów

Patria podpisała w grudniu 2013 roku z fińskimi siłami obrony kontrakt na modernizację kołowych transporterów opancerzonych XA-180.



W pojazdach zostaną między innymi zamontowane nowe siedzenia, które zwiększą bezpieczeństwo podczas jazdy. Wiele kluczowych elementów konstrukcji, takich jak silniki, skrzynie

biegów oraz osie, zostaną przejranych, a jeśli zajdzie taka potrzeba, wyremontowanych lub nawet wymienionych. Kontrakt przewiduje modernizację w 2014 roku kilku pojazdów przedseryjnych, a w latach 2015–2017 – 70 seryjnych (z możliwością modernizacji aż 210 transporterów do końca 2021 roku). T W ■

WŁOCHY

Nowe fregaty

W grudniu 2013 roku włoska marynarka wojenna otrzymała pierwszą fregatę typu FREMM w wersji zwalczania okrętów podwodnych.

Przekazanie okrętu „Virginio Fasan” nastąpiło po ośmiomiesięcznych testach kwalifikacyjnych. Sześć miesięcy wcześniej włoska flota dostała pierwszą fregatę FREMM w wersji wielozadaniowej – „Carlo Bergamini”, w lutym planowane jest przekazanie trzeciej jednostki – „Carlo Margottini”, a w marcu zostanie zwodowana fregata „Carabiniere”.

Włosi planują zamówić dziesięć jednostek FREMM. Na razie rząd zapewnił finansowanie budowy ośmiu – po cztery w wersjach wielozadaniowej i zwalczania okrętów podwodnych.

TED ■



Carlo Bergamini

została wcielona do służby w maju 2013 roku.

ITALIAN NAVY



RAFAŁ CIASTOŃ

| ZAGROŻENIA |

ARGUMENTY SIŁY ↗

Bombowiec
strategiczny Tu-95

Rosja jako zagrożenie
postrzega już samą ideę
tarczy antyrakietowej
i wykorzysta każdą nadarzającą
się okazję, by podważyć
zasadność jej budowy.



U S A F



→ ARGUMENTY SIŁY

Zawarte niedawno w Genewie wstępne porozumienie w kwestii irańskiego programu nuklearnego niesie ze sobą skutki między innymi dla budowy bezpieczeństwa europejskiego. Skoro działania Teheranu były głównym powodem umieszczenia na Starym Kontynencie elementów amerykańskiego systemu obrony przeciwrakietowej, to, jak argumentuje Moskwa, przyjęcie porozumienia czyni projekt bezzasadnym...

NIET!

Rosyjski sprzeciw wobec idei tarczy antyrakietowej nie jest niczym nowym. Moskwa od ponad dekady (od podjęcia przez prezydenta George'a W. Busha w 2001 roku decyzji o rozwoju systemu missile defense) konsekwentnie i stanowczo zgłasza veto wobec tego projektu. Posługuje się przede wszystkim argumentem dotyczącym zachwiania równowagi strategicznej, osłabionego zimnowojennego MAD (Mutual Assured Destruction), czyli zasady sprowadzającej się do stwierdzenia: „Kto strzeli pierwszy, umrze jako drugi”.

Z perspektywy Zachodu takie rozumowanie wydaje się pozbawionym sensu reliktem przeszłości. Należy jednak zwrócić uwagę na to, że dla Rosji broń jądrowa jest w zasadzie jedynym wspomnieniem po radzieckim supermocarstwie. To dzięki głowicom w wielu kwestiach zachowuje ona uprzywilejowaną pozycję w stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi i tym samym może odgrywać znaczącą i aktywną rolę w globalnej polityce bezpieczeństwa, a więc także realizować własne interesy strategiczne. Irańskie porozumienie stało się zatem dla dyplomacji rosyjskiej nowym orężem w antytarczowej krucjacie.

Rosyjski minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow stwierdził jednoznacznie, że uzgodnienie porozumienia z Iranem powinno skutkować zrewidowaniem koncepcji umieszczenia w Europie elementów amerykańskiego systemu obrony antyrakietowej. Równie jednoznaczna była odpowiedź sekretarza obrony USA Chucka Hagela: „Porozumienie nie eliminuje potrzeby dalszej budowy systemu, który będzie rozwijany niezależnie od uzgodnień dotyczących irańskiego programu nuklearnego”.

W uzasadnianiu potrzeby rozmieszczenia w Europie elementów systemu obrony przeciwrakietowej, zarówno prezydent Bush, jak i Obama, posługiwali się głównie argumentem ochrony przed Iranem. Dla administracji pierwszego

z nich potencjalnym zagrożeniem były irańskie rakiety międzykontynentalne (Intercontinental Ballistic Missile – ICBM), przed którymi ochronę miały zapewnić rozmieszczone na terytorium Polski pociski GBI (Ground Based Interceptors). Z kolei jego następca, opierając się na ówczesnych ocenach wywiadowczych, uznał w 2009 roku, że w perspektywie najbliższej dekady zdecydowanie większym zagrożeniem dla interesów Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników będą irańskie pociski krótkiego, średniego i pośredniego zasięgu, a najbardziej obiecującym systemem obrony przeciwko nim – kolejne wersje SM-3, umieszczone zarówno na pokładach okrętów stacjonujących w hiszpańskiej Rocie, jak i w bazach na terytorium Rumunii oraz Polski. Część komentatorów zwracała wówczas uwagę na to, że nowa formuła tarczy może mieć na celu również poprawienie relacji z Rosją. Ogłoszony w czasie pierwszej kadencji Obamy „reset” i próby wypracowania porozumienia we współpracy z NATO ani o jotę nie przyczyniły się jednak do zmiany rosyjskiego stanowiska w tej sprawie.

RAKIETOWA MOC

Kreml doskonale zdaje sobie sprawę z bolączek trapiących rosyjskie siły zbrojne, czego odzwierciedleniem jest doktrynalne usankcjonowanie możliwości użycia broni nuklearnej w konflikcie konwencjonalnym, który zagrażałby interesom Federacji Rosyjskiej lub któregoś z jej sojuszników.

Zapaść lat dziewięćdziesiątych odcisnęła na armii bolesne piętno – mocno okrojony budżet uniemożliwiał zakupy sprzętu nowej generacji, finansowanie prac badawczo-rozwojowych czy choćby utrzymanie odziedziczonej po ZSRR infrastruktury, nie mówiąc już o stanach osobowych poszczególnych rodzajów sił zbrojnych. W głównej mierze dzięki dochodom z eksportu surowców energetycznych sytuacja w tej dziedzinie od kilku lat ulega systematycznej poprawie, ale braki są wciąż bardzo widoczne.

Według zapewnień prezydenta Władimira Putina, w 2014 roku do jednostek ma trafić między innymi 210 samolotów i śmigłowców bojowych, ponad 250 pojazdów pancernych i opancerzonych oraz 40 ICBM, a współczynnik systemów uzbrojenia uznawanych za nowoczesne ma osiągnąć 30 procent ogółu. Do 2020 roku Moskwa na zakupy uzbrojenia i prace badawczo-rozwojowe zamierza wydać równowartość około





ELEMENT ROSYJSKIEJ STRATEGICZNEJ TRIADY NUKLEARNEJ – OKRĘT PODWODNY KLASY BORIEJ



W służbie
pozostaną
pociski Topol-M.

700 miliardów dolarów, dzięki czemu współczynnik ten ma wzrosnąć do 70 procent.

Za najbardziej ambitny spośród planów modernizacyjnych można uznać program strategicznych wojsk rakietowych. Do 2021 roku ma zostać wycofanych z linii 98 procent systemów poradzieckich, czyli rakiet SS-18, SS-19 i SS-25. W służbie pozostaną pociski rodziny SS-27 (Topol-M), a sukcesywnie będą wprowadzane SS-29 (Jars). Należy jednak zwrócić uwagę, że Moskwa ponownie skłoniła się ku idei wykorzystania mobilnych systemów międzykontynentalnych – pociski obu typów występują w wersjach przysto-

sowanych do odpalania zarówno z silosów, jak i platform samochodowych. Również pocisk systemu Rubież, nazwany przez wicepremiera Dmitrija Rogozina „zabójcą systemów antyrakietowych” (według ubiegłorocznych zapewnień miał zostać wprowadzony do służby w roku bieżącym, a obecnie mówi się już raczej o roku 2015), będzie odpalany z wyrzutni samochodowych.

Ponadto na początku kolejnej dekady do strategicznych wojsk rakietowych mają powrócić platformy kolejowe. Według zapewnień dowódcy tych wojsk, generała Siergieja Karakajewa, dzięki wykorzystaniu systemów wielogłowico-



ROSJA NIE DYSPONUJE DZIŚ TECHNOLOGIAMI, KTÓRE POZWOLIŁYBY JEJ NA STWORZENIE WIELOWARSTWOWEGO SYSTEMU OBRONY SZCZEBŁA ZARÓWNO STRATEGICZNEGO, JAK I OPERACYJNO-TAKTYCZNEGO

wych (Multiple Independently Targetable Reentry Vehicle – MIRV) jeden pociąg będzie dysponował siłą ognia pełnej dywizji rakiet. Około 2018 roku w linii mają pojawić się również napędzane paliwem ciekłym pociski Sarmat, które zastąpią najpotężniejsze obecnie w rosyjskim arsenale SS-18 Satan.

Głębokim przeobrażeniem i modernizacji podlega także system dowodzenia i kontroli strategicznych wojsk rakietowych – planowane jest między innymi jego pełne ucyfrowienie. Nowy system ma się charakteryzować większą niezawodnością, zdolnością do szybkiego przeprogramowania celów i pozwolić na wydłużenie promienia działania systemów mobilnych.

Gdy mowa o rosyjskich siłach nuklearnych, nie należy zapominać o pozostałych dwóch elementach strategicznej triady – w grudniu 2013 roku do służby wszedł drugi okręt podwodny klasy Boriej, a seria ośmiu jednostek ma zostać ukończona około 2020 roku. Każdy z okrętów będzie przenosił 16 pocisków SLBM (Submarine-Launched Ballistic Missile) typu Bulawa. Również do 2020 roku ma być gotowy prototyp nowego bombowca strategicznego PAK DA, następcy używanych obecnie samolotów Tu-95 i Tu-160.

Rosja nie dysponuje dziś technologiami, które pozwoliłyby jej na stworzenie odpowiednika amerykańskiego programu BMD (Ballistic Missile Defense), czyli wielowarstwowego systemu obrony szczębla zarówno strategicznego, jak i operacyjno-taktycznego. A ponieważ nie wierzy w amerykańskie zapewnienia, że system ten nie będzie rozbudowywany w sposób, który zagroziłby jej potencjałowi, a także wyciąga wnioski z zimnowojennego wyścigu zbrojeń, podejmuje działania mające zagwarantować jej pełną zdolność penetracji, niezależnie od skali i zaawansowania technicznego obrony. Planowana struktura wojsk rakietowych jest jednak odpowiednią nie tylko na systemy antyrakietowe, lecz także na tak zwane systemy natychmiastowego globalnego uderzenia (Conventional Prompt Global Strike – CPGS).

Prace nad takimi systemami trwają w Stanach Zjednoczonych od mniej więcej dekady. Podstawowym założeniem jest zapewnienie zdolności do zlikwidowania dowolnego celu w czasie nieprzekraczającym jednej godziny. Ma to pozwolić na eliminację celów szczególnie niebezpiecznych lub takich, których lokalizacja znana jest tylko chwilowo. Wśród potencjalnych scenariuszy użycia systemów natychmiastowego globalnego uderzenia wymienia się między innymi atak na państwa zbójcze, mające broń jądrową i grożące jej użyciem lub przygotowujące atak na amerykańskie satelity, a także uderzenie mające na celu eliminację terrorystów i miejsc składowania przez nich materiałów nuklearnych lub broni masowego rażenia.

Według zapewnień Pentagonu ma to być broń niszowa, liczona w dziesiątkach, a nie setkach egzemplarzy. Moskwa obawia się jednak, że systemy te, w połączeniu ze skuteczną obroną antyrakietową, mogą się okazać idealnym narzędziem pierwszego uderzenia. W takim scenariuszu zdziesiątkowane w wyniku de facto konwencjonalnego ataku strategiczne wojska rakietowe nie byłyby w stanie skutecznie przeprowadzić kontruderzenia.

W rosyjskiej triadzie strategicznej pociski bazowania lądowego odgrywały i nadal odgrywają pierwszoplanową rolę, stąd też nacisk na rozwój systemów mobilnych, znacznie mniej narażonych na ryzyko zniszczenia w wyniku takiego ataku, oraz powrót do pocisków wielogłowicowych, gwarantujących zdolność rażenia maksymalnej liczby celów przy minimalnej liczbie rakiet.

ISKANDER ZNÓW W GRZE

W połowie grudnia 2013 roku niemiecki dziennik „Bild”, rzekomo po analizie posiadanych zdjęć satelitarnych, poinformował o pojawieniu się w obwodzie kaliningradzkim co najmniej dziesięciu wyrzutni pocisków Iskander. Pytany o wiarygodność tych doniesień Siergiej Ławrow, ograniczył się do stwierdzenia, że decyzja o rozmieszczeniu rakiet taktycznych wzdłuż granic z państwami NATO może być podjęta wyłącznie na podstawie aktualnej oceny zagrożeń. Dodał także, że jeśli wojskowi uznają takie posunięcie za zasadne, do nich będzie należeć decyzja o realizacji. „To nic osobistego. Takie są zasady gry”, skomentował. Jeszcze bardziej niejednoznaczna była odpowiedź ministerstwa obrony Federacji Rosyjskiej: „System operacyjno-taktyczny Iskander został wprowadzony do wyposażenia wojsk rakietowych i artylerii Zachodniego Okręgu Wojskowego”.

Ostatecznie całą kwestię wyjaśnił Władimir Putin, który stwierdził, że decyzja w tej sprawie do tej pory nie zapadła. Prezydent wyjaśnił także, że Iskandery nie są jedynym środkiem odpowiedzi wobec wyzwań, z jakimi przychodzi się mierzyć Rosji. Rozmieszczenie wyrzutni pocisków to jedna z opcji, ale nie jest ona najsilniejsza z możliwych.

Kwestia dyslokacji Iskanderów w najbardziej na zachód wysuniętej części Federacji Rosyjskiej, jaką jest obwód kaliningradzki, pojawia się w przestrzeni publicznej za każdym razem, kiedy jest mowa o European Phased Adaptive Approach, czyli programie obrony USA i sojuszników przed atakiem rakietowym z Iranu, w szczególności zaś o budowie bazy antyrakietowej w Polsce. Sprawą drugorzędną jest rodzaj interceptorów, jakie się w niej znajdą. Te same posunięcia towarzyszyły bowiem planom ulokowania w bazie dziesięciu pocisków GBI czy 24 SM-3 Block IIA.

Moskwa jako zagrożenie postrzega samą ideę tarczy i bez wątplenia wykorzysta każdą nadarżającą się okazję i każdy argument, by podważyć zasadność jej budowy. Retoryka towarzysząca przyjęciu porozumienia irańskiego jest tego doskonałym przykładem. Rosja w jedynej z możliwych dziedzin chce zachować status państwa równego Stanom Zjednoczonym i za konieczne uważa torpedowanie wszelkiego rodzaju projektów zagrażających temu statusowi, choćby tylko hipotetycznie. Świadomość tego faktu powinna towarzyszyć wszelkim formom „antyrakietowego” dialogu z Moskwą, niezależnie od tego, czy będzie on prowadzony w formule dwustronnej, czy wielostronnej (sojuszniczej). ■



Relacje między USA a Arabią Saudyjską są napięte przede wszystkim ze względu na gotowość Ameryki do ewentualnego dialogu z Iranem. Sekretarz stanu USA John Kerry próbował przekonać króla Abdullaha, że w stosunkach między Stanami Zjednoczonymi i Arabią Saudyjską nic się nie zmieniło. Rijad, 4 listopada 2013 roku

ROBERT CZULDA

W kontrze do półksiężycy

Narastająca rywalizacja Arabii Saudyjskiej z sąsiednim Iranem sprawia, że coraz więcej komentatorów w Izraelu dostrzega możliwość stworzenia dość egzotycznego sojuszu.

Stara, ale wciąż aktualna, maksyma głosi: wróg mojego wroga jest moim przyjacielem. Stwierdzenie to przystaje do dwóch państw, które na pierwszy rzut oka nie mają ze sobą nic wspólnego. Jednym z nich jest wyalienowany w arabskim otoczeniu Izrael, mający problemy niemal z każdym państwem regionu. Drugim – konserwatywna i zamknięta Arabia Saudyjska, na której terenie znajdują się święte dla muzułmanów miejsca, takie jak Mekka czy Medyna. O ile pierwsze państwo reprezentuje żydowską demokrację liberalną, o tyle drugie – autorytarny reżim z dominacją wahhabizmu, muzułmańskiego nurtu opartego na fundamentalizmie.

Jak zatem światowa stolica judaizmu może znaleźć wspólny język ze światową stolicą islamu? Nad motywacjami religijnymi oraz ideologią górę bierze jednak pragmatyka. Arabia Saudyjska i Izrael obawiają się irańskiego programu atomowego.

Oba te państwa krytycznie podchodzą do genewskiego porozumienia Iranu ze światowymi mocarstwami. Uważają też, że Teheran prowadzi aktywną politykę, która może przyczynić się do irańskiej dominacji w regionie. Jest to dla nich nie do przyjęcia, tym bardziej że Stany Zjednoczone pod wodzą Baracka Obamy wyraźnie zmniejszają swoje zainteresowanie Bliskim Wschodem na rzecz Azji Południowo-Wschodniej. ➔

Dowodem na to jest brak wyraźnego zaangażowania się Waszyngtonu w kryzys syryjski.

Iran to najważniejsze ogniwo łączące oba państwa. W wypadku Izraela ostra retoryka wymierzona w Teheran nie jest niczym nowym. Minister obrony Ehud Barak (2007–2013) wielokrotnie ostrzegał o gotowości do uderzenia. Przy okazji przypominał, że już w przeszłości Izrael „udowadniał, że nie boi się działać, gdy w grę wchodzi interes narodowy”. Strona przeciwna nie pozostawała jednak dłużna i natychmiast ostrzegała, że Iran jest gotów skierować swoje rakiety nie tylko na Izrael, lecz także na Turcję oraz na sprzyjające Stanom Zjednoczonym arabskie państwa Zatoki Perskiej (czyli także na Arabię Saudyjską).

Od dłuższego czasu również Arabii Saudyjskiej nie jest po drodze z Iranem. Wystarczy przypomnieć amerykańskie i saudyjskie oskarżenia pod adresem Teheranu o próbę dokonania w listopadzie 2011 roku zamachu na saudyjskiego ambasadora w Waszyngtonie oraz znajdujące się w amerykańskiej stolicy ambasady Izraela i Arabii Saudyjskiej. Iran kategorycznie zaprzeczył jednak tym doniesieniom. Ówczesny prezydent Mahmud Ahmadineżad całą sprawę nazwał nieudolną próbą odwrócenia uwagi od pogłębiającego się kryzysu finansowego w Stanach Zjednoczonych i związanych z tym protestów na Wall Street.

Trudno nie zauważyć też coraz ostrzejszej w ostatnich miesiącach antyirańskiej retoryki ze strony polityków saudyjskich. W pierwszych miesiącach kadencji nowego prezydenta Iranu Hasana Rouhaniego napięcie wyraźnie wzrosło. Rijad otwarcie krytykuje irańską „ofensywę szyickiego półksiężyca” (Saudyjczycy są sunnitami, w odróżnieniu od Irańczyków). „Gra o hegemonię nad krajami arabskimi jest nie do zaakceptowania”, bezceremonialnie określił politykę Teheranu saudyjski książę Turki al Fajsal, były szef wywiadu, gdy odnosił się do irańskiego zaangażowania w Irak, Syrii, Libanie oraz Bahrajnie (w tym państwie w 2011 roku zbrojnie interweniowała Arabia Saudyjska z powodu szyickich protestów).

NIEBEZPIECZNA GRA

Drugim spoiwem między dwoma państwami jest Syria. Prezydent Baszar al Asad, jako bliski sojusznik Iranu, jest naturalnym wrogiem Izraela. Tym bardziej że zarówno Iran, jak i Syria wspierają znajdujące się na terenie Libanu bojówki Hezbollahu, z którym Izrael w 2006 roku prowadził miesięczną wojnę. Obalenie Asada mogłoby być dla Izraela korzystne, ponieważ wówczas Syria prawdopodobnie wypadłaby ze strefy wpływów Iranu, co mogłoby doprowadzić do załamania irańskiej koncepcji polityki zagranicznej. Teheran w takim wypadku miałby na przykład trudności z zaopatrywaniem Hezbollahu. Podobny cel przyświeca Arabii Saudyjskiej. Tyle że dla tego kraju istotna jest również kwestia ideologiczna. Baszar al Asad jest bowiem alawitą, a nurt ten przez konserwatywnych sunnitów jest traktowany jako odłam szyizmu. Obalenie syryjskiego prezydenta to dla Arabii Saudyjskiej sposób na zatrzymanie ekspansji „szyckiego półksiężyca”.

O ile jednak w wypadku Iranu wspólne działania na rzecz uniemożliwienia ewentualnego pozyskania przez to państwo broni jądrowej można traktować jako korzystne z perspektywy stabilności regionu, o tyle w odniesieniu do Syrii jest inaczej. Saudyjczycy wspierają bowiem finansowo i zbrojnie wiele radykalnych grup islamskich walczących ze świeckim

GŁÓWNYM SPOIWEM SOJUSZU SAUDYJSKO- -IZRAELSKIEGO JEST PRZEKONANIE, ŻE „SZYICKI KSIĘŻYC” POD WODZĄ IRANU MUSI ZOSTAĆ ZNISZCZONY

reżimem Asada. Część z nich jest powiązana z sunnicką Al-Kaidą, której bojówki zwalczają w Syrii ugrupowania szyickie, w tym Hezbollah.

Co na to Izrael? „Największym zagrożeniem jest dla nas oś ciągnąca się między Teheranem, Damaszkiem i Bejrutem”, stwierdził w wywiadzie dla „Jerusalem Post” izraelski ambasador w Stanach Zjednoczonych Michael Oren. „Od zawsze chcemy odejścia Asada i wolimy, aby w Syrii rządziły czarne charaktery, które nie są wspierane przez Iran, niż te przez niego popierane”. W konsekwencji Arabia Saudyjska przyczynia się, przy cichym przyzwoleniu Izraela, do dalszej destabilizacji Syrii i budowania kolejnych sunnickich grup ekstremistycznych, które za jakiś czas mogą zagrozić swym obecnym patronom. Wszystko po to, by osłabić „szyckiego półksiężyca”, czyli Iran. I tu na myśl przychodzi druga maksyma: gdzie dwóch się bije tam trzeci korzysta. W tym wypadku na wojnie z Iranem w Syrii może skorzystać Al-Kaida, która coraz śmielej zdobywa przyczółki w regionie.

Ilustracją napięć na Bliskim Wschodzie jest samobójczy zamach bombowy na irańską ambasadę w Bejrucie 19 listopada 2013 roku. W ataku przygotowanym przez walczącą z alawickim rządem Asada i powiązaną z sunnicką Al-Kaidą terrorystyczną Brygadę Abdullaha Azzama życie straciły 23 osoby, a co najmniej 160 zostało rannych. Arabia Saudyjska jest gotowa posunąć się nawet dalej. Jak niedawno ujawniła rosyjska



prasa, Rijad zagroził, że jeśli Moskwa nie wycofa się ze wspierania syryjskich władz, to Saudyjczycy przymkną oko na działających na terenie Arabii Saudyjskiej czechenkich terrorystów.

GRANICE ZBLIŻENIA

Oba państwa od dawna łączą bliższe relacje niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Arabia Saudyjska, która przez wiele lat wspierała blok arabski w wojnie z Izraelem, od czasu do czasu wspomagając go zbrojnie i finansowo, w 1982 roku porzuciła retorykę odmawiającą Izraelowi prawa do istnienia. W 1991 roku zaczęła uczestniczyć w pracach wspólnej grupy roboczej i dyskusjach o takich kwestiach, jak kontrola zbrojeń, ochrona środowiska naturalnego czy dostęp do wody pitnej. Rijad niemal do zera ograniczył działania antyizraelskie. Nie tylko dlatego, że Arabia Saudyjska przyjęła rolę regionalnego mediatora i promotora pokoju, lecz także z powodu Stanów Zjednoczonych. Rijad ma świadomość, że wrogość wobec Izraela budzi niechęć Kongresu, a Amerykanie są gwarantem saudyjskiego bezpieczeństwa w obliczu zagrożenia Iranu.

Według nieoficjalnych informacji Arabia Saudyjska potajemnie porozumiała się z Izraelem w sprawie wsparcia w ewentualnych działaniach wojennych przeciwko Iranowi (izraelskie samoloty musiałyby przelecieć przez saudyjską przestrzeń po-

wietrzną). Pod koniec 2013 roku w izraelskiej prasie napisano też, że Arabia Saudyjska zobowiązała się udzielić lotniczego wsparcia – chodzi o bezałogowe, śmigłowce ratunkowe oraz samoloty do tankowania w powietrzu. Ponadto podobno Izrael nawiązał też współpracę z saudyjskimi służbami specjalnymi.

Nie można jednak spodziewać się otwartej współpracy między tymi państwami. Jak według „Le Figaro” miał enigmatycznie stwierdzić w rozmowie z francuskim ministrem obrony narodowej Hervé Morinem saudyjski król Abdullah, „dwa kraje na świecie nie zasługują na istnienie – Izrael oraz Iran”. Mający silne wpływy w Arabii Saudyjskiej ekstremiści uważają Izrael za śmiertelnego wroga. Otwarta przyjaźń z tym krajem mogłaby zatem kosztować monarchę utratę władzy i pogorszenie wizerunku wśród milionów muzułmanów na całym świecie. Saudyjczycy na pewno mają w pamięci szacha Iranu, który utrzymywał bliskie relacje z Izraelem, co ostatecznie przyczyniło się do islamskiej rewolucji w 1979 roku. ■

TADEUSZ WRÓBEL

DEMONY NIENAWIŚCI

Spółeczność międzynarodowa stara się nie dopuścić
do wybuchu wojny religijnej w środku Afryki.



Krwawe porachunki, które od kilku miesięcy mają miejsce na terenie Republiki Środkowoafrykańskiej, bywają już określane jako trzecia wojna domowa w historii jednego z najuboższych państw świata. Po krwawych zamieszkach na początku grudnia 2013 roku w stolicy kraju, Bangi, społeczność międzynarodowa postanowiła interweniować, by nie doszło do ludobójstwa, jak przed dwudziestu laty w Rwandzie. Do Republiki Środkowoafrykańskiej wysłano dodatkowych żołnierzy z Francji i państw afrykańskich.

PRZECIW MACZETOM

Tymczasowy prezydent Republiki Środkowoafrykańskiej Michel Djotodia 11 stycznia 2014 roku opuścił kraj i udał się na emigrację do Beninu, a dzień wcześniej ogłosił rezygnację z funkcji. 20 stycznia 2014 roku nowym prezydentem wybrana została Catherine Samba-Panza, dotąd burmistrz Bangi.

Odejście prezydenta i tymczasowego premiera, Nicolasa Tiangayego, polityków związanych z rebelianckim sojuszem Séléka, który w marcu 2013 roku obalił rządy prezydenta François Bozizé, jest częścią działań mających doprowadzić do wygaszenia krwawego konfliktu wewnętrznego w republice. W odróżnieniu od wcześniejszych kryzysów bardzo silnie uwidoczniły się teraz podziały religijne, ponieważ bojownicy Séléki w większości byli muzułmanami, a w całym kraju dominuje ludność chrześcijańska.

Przywódcy Wspólnoty Gospodarczej Państw Afryki Środkowej, zaniepokojeni rozwojem wypadków w Republice Środkowoafrykańskiej, na szczycie organizacji 9–10 stycznia 2014 roku w Ndżamenie wymusili na obu politykach rezygnację z władzy. Zarzucano im niezdolność do zażegnania konfliktu, który może przerodzić się w wojnę religijną. Jednak wydarzenia, które nastąpiły w Bangi tuż po wyjeździe Djotodii pokazują, że proces stabilizacyjny będzie niezwykle trudny. Już 11 stycznia muzułmanie znowu zostali zaatakowani. Zniszczono ich domy i sklepy, spalono kilka meczetów. Wśród części społeczności chrześcijańskiej silna jest chęć odwetu na muzułmanach za czyny popełnione przez rebeliantów z północy. „Oni mordowali i maltretowali nas. Teraz nadszedł czas zemsty”, zacytowano w depeszy Reutersa opinię Igora Mouminiego, jednego z mieszkańców stolicy.

„Dla niemuzułmańskich mieszkańców muzułmanin jest utożsamiany z Séléką, a Séléka jest równoważna z muzułmaninem”, przyznaje arcybiskup Bangi, Diedonne Nzapalainga, który wraz z duchownymi muzułmańskimi od miesięcy starał się, aby konflikt o podłożu polityczno-ekonomicznym nie stał się religijnym. Przyczyną rewolty był bowiem nierównomierny dostęp do zysków z krajowych bogactw naturalnych. Choć ropa naftowa jest wydobywana na północy, czyli na ziemiach ludu Gula, dochody z jej sprzedaży trafiały na południe, do plemion Gbaja, skąd pochodzi Bozizé.

Przez dziesiątki lat w Republice Środkowoafrykańskiej nie było konfliktów na tle religijnym, a wyznawcy islamu i chrześci-

jaństwa żyli zgodnie. Dopiero przed rokiem sytuacja zaczęła ewoluować w złym kierunku. W trakcie rebelianckiego marszu na Bangi na początku 2013 roku dochodziło do podpalenia kościołów, gwałtów i mordów na chrześcijanach oraz grabieży ich dobytku. Wpływ na zachowanie bojowników Séléki, których większość wywodziła się z plemienia Gula, podobno mieli ich ziomkowie przybyli z Czadu i Sudanu (czołowym dowódcą rebeliantów był dawny członek ochrony czadyjskiego prezydenta Idrissa Déby'ego).

Akty przemocy nasiliły się po obaleniu w marcu 2013 roku prezydenta François Bozizé. Jego następca Michel Djotodia, który przewodził ruchowi Séléka, nie był w stanie zapanować nad członkami swego ugrupowania, dla których nie znalazł zatrudnienia w strukturach państwowych. Zbrojne grupy zaczęły łupić i prześladować ludność południa republiki.

Z powodu niepokoїв wewnętrznych domy musiało porzucić ponad milion spośród około 5,2 miliona mieszkańców Republiki Środkowoafrykańskiej, a liczba ofiar śmiertelnych w tym konflikcie szacowana jest na kilka tysięcy (tylko w grudniu w 2013 roku w starciach zginęło około tysiąca osób). Pod koniec grudnia 2013 roku w rejonie zajmowanego przez rebeliantów obozu wojskowego Roux na obrzeżach Bangi odkryto masowy grób, w którym spoczywało około 30 osób. Na ich ciałach znaleziono ślady po torturach. Zagrożeni napaściami

SOJUSZNICZE WSPARCIE

Amerykańskie transportowce C-17 przewiozły do Bangi 850-osobowy batalion piechoty z Burundi. Tego samego typu brytyjska maszyna przetransportowała tam z Francji pojazdy pancerne. Niemcy zaferowali również samolot transportowy, a Belgia – dwa transportowce, A330 i C-130. Wśród państw, które postanowiły wesprzeć francuską operację, są też Hiszpania i Polska. Francja chce jednak, by zamiast koalicji chętnych, udzielającej jej tylko ograniczonego wsparcia logistycznego, na terenie Republiki Środkowoafrykańskiej pojawiła się misja pod auspicjami Unii Europejskiej. Szefowie dyplomacji państw członkowskich Unii, którzy spotkali się 20 stycznia 2014 roku w Brukseli, porozumeli się w sprawie wysłania misji wojskowej do Republiki Środkowoafrykańskiej. Do 500 żołnierzy (choć wcześniej pojawiały się informacje o tysiącu) państw unijnych zostanie rozmieszczonych wokół Bangi przed końcem lutego. Jednocześnie Paryż zabiega o to, aby w przyszłości MISCA została zastąpiona misją pokojową ONZ, co z pewnością zapewniłoby jej stabilne finansowanie. Jak pokazały wcześniejsze doświadczenia, między innymi z Mali, Unia Afrykańska może dostarczyć żołnierzy, ale ma ogromne trudności z funduszami na utrzymanie misji i ze sprzętem potrzebnym siłom pokojowym.

mi chrześcijanie zaczęli tworzyć grupy samoobrony, które stały się zalążkiem szerszego ruchu, dziś znanego jako Anti-balaka (przeciw maczetom).

OPERACJA SANGARIS

5 grudnia 2013 roku w rejonie Bangi doszło do brutalnych walk między członkami milicji Anti-balaka, mającymi wsparcie byłych żołnierzy armii obalonego prezydenta Bozizé, a bojownikami Séléki. Wydarzenia te zmobilizowały społeczność międzynarodową do aktywniejszego działania. Rada Bezpieczeństwa ONZ zgodnie szybko przyjęła rezolucję, która autoryzowała zwiększenie obecnych już w republice afrykańskich sił pokojowych i zgodziła się na interwencję wojsk francuskich.

Początkowo władze w Paryżu chciały powiększyć stacjonujący w Bangi 400-osobowy kontyngent wojskowy tylko do 1200 żołnierzy. Gdy 6 grudnia 2013 roku minister obrony Jean-Yves Le Drian ogłaszał rozpoczęcie operacji „Sangaris” (kryptonim pochodzi od nazwy środkowoafrykańskiego gatunku motyla), ➔

MISCA MOŻE LICZYĆ NA 50 MILIONÓW EURO DOFINANSOWANIA ZE SPECJALNEGO FUNDUSZU UNII EUROPEJSKIEJ, NA 5 MILIONÓW DOLARÓW OD KANADY I DO 60 MILIONÓW DOLARÓW OD USA

Francja miała już w Bangi 650 wojskowych, dlatego że dodatkowych 250 przysłano z Francji już w listopadzie, przed przyjęciem rezolucji przez Radę Bezpieczeństwa ONZ. Łącznościowcy, logistycy oraz saperzy z 25 Pułku Inżynieryjnego Lotnictwa mieli przygotować miejsce na przybycie sił głównych operacji „Sangaris”. Do przerzutu wojsk Francuzi wykorzystali wojskowy Airbus 340 z 3/60 Eskadry Transportowej i wycarterowany samolot transportowy Antonow An-124.

Zaraz po rozpoczęciu operacji „Sangaris” do Republiki Środkowoafrykańskiej wkroczyło z Kamerunu 350-osobowe zgrupowanie z 11 Brygady Spadochronowej, w którym byli między innymi żołnierze z 1 Pułku Huzarów Spadochroniarzy (lekka jednostka pancerna) z Tarbes. Wcześniej przybyli oni do kameruńskiego portu Duala na pokładzie desantowca śmigłowcowego „Dixmude”. Na okręcie przewieziono również pojazdy pancerne VAB i VBL oraz śmigłowce Gazelle. W operację „Sangaris” zaangażowano też pododdziały 6 Batalionu Piechoty Morskiej, który stacjonuje w Libreville w Gabonie. W sumie francuski kontyngent ma osiem śmigłowców (po dwa typu Gazelle i Fennec oraz cztery Pumy) i bezzałogowce. Nad głównymi miastami środkowoafrykańskiej republiki pojawiły się natomiast, w ramach demonstracji siły, myśliwce Rafale.

Władze Francji po przeanalizowaniu sytuacji wysłały do Republiki Środkowoafrykańskiej jeszcze 400 wojskowych. W operacji „Sangaris” uczestniczy zatem łącznie 1600 żołnierzy francuskich, którymi dowodzi generał brygady Francisco Soriano. Większość stacjonuje w stolicy, a niewielkie jednostki rozmieszczono w głębi kraju, w regionach Bossangoa i Bozoum.

Francuzi współdziałają z regionalnymi afrykańskimi siłami pokojowymi. 19 grudnia 2013 roku operacja pokojowa MICOPAX przekształciła się w regionalną misję wsparcia MISCA. W rezolucji ONZ określono jej liczebność na cztery tysiące żołnierzy, ale podobnie jak w wypadku wojsk francuskich szybko uznano, że muszą to być większe siły. W Republice Środkowoafrykańskiej ma być zatem sześć tysięcy wojskowych z Afryki.

WIELKA NIEUFNOŚĆ

Sytuacja w Republice Środkowoafrykańskiej mimo obecności sił międzynarodowych pozostaje napięta. Nadal dochodzi do krwawych porachunków między bojownikami z sojuszu Séléka a członkami milicji Anti-balaka. Głównym miejscem konfrontacji jest rejon Bangi. Mieszkańcy stolicy, którzy w większości są wyznawcami chrześcijaństwa, występują nie tylko przeciwko ruchowi Séléka, lecz także przeciwko innym muzułmanom, czyli również wchodzącym w skład afrykańskiej misji pokojowej żołnierzom z Czadu. Chrześcijaństwo z Bangi zarzucili im współpracę z rebeliantami i przekazywa-

nie broni stołecznym wyznawcom islamu. Niektórzy twierdzą, że środkowoafrykański ruch rebeliancki jest kontrolowany przez władze w Ndżamenie. Jeden wręcz stwierdził: „Czad jest panem Séléki, a ona jest jego psem bojowym”.

W grudniu 2013 roku w starciach w pobliżu międzynarodowego portu lotniczego M'Poko zastrzelono sześciu czadyjskich wojskowych, a 15 innych raniono. Zarzuty o stronniczość wobec żołnierzy z Czadu wysunęło również dowództwo jednego z kontyngentów z afrykańskich sił pokojowych. Otóż ludzie w mundurach armii czadyjskiej mieli zaatakować 23 grudnia 2013 roku w Bangi wojskowych z Burundi, gdy ci zamierzali rozbroić kilku byłych rebeliantów Séléki.

Władze w Ndżamenie zaprzeczają tym oskarżeniom i zapewniają, że ich żołnierze są neutralni. Aby jednak rozładować napięcie, dowódca afrykańskich sił pokojowych, kameruński generał brygady Martin Tumenta Chomu, zapowiedział, że oddziały czadyjskie opuszczą Bangi i zostaną rozmieszczone na północy kraju, a rząd w Ndżamenie postanowił ewakuować ze stolicy republiki swych obywateli. Podobnie postąpiło kilka innych krajów, w tym Mali, Senegal i Niger. Szacuje się, że do połowy stycznia 2014 roku Republikę Środkowoafrykańską opuściło około 30 tysięcy cudzoziemców, a kolejne 60 tysięcy chce to zrobić.

NIEPEWNA PRZYSZŁOŚĆ

Kiedy François Hollande obejmował urząd prezydenta Francji, deklarował, że chce zakończyć z interwencjami wojskowymi, które pozwalają utrzymać władzę różnym afrykańskim politykom. I tak też postąpił, gdy w grudniu 2012 roku w Republice Środkowoafrykańskiej wybuchła nowa rebelia przeciwko rządowi prezydenta François Bozizé, który bez wsparcia byłej metropolii kolonialnej utracił władzę i salwował się ucieczką z kraju. Jednak późniejszy rozwój wypadków zmusił prezydenta Hollande'a do odejścia od polityki nieinterwencji. Z pewnością wziął pod uwagę to, że dalsze nakręcanie spirali przemocy może doprowadzić do otwartej wojny wyznaniowej w środku Czarnego Łądu, a nawet do ludobójstwa, jak to miało miejsce przed laty w Rwandzie. Sytuacja jest o tyle groźna, że zbrojne bandy zaczęły też zapuszczać się na terytoria sąsiednich państw – Kamerunu i Demokratycznej Republiki Konga.

Ustabilizowanie sytuacji w Republice Środkowoafrykańskiej może być jednak niezwykle trudne, choćby ze względu na otoczenie zewnętrzne. Konflikty na terenach Sudanu i Demokratycznej Republiki Konga od lat mają negatywny wpływ na ten kraj. Sama republika nie ma natomiast sprawnej administracji państwowej, a czujący się bezkarnie urzędnicy są skorumpowani. Do tego dochodzi nieufność między grupami ludności. Po roku kryzysu środkowoafrykańscy chrześcijanie nie wierzą w bezstronność Czadyjczyków, dlatego że ci są wyznawcami islamu. Ich muzułmańscy sąsiedzi mają podobne zastrzeżenia wobec Francuzów, ponieważ pamiętają ucisk w czasach kolonialnych i późniejsze poparcie dla niechętnych im rządów w Bangi. Wszak to francuska interwencja w 2006 roku pozwoliła Bozizé zdusić poprzednią rewoltę mieszkańców północy.

Innym zagrożeniem jest to, że ten konflikt mogą zechcieć wykorzystać ekstremiści, głoszący hasła „świętej wojny”. Jeśli siły pokojowe nie zapobiegą kolejnym pogromom, to pogłębią się, już i tak silnie zarysowane, podziały etniczno-wyznaniowe. Wraz z liczbą ofiar będzie następować radykalizacja stron konfliktu. ■

1-4.09. 2014

Kielce - Poland

TargiKielce

EXHIBITION & CONGRESS CENTRE



MSPO

XXII Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego

Dołącz do międzynarodowej platformy biznesowej

TARGI KIELCE S.A
e-mail: mspo@targikielce.pl

www.mspo.pl

Trudna sztuka przebaczenia

Z Wojciechem Tochmanem o tym, jak sąsiad zabija sąsiada, pamięci, którą jesteśmy winni ofiarom, i sprawcach rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.

Dwadzieścia lat temu w małym górzystym kraju w środkowej Afryce w ciągu stu dni zginęło ponad milion ludzi. Od dawna temat ludobójstwa w Rwandzie nie pojawia się na stronach gazet. Czy powinniśmy nadal o tym mówić? Ku przestrodze?

Powinniśmy pamiętać o ofiarach. Gdy je zapomnimy, zgodzimy się z intencjami katów, którzy chcieli nie tylko zabić, ale także wymazać zabitych ze zbiorowej pamięci. Kaci zawsze niszczą dowody na istnienie swoich ofiar. Niemcy palili synagogi, bośniaccy Serbowie burzyli meczety i spalili bibliotekę narodową w Sarajewie. A w Rwandzie w 1994 roku oddziały Interahamwe [„Walczący razem”], czyli bojówki Hutu, niszczyły w kancelariach parafialnych spisy ludności Tutsi – jedyne, jakie istniały. Jeżeli będziemy milczeć, wykonamy ostatni zamiar katów.

To jedyny powód?

Gdybyśmy nie pisali o ludobójstwie, nie badali procesów, które do nich doprowadziły, pewnie masowe zbrodnie powtarzałyby się częściej. Nie twierdzę, że pisanie ocali świat przed kolejnym ludobójstwem, ale uważam, że twórcy nigdy nie powinni zaprzestawać wysiłków w tej sprawie.

O ludobójstwie w Rwandzie napisał Pan książkę „Dzisiaj narysujemy śmierć”. Opisuje Pan tę śmierć słowami, które sprawiają, że widzimy maczety wbijające się w czaszkę i słyszymy dźwięk rozłupywanej kapusty, bo podobno taki odgłos wydaje rozbijana maczetą czaszka. Jak doszło do Pana wyjazdu do tego kraju?

Na przełomie lat 1992 i 1993 pojechałem z konwojem Polskiej Akcji Humanitarnej do Sarajewa. Wieźliśmy pomoc dla oblężonych. Miasto, które zobaczyłem, było skute lodem, z foliami w oknach zamiast szyb, pełne wystraszonych i głodnych ludzi, do których strzelali snajperzy. Po kilku latach wróciłem do Bośni, aby napisać książkę „Jakbyś kamień jadła”. Przez dwa lata wspólnie z doktor Ewą Kłonowski, antropologiem sądowym, brałem udział w ekshumacjach masowych grobów

i identyfikacjach szczątków. Często, także już po wydaniu książki, siadaliśmy z Ewą na tarasie w jej mieszkaniu z pięknym widokiem na Sarajewo i, pijąc czerwone wino, prowadziliśmy nieludzkie rozmowy – o jej pracy, o tym, czy taka identyfikacja jak w Bośni miałaby sens w Rwandzie.

I?

Skala mordów była tam nieporównywalnie większa niż w Bośni. Identyfikacja takiej liczby zwłok trwałaby ze sto lat. Kto by miał na to pieniądze? I od kogo z żyjących krewnych pobrać DNA, skoro zginęły całe rodziny? Identyfikacja ma sens wówczas, kiedy jest dla kogo identyfikować, kiedy są bliscy. W Rwandzie nie miałyby to zatem sensu. I wtedy, na tarasie w Sarajewie, stwierdziłem, że skoro tamci ludzie zostali starci na popiół, nie ma komu ich opłakiwać, napiszę o nich książkę. Czułem, że muszę to zrobić.

Od czego Pan zaczął?

Od literatury. W przeczytanych książkach czegoś mi jednak brakowało. Poleciałem do Rwandy. Był wrzesień 2008 roku. Spodziewałem się, że spotkam tam strasznych ludzi. A spotkałem uroczych i gościnnych Rwandyjczyków. Bo i kaci, i ofiary, jak wiemy, są zawsze zwykłymi rolnikami, sprzedawcami, nauczycielami, lekarzami, księżmi. W ciągu dwóch kolejnych lat spędziłem w Rwandzie siedem miesięcy.

Jak przygotowywał się Pan do napisania tej książki?

Po Bośni myślałem, że nie zaskoczy mnie już żaden masowy grób ani płacz zgwałconych kobiet, które straciły bliskich. Ale na takie spotkania nie można się przygotować. Nie chcę porównywać, ale w Rwandzie to była...

...rzeź?

To słowo kojarzy mi się z rzeźnią. W rzeźni zabija się zwierzęta, nie ludzi. Nikt nie nazywa rzeźnią ludobójstwa dokonanego na Żydach i ludobójstwa w Rwandzie tak nie nazywajmy.



ARCHIWUM WOJCIECHA TOCHMANA

To może „masakra”?

Ludobójstwo, także z punktu widzenia prawa międzynarodowego, wydaje mi się właściwym słowem. W trakcie pierwszego pobytu pojechałem do Murambi na południu Rwandy. Stoją tam szkolne baraki, w których leży 840 wyschniętych zwłok ekshumowanych z dołów znajdujących się tuż obok. Wyszły, bo przykryto je cienką warstwą piasku. Zmumifikowane dzieci. Jak przygotować się na taki widok?

Jakiej granicy w rozmowach z ocalonymi nie wolno przekroczyć?

Nie wolno stawiać pytań, które mogą ranić, powtórnie woływać traumy. Z ofiarą gwałtu nie rozmawia się o gwałcie.

Bardziej się słucha niż pyta?

Właśnie tak. Kiedy rozmówczyni sama zaczynała opowiadać o tym, co przeszła, słuchałem z uwagą. Nie przerywałem.

Trudno nie zadać sobie pytania: co się takiego wydarzyło, że sąsiedzi zaczęli się wyrzynąć? Píše Pan: „zabijano przez 100 dni, 10 tysięcy dziennie, 400 przez godzinę, 7 na minutę”. Może w każdym z nas drzemie bestia?

To nie bestia, to ciemna strona naszego człowieczeństwa. Nie każdy z nas ją ma, ale większość pewnie tak. Nie wystarczy jednak powiedzieć: „Zabij!”. Normalni ludzie nikogo nie chcą zabijać. Chyba że ktoś w nich tę mroczną przestrzeń otworzy. Władza, która zamierza dokonać ludobójstwa, najpierw musi wychować sobie morderców. To pewien proces. Najpierw przyszłe ofiary się wyodrębnia: to są Żydzi albo Tutsi, albo, powiedzmy, Ślązacy. To pierwszy krok, który może doprowadzić do ludobójstwa.

Układ geopolityczny i ekonomiczny dzisiejszego świata jest konsekwencją kolonializmu. Różnie to wygląda na różnych kontynentach i w różnych państwach, bo nie było dwóch takich samych kolonii. Ludobójstwo w Rwandzie było pośrednim i bardzo późnym skutkiem skolonizowania tego kraju przez Europejczyków, co nie zwalnia z odpowiedzialności tych Rwanadyjczyków, którzy gwałcili i mordowali. Zanim pojawili się tam Niemcy i Belgijscy kolonizatorzy, nie było tak drastycznego podziału na Hutu i Tutsi, jaki ukształtował się w XX wieku. Europejczycy zantagonizowali te dwie grupy. Faworyzowali Tutsi, ciemnieżyli Hutu, traktując ich niczym woły pociągowe. Pierwsi byli uważani za arystokrację, drudzy za feudalnych chłopów. Do lat trzydziestych XX wieku, zanim Belgowie wprowadzili dowody osobiste, można było przejść z kasty do kasty, choć nie było to łatwe. Uważam za trafne określenie, jakie Ryszard Kapuściński stosuje w „Hebanie”, że Hutu i Tutsi to raczej kasty niż plemiona. Do 1994 roku natomiast każdy miał stempel w dowodzie: „Hutu” lub „Tutsi”.

Z Pana książki wynika, że musiało dojść do ludobójstwa, mimo że Rwanda wyzwoliła się spod panowania Belgów.

Nie musiało, ale to wyjaśnijmy po kolei. Na fali afrykańskich dążeń wyzwoleniczych rwanadyjscy Tutsi również zapragnęli niepodległości. Nie podobało się to Belgom, więc poparli Hutu. To było na rękę Kościołowi, który od lat faworyzował uległą większość Hutu i o różne sprawy miał pretensje do bardziej niezależnych Tutsi. W 1959 roku, w odwecie za lata upokorzeń, Hutu dokonali pierwszych pogromów na Tutsi. Wtedy nastąpił wielki exodus tego ludu do Ugandy i Kenii. W 1962 roku

ONZ to kolos, który w krytycznych momentach już wielokrotnie nie zdał egzaminu, przez co zginęło wielu ludzi

Rwanda odzyskała niepodległość, władzę przejęli Hutu i kontynuowali prześladowania Tutsi.

Na czym one polegały?

Na szykanach i zdarzających się, to tu, to tam, mordach. Ale żeby na raz zabić milion ludzi, potrzeba ze sto tysięcy zabójców. To nie jest proste. Aby normalni ludzie zaczęli zabijać, trzeba im wmówić, że ci drudzy są groźni. Roznoszą choroby, bo są szkodnikami. Karaluchami. Wszami. Szczurami. Im dłużej trwa taka propaganda, tym bardziej spektakularny wywoła efekt. Stosowali ją Hutu przy aprobacie Kościoła katolickiego przez ponad trzy dziesięciolecia. W szkole mówiono dzieciom: „Tutsi wstać!... Zobaczcie, tak wyglądają karaluchy”. Ludobójcy, z którymi rozmawiałem w więzieniach, mówili mi: „Wierzyłem, że robię dobrze. Czyściłem świat”. Najpierw wyizolowano grupę, później ją zdehumanizowano. Kolejnym etapem było masowe zabijanie. I potem wymazywanie.

W książce píše Pan, że zanim z 6 na 7 kwietnia 1994 roku w Kigali rozpoczęły się masakry, wszyscy wiedzieli, że dojdzie do ludobójstwa. Z Chin przywieziono 581 tysięcy maczet. Rozdano je chłopom pod pozorem prac polowych.

Maczety zamówił prezydent Juvénal Habyarimana. Wiedział o tym z pewnością i rwanadyjski episkopat, a przynajmniej jego część. W bliskim otoczeniu prezydenta był katolicki kardynał. Habyarimana zginął wieczorem 6 kwietnia w samolocie, który został zestrzelony nad stolicą. To stało się iskrą zapalną. Pierwsze mordy zaczęły się na ulicach Kigali kilka godzin później i trwały sto dni.

Czy wśród tych, którzy się do nich przyczynili, nie powinniśmy wymienić Francji? Przecież dostarczała broń i pieniądze



dze, a także szkolili bojówkarzy, którzy potem mordowali Tutsi?

Wpływ Francji na wydarzenia, które umożliwiły ludobójstwo, jest bezdyskusyjny. To przede wszystkim interwencja w 1993 roku zarządzona przez prezydenta François Mitterranda, która powstrzymała ofensywę Rwandyjskiego Frontu Patriotycznego, czyli wojska Tutsi zmierzającego z Ugandy w stronę Kigali. Gdyby nie desant oddziałów francuskich, Tutsi przejęliby władzę w Kigali. Być może doszłoby do zbrodni, ale nie do ludobójstwa na taką skalę.

Jak ocenić zachowanie księży katolickich wobec ludobójstwa?

Wielu księży wykazało się bohaterstwem i z narażaniem życia ocalali innych. Niektórzy zginęli. Byli jednak też duchowni Hutu, którzy gwałcili i mordowali. Kościół do dziś nie skonfrontował się z tą hańbą. Byli tam i biali misjonarze. Oni w większości zachowali obojętność i uciekli z Rwandy. Nie powinniśmy jednak ich oceniać, bo strach to ludzka rzecz. Ocenie musi natomiast podlegać postawa instytucji kościoła zarówno przed, w trakcie, jak i po ludobójstwie. Już miesiąc po wszystkim, w sierpniu 1994 roku, kiedy ziemia wciąż ugiwała się od trupów, biali misjonarze wrócili do Rwandy, z wysoko podniesionymi nosami, bez żadnej refleksji nad tym, co się stało.

Czy uprawnione jest twierdzenie, że w 1994 roku w Rwandzie były dwa ludobójstwa?

W czerwcu 1994 roku w obawie przed zemstą ze strony Tutsi dwa miliony Hutu uciekły z Rwandy, głównie do Zairu, czyli dzisiejszej Demokratycznej Republiki Konga. Ukryli się wśród nich i mordercy, bo morderca był niemal w każdej rodzinie. Kiedy w lipcu Tutsi przejęli władzę, natychmiast poszli do Zairu za Hutu, by ich „wepchnąć” z powrotem do Rwandy i się z nimi rozliczyć. Wtedy zginęło prawdopodobnie nawet kilkaset tysięcy Hutu. O tym też trzeba pamiętać. To zbrodnie, za które winni muszą ponieść odpowiedzialność. I za te, które armia Tutsi popełniła na północy Rwandy przed kwietniem 1994 roku. Ludobójstwo to jednak termin prawny. Konwencja ONZ z 1948 roku jasno określa, że to „czyn dokonany w zamiarze zniszczenia w całości lub części grup narodowych, etnicznych, rasowych lub religijnych”. Celem Rwandyjskiego Frontu Patriotycznego nie było zabicie wszystkich czy części Hutu tylko dlatego, że byli Hutu. Hutu mieli natomiast zabić wszystkich Tutsi, łącznie z dziećmi.

Jak osądzono sprawców?

Osądzono tych, którzy zabijali Tutsi. Ci, którzy uznali swoją winę, dostali lżejszy wymiar kary i przebywają w łagodniejszych więzieniach. Ci, którzy wciąż twierdzą, że są niewinni, siedzą w nieludzkich warunkach. System rwandyjskiego sądownictwa „gacaca”, powołanego do sądenia sprawców ludobójstwa, budzi wiele zastrzeżeń. Zbyt łatwo tam o niesprawiedliwy wyrok.

Po 1994 roku była amnestia i obowiązywał zakaz mówienia o tym, co się stało. Czy doszło do przebaczenia? Do pojednania?

Władze deklarują pojednanie. To kraj wielkości polskiego województwa, a przy tym część zajmują góry. Ludzie żyją w ciasnocie. Wiejski gościniec wygląda jak ulica Marszałkowska w Warszawie w godzinach szczytu. Słowa „Hutu” i „Tutsi” są zakazane. Są Rwandyjczycy. Tylko co roku w kwietniu, kiedy Rwanda obchodzi miesiąc żałoby, na fioletowych transparentach upamiętnia się kolejną „rocznicę ludobójstwa na Tutsi”. Nie jest napisane, kto zabijał. Słusznie, bo nie każdy Hutu był mordercą, choć morderstwa popełniano w imieniu wszystkich Hutu. I każdy Tutsi był celem. Dzisiaj Hutu narzekają, że oficjalne pojednanie to tylko wizytówka, a życie wygląda inaczej. Skarżą się, że są dyskryminowani. I często mają rację.

A przebaczenie?

To najtrudniejsza sztuka. Nikogo w Rwandzie nie pytałem o przebaczenie. Ludzi, którzy patrzyli na to, jak gwałcono ich matki, nie wolno pytać, czy przebaczyli sprawcom.

W jednym z wywiadów ostro osądził Pan ONZ, kiedy mówił, że to formacja skompromitowana i powinna zostać rozwiązana, bo nie udaremniła ludobójstwa. W Rwandzie żołnierze nie mieli broni, a rozkaz brzmiał: „Siedzieć i czekać”.

Nie oceniam żołnierzy, tylko ONZ. To kolos, który w krytycznych momentach już wielokrotnie nie zdał egzaminu, przez co zginęło wielu ludzi.

W książce przywołuje Pan wspomnienia dwóch polskich żołnierzy w błękitnych hełmach, którzy w 1994 roku byli w Rwandzie.

Obaj żyją w poczuciu winy, że wówczas zrobili za mało. W przeciwieństwie do polskich misjonarzy, którzy zrobili jeszcze mniej, nie uchylają się od dania świadectwa. Uważają, że skoro widzieli pojedyncze akty ludobójstwa, nie mogą tej wiedzy zatrzymać dla siebie. Ich relacje zamieszczam w „Dzisiaj narysujemy śmierć”.

Czy ma Pan kontakt ze swymi rozmówcami?

Przed wszystkim z Leonardem, głównym bohaterem mojej książki, który w 1994 roku miał dziewięć lat. Skończył studia, pracuje. Radzi sobie. I do dziś oplakuje zabitych rodziców. ■

ARCHIWUM WOJCIECHA TOCHMANA

WIZYTÓWKA

WOJCIECH TOCHMAN

Jest reporterem, autorem literatury non-fiction. Wydał siedem książek, między innymi „Jakbyś kamień jadła”, „Bóg zapłać”, „Dzisiaj narysujemy śmierć” i ostatnio „Eli, Eli”, które zostały przetłumaczone na kilkanaście języków. Jest współzałożycielem (wraz z Mariuszem Szczygiłem) Instytutu Reportażu, gdzie wykłada w Polskiej Szkole Reportażu oraz angażuje się w kulturalną działalność warszawskiej księgarni Wrzenie Świata i Faktycznego Domu Kultury.

Dziś trudno oczekiwać powrotu do stanu sprzed 2008 roku, choć ogłoszona przez premiera Kosowa Hashima Thaçi 17 lutego 2008 roku deklaracja niepodległości miała wątpliwe umocowanie prawne. Zwolennicy niezawisłości powoływali się wówczas na zasadę samostanowienia, przeciwnicy – na wynikającą z suwerenności zasadę integralności terytorialnej państwa. Ci drudzy wskazywali na rezolucję Rady Bezpieczeństwa ONZ numer 1244 z 10 czerwca 1999 roku, zgodnie z którą Kosowo miało pozostać autonomiczną prowincją w ramach Federalnej Republiki Jugosławii.

Wiele państw nie uznało Kosowa (spośród członków Unii Europejskiej – Hiszpania, Cypr, Słowacja, Grecja Rumunia), co uniemożliwia mu członkostwo w Organizacji Narodów Zjednoczonych. Serbowie nadal uważają, że „Kosovo je Srbija” (Kosowo to Serbia). Wpisali nawet te słowa do nowej konstytucji. Dla nich Kosowo jest kolebką państwowości, miejscem, gdzie powstawały średniowieczne klasztory prawosławne oraz gdzie w 1389 roku w krwawej bitwie na Kosowym Polu próbowali (bez rezultatu) zatrzymać osmańską ekspansję na Bałkany.

NOWI BOHATEROWIE

Kosowo zawdzięcza niepodległość przede wszystkim Stanom Zjednoczonym, które nie tylko zabiegały na forum międzynarodowym o uznanie nowego państwa, lecz także ciągle pomagają mu w utrzymaniu bezpieczeństwa oraz rozruszaniu gospodarki (między innymi poprzez przyznanie preferencji handlowych i pomocy finansowej). Amerykanie mają w tym swój interes – wsparcie dla Kosowa przekłada się na rozszerzenie wpływów politycznych Waszyngtonu w Europie oraz jest elementem rywalizacji z Rosją, wspierającą Serbię. Ponadto amerykańscy żołnierze w Kosowie wzmocnili obecność wojskową Stanów Zjednoczonych w tej części Starego Kontynentu. Baza Camp Bondsteel, największa na Bałkanach, może pomieścić siedem tysięcy żołnierzy. Poza tym Kosowo ma bogate złoża surowców naturalnych, w tym ważnych dla przemysłu metali, co nie jest bez znaczenia dla polityki Waszyngtonu w tym regionie.



MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

Kosowo, sześć lat po ogłoszeniu niepodległości, pozostaje najbardziej zapalnym punktem w Europie.

ZAMROŻONY

To najmłodsze państwo w Europie nadal pozostaje uzależnione od wsparcia USA, UE i NATO. Trudno więc uznać je za suwerenne, prowadzące niezależną politykę. Kraj boryka się z wieloma problemami wewnętrznymi, od ekonomicznych, poprzez etniczne, po polityczne. Połowa mieszkańców żyje za mniej niż dwa dolary dziennie. Kwitnie przemyt i korupcja, a Europol uważa, że przez to terytorium przechodzą główne szlaki narkotykowe Europy.

Elita polityczna tego państwa wywodzi się z szeregów Wyzwoleńczej Armii Kosowa (Ushtria Çlirimtare e Kosovës

– UÇK), która do 1998 roku znajdowała się na liście ugrupowań terrorystycznych Departamentu Stanu USA. Żaden z członków tej formacji nie odpowiedział dotąd za popełnione zbrodnie. Bojownicy UÇK stali się natomiast nowymi bohaterami narodowymi.

„Niemal każda szkoła nosi imię jakiegoś bojownika UÇK”, mówi kapitan Michał Stańczyk, który był w Kosowie na XXVIII zmianie PKW. „Lotnisko w Prisztinie nazwano na przykład imieniem byłego dowódcy Wyzwoleńczej Armii Kosowa. Adem Jashari zginął w 1998 roku”.

Al-Kaida miała dwie bazy – w Bośni i Kosowie. Służby specjalne USA stwierdziły, że z grupy terrorystów biorących udział w samobójczych atakach z 11 września 2001 roku co najmniej dwóch przeszło przeszkolenie w jednej z nich. Dziś centrum radykalnego islamu znajduje się w Prizren, dawnej stolicy Serbii, oraz w Peji.

ŚLADY WOJNY SĄ W WIELU MIEJSCACH KOSOWA WIDOCZNE DO DZIŚ

KONFLIKT

Najpoważniejsze oskarżenie pod adresem premiera Haszima Thaçi i UÇK to zamordowanie serbskich jeńców oraz handel ich organami. W 2011 roku do prasy wyciekły zeznania kilku członków Wyzwoleńczej Armii Kosowa, którzy potwierdzili ten proceder. Unia Europejska do dziś prowadzi śledztwo w tej sprawie.

PODZIELONY KRAJ

Dziś w tym dwumilionowym kraju dominuje ludność albańska. Około 140 tysięcy Serbów mieszka zaledwie w dzie-

sięciu z 38 kosowskich okręgów: cztery z nich znajdują się na północy kraju, a sześć w centrum oraz na południu. Serbowie mieszkający w enklawach są skazani na współpracę z władzami Republiki Kosowa. Ci z północy natomiast stanowią zwartą etnicznie grupę, liczącą około 70 tysięcy osób. W wielu gminach na tych terenach oprócz kosowskich instytucji działają serbskie (między innymi poczta, szkoły, szpitale), utrzymywane przez Belgrad. Podobnie jest z walutą – chociaż w Kosowie oficjalnie obowiązuje euro, to na północy płaci się serbskimi dinarami.



KOMENTARZ

ADAM BALCER



Kosowo jest jednym z nielicznych sukcesów unijnej polityki zagranicznej. Kilka lat temu wszyscy twierdzili, że porozumienie tego państwa z Serbią będzie niemożliwe. Tymczasem Bruksela, wspierana przez Niemcy, stosując politykę kija i marchewki, doprowadziła do normalizacji serbsko-kosowskich stosunków. Nie oznacza to, że Serbia uznała Kosowo, ale de facto traktuje je jako odrębne państwo. Na arenie międzynarodowej dla Kosowa najważniejsze są relacje z Unią. Komplikuje je jednak to, że pięciu członków nie uznaje tego państwa i uważa je za część Serbii. Kosowo jest zatem przypadkiem szczególnym i będziemy mieli do czynienia ze stopniową integracją tego kraju z UE, ale bez członkostwa w niej (de iure). Już dzisiaj jest ono społecznie i ekonomicznie silnie powiązane z Unią, ale to także najbardziej proamerykański kraj w Europie.

Z jednej strony Kosowo boryka się z podobnymi problemami jak pozostałe kraje bałkańskie: korupcją, zorganizowaną przestępczością, wysokim bezrobociem, dużą szarą strefą. Jednak dla niego, jako młodego państwa, te wyzwania są większe niż w wypadku pozostałych krajów Bałkanów Zachodnich. Z drugiej strony w ciągu sześciu lat niepodległości dokonało ono pewnego postępu, choć sytuacja tam jeszcze wymaga zdecydowanej poprawy. Jeżeli ten region porównalibyśmy do klasy w szkole, to wyniki Kosowa są zbliżone do stopni uzyskanych przez Albanię. A gdybyśmy na Bałkanach mieli wybrać najgorszego ucznia, byłaby nim Bośnia. Kosowo jest bardziej homogeniczne etnicznie, a kosowska albańska elita polityczna jest bardziej spójna niż Bośniaków. W Kosowie nie ma mowy o powtórce konfliktu zbrojnego z lat dziewięćdziesiątych. Może jednak dochodzić do lokalnych zbrojnych incydentów i zamieszek na tle etnicznym. Radykalne środowiska nacjonalistyczne nie cieszą się jednak dużym poparciem. W ostatnich latach nastąpił co prawda wzrost praktyk religijnych w Kosowie, powstała pierwsza, marginalna partia islamistyczna i niewielka grupa ochotników z tego kraju pojechała na wojnę do Syrii. Tamtejsze społeczeństwo pozostaje jednak jednym z najbardziej świeckich w świecie islamu. W efekcie zagrożenie ze strony terroryzmu islamskiego nie jest znaczące.

Adam Balcer jest doradcą demoesEUROPA Centrum Strategii Europejskiej, wykładowcą w Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego.

Zarówno Serbia, jak i Kosowo mają europejskie aspiracje. Unia stawia jednak warunek: muszą zawrzeć porozumienie. Wiosną 2013 roku, po wielu tygodniach negocjacji, pierwszy krok ku takiemu porozumieniu zrobili premierzy Serbii i Kosowa, Ivica Dačić oraz Hashim Thaci. Bruksela w nagrodę zgodziła się na otwarcie negocjacji członkowskich z Serbią, a Kosowo dostało zielone światło w rozmowach o umowie stowarzyszeniowej.

Porozumienie przewiduje szeroką autonomię dla Serbów w północnym Kosowie. Zamieszkane przez nich gminy utworzą stowarzyszenie, które samodzielnie będzie decydować o wielu lokalnych sprawach. Serbskie sądownictwo i policja mają zostać włączone do struktur państwa kosowskiego. Ponadto tamtejsi mieszkańcy będą wybierać swojego komendanta policji oraz mają zagwarantowaną liczbę posłów do krajowego parlamentu. Serbów, którzy dotychczas nie płacili podatków oraz rachunków za gaz, prąd czy wodę, obejmie też amnestia podatkowa. W zamian Serbia obiecała, że nie będzie blokować w przyszłości prób wejścia Kosowa do Unii Europejskiej. Czas jednak pokaże, czy to porozumienie sprawdzi się w praktyce.

Pierwszym testem normalizacji stosunków kosowsko-serbskich były wybory samorządowe, które odbyły się na jesieni 2013 roku – po raz pierwszy na terytorium całego Kosowa. Dotychczas Serbowie z północy bojkotowali każde głosowanie. Tym razem Belgrad jednak wezwał ich do pójścia do urn.

Mimo pierwszych symptomów normalizacji stosunków w tym niejednorodnym kraju, północne tereny Kosowa nadal są niebezpieczne. W rozdzielonej rzeką Ibar Kosowskiej Mitrowicy, której północna część jest zamieszkała głównie przez

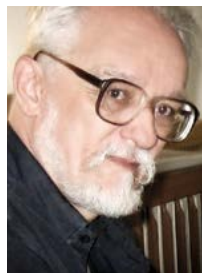
ludność serbską, a południowa przez albańską, dochodzi do różnych incydentów. Jesienią 2013 roku na obrzeżach tego miasta zginął na przykład litewski celnik (ostrzelano konwój EULEX-u), a w połowie stycznia 2014 roku został zastrzelony przed swoim domem Dimitrije Janićijević, były kandydat na burmistrza i radny współpracujący w Kosowie Niezależnej Partii Liberalnej (ugrupowanie mniejszości serbskiej w Kosowie).

W utrzymaniu bezpieczeństwa w Kosowie i budowie państwa prawa pomaga cywilna misja unijna EULEX, złożona z policjantów, prawników, celników i prokuratorów. Od czerwca 1999 roku na terenie Kosowa działają pod auspicjami NATO oddziały KFOR (w tej misji uczestniczy także Polska, a XXIX zmiana liczy około 230 żołnierzy). Ich nagła wyprowadzka mogłaby wpędzić ten kraj w poważne kłopoty. Jeszcze przez wiele lat państwo to będzie zdane na pomoc finansową z zewnątrz i wsparcie zachowujących neutralność wojsk.

UNIJNA PERSPEKTYWA

Niezbędnym warunkiem stabilizacji w regionie jest rozwiązanie problemu mniejszości serbskiej na północy Kosowa. Mogą w tym pomóc europejskie aspiracje Belgradu i Prisztiny. Korzystnym scenariuszem wydaje się uznanie przez Serbię suwerenności Kosowa, a następnie bliska współpraca gospodarcza i polityczna. W ten sposób Kosowo zostałoby niejako uzależnione od Serbii.

Szansą na normalizację jest także nowe pokolenie. Dla wielu młodych w obu krajach priorytetem jest wejście do Unii Europejskiej. Aby zainicjować proces pojednania między obu społeczeństwami, konieczne jednak będzie wyjaśnienie losu zaginionych, osądzenie zbrodni wojennych czy rozwiązanie problemu uchodźców. ■



UKRAINA

Gra na dwa fronty

TADEUSZ A.
OLSZAŃSKI

Wydarzenia ostatnich tygodni na Ukrainie pokazały, że na tamtejszą arenę polityczną weszło nowe pokolenie, które nie jest obciążone sowieckim dziedzictwem i którego znacząca część swobodnie posługuje się różnymi mediami społecznościowymi. Jedną z najciekawszych takich akcji – blokowanie kolumnami samochodowymi dojazdu do siedziby prezydenta – była koordynowana przez Facebook.

Początkowo protesty wywołane rezygnacją Ukrainy z podpisania umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską miały charakter apolityczny. Dopiero potem ich kierownictwo przechwyliły partie. I wtedy ujawniła się rywalizacja – kto będzie kandydatem opozycji w zaplanowanych na marzec 2015 roku wyborach prezydenckich. Szanse na wystawienie wspólnego kandydata są dziś mniejsze niż pół roku temu.

Trwające od listopada na kijowskim Majdanie protesty powoli wygasły, aby w połowie stycznia ponownie eksplodować. Doszło nawet do ofiar śmiertelnych.

Ukraina leży między państwami UE, Rosją a światem śródziemnomorskim. Ważnym sąsiadem, choć tylko przez morze, jest Turcja. Ukraina musi współpracować z Rosją – z powodu silnych więzów gospodarczych i społecznych, ale także z Unii Europejskiej – ze względu na wyraźne ciążenie części elit i społeczeństwa do unijnego ładu, pojmowanego jako praworządność i zamożność. Nawet gdyby Ukraina została członkiem Unii, co dziś jest nierealne, musiałaby mieć uprzywilejowane relacje z Federacją Rosyjską, bo nie da się tak łatwo zerwać wielowiekowych więzów.

Kijów musi wypracować modus vivendi i w jednym, i w drugim kierunku. Ani obecny rząd, ani opozycja nie są w stanie tego zrobić. Ukraina próbuje odnaleźć swoje miejsce, a także określić, jaką pozycję chce zajmować jako kraj z jednej strony europejski, a z drugiej prawosławny i silnie powiązany z nieeuropejską Rosją. Na razie Ukraina nie znalazła odpowiedzi na to pytanie i nie sądzę, aby doszło do tego w najbliższych latach.

TADEUSZ A. OLSZAŃSKI JEST ANALITYKIEM
OŚRODKA STUDIÓW WSCHODNICH.



ROSJA

Pat na Kaukazie

ANDRZEJ
WILK

Zamachy terrorystyczne z grudnia 2013 roku w Wołgogradzie pokazały bezsilność Rosji, która nie jest w stanie zagwarantować bezpieczeństwa swoim obywatelom. Tamtejsze organy siłowe, skupione na zapewnieniu – wszelkimi możliwymi sposobami – bezpiecznego przebiegu zimowych igrzysk olimpijskich w Soczi, w skali całego państwa okazały się nieskuteczne. I to pomimo stałego dofinansowywania, wyposażania w nowoczesne środki techniczne i udzielenia dodatkowych kompetencji. Grudniowe zamachy w Wołgogradzie, podobnie jak wcześniejsze październikowe, pokazały także ograniczone możliwości terrorystów. Za ich główny cel uważa się zakwestionowanie skuteczności rosyjskiej polityki bezpieczeństwa wewnętrznego – zwłaszcza w walce z terroryzmem – przed igrzyskami w Soczi. Najprawdopodobniej terroryści nie byli i nie są w stanie przeprowadzić zamachu w bezpośredniej bliskości miejsca olimpiady.

Kaukaski terroryzm wciąż pozostaje jednym z głównych wyzwań dla bezpieczeństwa wewnętrznego Rosji, przede wszystkim stanowi jednak problem natury społecznej. Jego przejawy są potwierdzeniem nieumiejętności lub braku możliwości rozwiązania przez władze w Moskwie narastających napięć na tle etnicznym, związanej z tym radykalizacji postaw, a także obserwowanego kryzysu wartości.

W porównaniu do sytuacji sprzed dekady Rosja jest krajem zdecydowanie spokojniejszym, jednakże spadek liczby aktów terrorystycznych i ograniczenie ich występowania przede wszystkim do terytorium Kaukazu Północnego ekipa Putina uzyskała nie przez eliminowanie źródeł terroryzmu, ale de facto w efekcie rezygnacji z rzeczywistej integracji tego regionu z Rosją. Górskie republiki Kaukazu Północnego – zwłaszcza jego wschodniej części – stały się czymś w rodzaju rosyjskich bantustanów, w których zapewnienie bezpieczeństwa wewnętrznego przestało być problemem struktur federalnych i zostało powierzone miejscowym kacykom. Za wzorcowy przykład takiego rozwiązania służy obecnie – paradoksalnie najbezpieczniejsza w regionie – Czeczenia.

ANDRZEJ WILK JEST ANALITYKIEM
OŚRODKA STUDIÓW WSCHODNICH.

wojny i pokoje



Przechwycona przez
Amerykanów japońska
depesza zawierała informację
dotyczącą lotu samolotu
naczelnego dowódcy
japońskiej marynarki
wojennej.





PIOTR KORCZYŃSKI

| II WOJNA ŚWIATOWA |

OSTATNI LOT YAMAMOTO

Jak los króla Władysława Warneńczyka
przypieczętował śmierć głównodowodzącego
japońskiej marynarki wojennej.



→ MILITARIUM STUDIO MS

→ OSTATNI LOT YAMAMOTO

Podpułkownik Alve Lassevell ze sztabu admirała Chestera Nimitza na Hawajach 13 kwietnia 1943 roku o świcie otrzymał do przetłumaczenia przechwyconą japońską depeszę, która poprzedniego dnia została rozszyfrowana przez komórkę dekryptażu. Lassevell przed II wojną światową był pracownikiem amerykańskiego ataszatu w Tokio i powierzone zadanie nie sprawiało mu większego problemu.

Okazało się, że depesza zawiera niezwykle ważną dla Amerykanów informację, dotyczącą godzin startu i lądowania samolotu naczelnego dowódcy japońskiej marynarki wojennej admirała Isoroku Yamamoto! Na trasie z Rabaulu do bazy Buin na wyspie Bougainville miał on przeprowadzić inspekcję baz i jednostek wojskowych na południowym Pacyfiku. Depeszę nadano z pokładu flagowego okrętu floty japońskiej – pancernika „Musashi” – do wszystkich baz w rejonie Wysp Salomona.

ADMIRAŁ PEARL HARBOR

Słynny admirał Yamamoto, który doprowadził do klęski amerykańskiej marynarki wojennej w jej własnej bazie Pearl Harbor (dzięki czemu w prasie amerykańskiej zdobył przydomek „admiral Pearl Harbor”), mógł znaleźć się w zasięgu amerykańskiego lotnictwa! Angielskie tłumaczenie depeszy natychmiast znalazło się na biurku szefa wywiadu morskiego na Hawajach, komandora Edwina Leytona.

Wiadomość o planach admirała Yamamoto przechwycono jednak nie tylko na Hawajach. Udało się to także innym amerykańskim stacjom nasłuchowym, między innymi w Dutch Harbor na Alasce, która przekazała ją drogą radiową do Waszyngtonu, gdzie została szybko rozszyfrowana przez kryptologów. W ten sposób treść depeszy dotarła do sekretarza marynarki Franka Knoxa 15 kwietnia (czyli dzień później niż do admirała Nimitza na Hawajach).

Sekretarz w rozmowie ze swymi oficerami wyraził wątpliwości, czy akcja zlikwidowania naczelnego wodza nieprzyjacielskiej armii jest legalna i pytał ich, czy znają podobny precedens w historii. Do późnego wieczora Knox starał się zasięgnąć opinii w tej sprawie u wysoko postawionych osób. Większość miała wątpliwości. Jedynie dowódca lotnictwa, generał Henry Harley Arnold, bez wahania powiedział „tak”. Wszyscy podkreślali jednak, że ostateczna decyzja powinna należeć do prezydenta.

Franklina Delano Roosevelta nie było w tym czasie w stolicy. Od 13 kwietnia wizytował bazy wojskowe w stanach Georgia i Alabama. W dzienniku zajęć prezydenta brak jest jakichkolwiek zapisów na ten temat (być może zostały celowo usunięte). Wiadomo jednak, że sekretarz Knox telefonował do Roosevelta i referował mu treść japońskiej depeszy, a do-



wództwo marynarki na Hawajach słało monity w tej sprawie do Białego Domu.

CASUS WARNEŃCZYKA

Ostatecznie sprawa admirała Yamamoto trafiła do oddziału wywiadu marynarki, który pracował pod kryptonimem „OP-16-FE”, zajmującego się rozpoznaniem Japonii. Jego siedziba mieściła się w ściśle chronionej bazie dowództwa marynarki na peryferiach Waszyngtonu. Tutaj, w budynku oznaczonym literą „L”, specjaliści wywiadu opracowali szczegółową analizę, która miała umotywić „zamach na Yamamoto” i dać przede wszystkim odpowiedź na pytanie, czy śmierć admirała przyczyni się do zwycięstwa i nie wywoła ze strony Japonii groźnych akcji odwetowych. Na pierwsze pytanie dokument jednoznacznie odpowiadał „tak”, na drugie – „nie”. Specjaliści przygotowali także analizę legalności takiej akcji. Przypominali w niej między innymi, że Japończycy napadli na Pearl Harbor podstępnie i zdradziecko, bez wypowiedzenia wojny, „podczas prowadzenia przyjacielskich rozmów w Waszyngtonie”. Ponadto w czasie walki na wyspach Pacyfiku dopuścili się wielu zbrodni na jeńcach i cywilach. Po wyliczeniu tych wszystkich argumentów zaskakiwał jednak przykład wyeliminowania naczelnego wodza z pola walki...

Analitycy wywiadu podali, że śmierć głównodowodzącego w bitwie odnotowały kroniki z 1444 roku, kiedy w czasie wojny z Turkami zginął u wybrzeży Morza Czarnego pod Warną młody, niespełna dwudziestoletni, król Polski i Węgier Władysław, nazwany później od miejsca swej śmierci Warneńczykiem. Na koniec podkreślili, że później trudno jest znaleźć lepszy i jednoznaczny przykład...



ADMIRAŁ YAMAMOTO DO KOŃCA TRZEŻWO OCENIAŁ SZANSE SWEGO KRAJU W KONFRONTACJI Z POTĘGĄ STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Czas nagiął, więc sekretarz Knox przystał na „casus Warneńczyka”, chociaż jednocześnie polecił admirałowi Morrisonowi, szefowi oddziału historycznego marynarki, szukać kolejnych precedensów, by „w terminie późniejszym jeszcze lepiej umotywować całą akcję”. Knox podpisał rozkaz zestrzelenia samolotu Yamamoto, powołując się na wszelki wypadek na prezydenta (który często stosował w swej karierze politycznej „metodę milczącego przyzwolenia”). W ten sposób los króla Władysława Warneńczyka przypieczętował śmierć głównodowodzącego marynarki japońskiej. Rozkaz oficjalnie zobowiązywał admirała Nimitza i wszystkie zainteresowane sztaby na południowym Pacyfiku do natychmiastowego działania.

ATAK NA BETTY

14 kwietnia 1943 roku wiceadmirał Marc Mitscher, dowódca lotnictwa na Wyspach Salomona, otrzymał pilną depezę od admirała Williama Halseya, dowódcy sił amerykańskich na południowym Pacyfiku. Informował on podwładnego, że Yamamoto prawdopodobnie udaje się na wyspę Bougainville, i jednocześnie pytał, czy istnieje szansa przechwycenia i zestrzelenia samolotu z nieprzyjacielskim dowódcą. Wiceadmirał Mitscher był doświadczonym oficerem, który znał wszystkie taktyczno-techniczne możliwości podległych mu dywizjonów. Od razu ocenił, że do tej akcji najlepiej nadają się dwusilnikowe samoloty P-38 Lighting, które trzeba będzie wyposażać w dodatkowe powiększone zbiorniki paliwa.

Następnego dnia wiceadmirał Mitscher otrzymał szczegółowe informacje dotyczące podróży inspekcyjnej naczelnego dowódcy japońskiej marynarki, które kończył rozkaz: „Za wszelką cenę przechwycić i zniszczyć samolot Yamamoto. Prezydent przywiązuje do operacji wyjątkowo wielkie znaczenie. Podpisano Frank Knox – sekretarz marynarki”. Na dowódcę akcji wiceadmirał wybrał jednego ze swoich asów – majora Johna W. Mitchella z 339 Eskadry Myśliwskiej, który miał przygotować szczegółowy plan akcji i dobrać sobie ludzi. W sztabie wiceadmirała Mitschera ustalono ponadto, że major Mitchell, odpowiedzialny za całość operacji, będzie dowodził 12 samolotami osłony, a bezpośredniego ataku dokona grupa uderzeniowa sześciu maszyn pod dowództwem kapitana Thomasa G. Lanphiera. Wszyscy mieli lecieć na P-38 Lighting, którego zasięg i uzbrojenie dawało szansę na powodzenie akcji i wyjście cało ze starcia z niebezpiecznymi myśliwcami Zero, stanowiącymi osłonę samolotu admirała Yamamoto.

W czasie narad pilotów uczestniczący w nich oficer wywiadu podkreślał, że depezę o przelocie Yamamoto dostarczyła Amerykanom... australijska grupa wywiadowcza operująca na Nowej Brytanii. Ta dezinformacja miała na celu zachowanie w tajemnicy tego, że Amerykanie złamali japońskie kody szyfrowe i czytają ich depeze, na wypadek, gdyby któryś z pilotów został zestrzelony i dostał się do niewoli.

Major Mitchell wraz ze swymi ludźmi ustalił, że najlepiej będzie przechwycić samolot admirała Yamamoto u wybrzeży wyspy Bougainville, czyli w połowie drogi między amerykańską bazą na Kaktusie, jak nazywano Guadalcanal, a potężną bazą japońską w Rabaulu.

O godzinie 8.00 (6.00 czasu japońskiego) z lotniska w Rabaulu wystartowały dwa bombowce Mitsubishi G-4M1 (zwane przez Amerykanów „Betty”), pilotowane przez doświadczonych lotników z 705 Dywizjonu, w asyście sześciu my-



śliwców Mitsubishi A-6M3 Zeke (Zero) z 309 Dywizjonu. Cała grupa obrała kurs na Bougainville. W pierwszym bombardowaniu leciał admirał Yamamoto wraz z szefem swego gabinetu admirałem Takadą, komandorem Ishizakim i oficerem łącznikowym lotnictwa morskiego, komandorem Toibaną. Pasażerami drugiego (który okazał się zaskoczeniem dla amerykańskich pilotów, ponieważ nie było o nim słowa w rozszyfrowanej depeszy) byli: szef sztabu marynarki admirał Ugaki, szef służby finansowej marynarki admirał Kitamura, komandor Imanaka z szefostwa łączności, komandor Muroi ze sztabu lotnictwa i porucznik Uno ze służby meteorologicznej marynarki.

Wybiła 7.20, gdy z bazy Henderson na Guadalcanal wzbiło się w niebo 17 samolotów P-38, które obrały kurs na Bougainville (jedna z maszyn przy starcie złapała gumę i została na lotnisku). Już w powietrzu kolejny pilot zgłosił awarię i musiał zawrócić do bazy. Około 9.30 jako pierwszy dwa nieprzyjacielskie bombowce zauważył porucznik Doug Canning. Amerykanie, którzy dotychczas lecieli na minimalnej wysokości, by trudno było ich wykryć, zajęli ustalone pozycje: 12 maszyn osłony zaczęło ostre wznoszenie, aby wyjść na ustalony ochronny pułap, a grupa uderzeniowa w składzie: kapitan Thomas G. Lanphier, porucznik Rex T. Barber, porucznik Besby F. Holmes i porucznik Raymond K. Hines, uformowała się do ataku. Samolot porucznika Holmesa miał problem z odrzuceniem dodatkowych zbiorników paliwa, więc musiał zostać z tyłu wraz z osłaniającą go maszyną Hinesa, a Lanphier i Barber ruszyli na Japończyków sami.

Kapitan Lanphier jako pierwszy wziął na celownik japoński bombowiec, ale został zaatakowany przez jeden z myśliwców osłony (po krótkiej walce go zestrzelił). Barber zauważył, że jego dowódca walczy z pilotem Zera, a jednocześnie dostrzegł lecącą nad dżunglą „Betty”. Trafił bombowca serią ze swej broni pokładowej i szybko zrobił zwrot przed atakującą go eskortą. Kapitan Lanphier po zestrzeleniu Zera ponownie ruszył na bombowiec, nie zważając na zbliżające się do niego kolejne dwa Zera. Serią z działek maszynowych zapalił mu prawy silnik i kiedy uciekał przed pociskami eskorty, zdołał jeszcze zobaczyć, jak „Betty” wybucha i rozbija się w dżungli. Po tym kapitan Lanphier na pełnych obrotach swych silników oderwał się od ścigających go Japończyków i rozpoczął powrót do bazy.

Początkowo Lanphier i Barber myśleli, że zaatakowali dwa różne bombowce. Okazało się jednak, że obaj kolejno strzelali do tego samego samolotu, którym leciał admirał Yamamoto. Bombowiec z admirałem Ugaki zdołał umknąć nad ocean, ale tam został zestrzelony przez porucznika Holmesa, któremu w końcu udało się pozbyć pustych zbiorników i „posłać” do wody dwa myśliwce Zero (jeden na pewno, drugi prawdopodobnie). Z zestrzelonego przez Holmesa samolotu przeżyli: admirał Ugaki, admirał Kitamura i jeden z pilotów – chorąży Kotani. Wszyscy otrzymali pomoc z pobliskiej bazy morskiej Buin. Amerykanie stracili porucznika Hinesa – zestrzeliły go myśliwce eskorty. Kapitan Lanphier po powrocie na Guadalcanal zameldował zestrzelenie bombowca z admirałem Yamamoto, porucznik Barber zestrzelenie dwóch maszyn

„Betty” i jednego myśliwca Zero, a porucznik Holmes jednej „Betty” i trzech maszyn Zero. Po weryfikacji każdemu z pilotów zaliczono po jednym myśliwcu i jednym bombowcu, później uznano jednak, że zestrzelono dwa bombowce, a zniszczenie samolotu admirała Yamamoto przypisano kapitanowi Lanphierowi. Został on awansowany i odznaczony, następnie wraz z resztą pilotów biorących udział w akcji odesłany do Stanów Zjednoczonych. Żaden z nich nie wziął już udziału w walce, ponieważ obawiano się, że po ewentualnym zestrzeleniu ich maszyn przeciwnik mógłby odkryć, że wywiad amerykański złamał jego kody szyfrowe.

Dyskusja, kto trafił samolot z admirałem trwa do dziś. W połowie lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku po sporach między Lanphierem a Barberem obu przypisano to zwycięstwo po połowie. Uznano, że Barber jako pierwszy uszkodził samolot, a Lanphier go „dobił”. Kapitan do śmierci w 1987 roku twierdził jednak, że to on zestrzelił głównodowodzącego marynarki japońskiej, ale po stronie Barbera stanął między innymi dowódca całej akcji, major Mitchell. Nie

wyduje się, by kiedykolwiek udało się jednoznacznie wytypować egzekutora Yamamoto...

Japońscy Marynarze wierzyli, że ich dowódca przeżył zderzenie samolotu z ziemią. Ciężko ranny wydostał się z wraku i popełnił rytualne harakiri

POŚMIERTNE LEGENDY

Szczątki rozbitego samolotu z admirałem Yamamoto znaleźli mieszkańcy z pobliskiej wioski Ako, którzy powiadomili o tym Japończyków. Ciało po przewiezieniu do bazy Buin zidentyfikowali admirał Okuva i najbliższy pomocnik Yamamoto, komandor Watanabe.

Informację o śmierci admirała obie strony długo trzymały w tajemnicy. Oficjalny komunikat o śmierci głównodowodzącego marynarki radio tokijskie

podało dopiero 21 maja 1943 roku: „Admirał Yamamoto, kierując działaniami strategicznymi na linii frontu, znalazł się w ogniu walki z nieprzyjacielem i poniósł bohaterską śmierć na pokładzie samolotu wojkowego”. W tym samym dniu zawinął do portu wojennego w Tokio okręt flagowy „Musashi”, na którego pokładzie przyłynęła urna z prochami admirała. Oficjalny pogrzeb na koszt państwa (co było ewenementem w cesarstwie japońskim) odbył się 5 czerwca 1943 roku.

Yamamoto zanim wszedł do samolotu przed odlotem na Bougainville wręczył admirałowi Kusace dwa zwoje papieru i poprosił o przekazanie ich admirałowi Samejimie. Były na nich wykaligrafowane wiersze cesarza Meidźi. Jeden z nich brzmiał: „Oto pora na mężów/ Urodzonych w kraju wojowników./ Oto na nich już pora./ O nich dowie się świat”. Słowa, które okazały się proroctwem dla admirała Isoroku Yamamoto, pasowały także do... króla Władysława Warneńczyka – przez Amerykanów postawionego za przykład zadania nieprzyjacielowi klęski przez śmierć wodza. Podobnie jak w wypadku króla Polski i Węgier, szybko zaczęły też krążyć legendy na temat ostatnich chwil życia admirała. Marynarze japońscy wierzyli, że ich dowódca przeżył zderzenie samolotu z ziemią, ciężko ranny wydostał się z wraku i popełnił rytualne harakiri. Warto przy tym jednak pamiętać, że admirał Yamamoto do końca trzeźwo oceniał szanse swego kraju w konfrontacji z potęgą Stanów Zjednoczonych. ■

Kapral Czesław Kowalski (z prawej).
W połowie lat 30. XX wieku służył w 34 Pułku
Piechoty, który stacjonował w Białej
Podlaskiej.



{ Czytelnicy „Polski Zbrojnej” przylączyli się
do naszej akcji ratowania od zapomnienia historii
rodzinnych dotyczących tradycji wojskowych.
Do redakcji napływają zdjęcia, dokumenty,
pamiątki.

Jeżeli chcecie podzielić się swoimi pamiątkami z innymi czytelnikami, zachęcamy do przylączenia się
do naszej akcji. Zdjęcia prosimy przysłać na adres polska-zbrojna@zbrojni.pl z tytułem e-maila „Album”.
W wiadomości należy zawrzeć podpis pod ilustrację i zgodę na publikację fotografii.



Wieczór w żołnierskiej
świetlicy 34 Pułku
Piechoty. Zdjęcie
wykonano 25 stycznia
1936 roku.

ANNA DĄBROWSKA

Wsparcie z morza

Morska wyprawa z bronią dla powstańców styczniowych to znakomity temat na scenariusz filmu przygodowego.

Nocą 10 czerwca 1863 roku na Mierzei Kurońskiej, w okolicach portu Kłajpeda, cumuje niewielki żaglowiec. Dowódca wydaje rozkaz do desantu. Kiedy do dwóch szalup wsiada kilkudziesięciu ludzi z ładunkiem broni, na morzu zaczyna szaleć burza. Do łodzi wlewa się woda. Jedna z nich wywraca się i zaczyna tonąć.

UCIECZKA Z LONDYNU

Ta eskapada rozpoczęła się dwa i pół miesiąca wcześniej w Londynie. Jej celem było kupienie w Anglii broni i dostarczenie jej powstańcom styczniowym. Z powodu zamknięcia granicy między Prusami a Królestwem Polskim postanowiono skorzystać z drogi morskiej i dowieźć kilka ton broni do wybrzeży Litwy. Do Londynu udali się przedstawiciele Tymczasowego Rządu Narodowego: Józef Demontowicz i Józef Cwierczakiewicz. Kupili ponad tysiąc karabinów, 750 szabel, dwie setki lanc, trzy armaty, 600 beczek z prochem, mundury i drukarnię polową. Na czele wyprawy stanął pułkownik Teofil Łapiński, oficer legenda. Jako dowódca baterii artylerii w szeregach węgierskich wojsk powstańczych brał udział w Wiośnie Ludów. Sławę przyniosły mu też walki na Kaukazie. Od 1856 roku dowodził tam jako ochotnik polskim oddziałem – przez trzy lata wspomagał Czerkiesów w walce z Rosjanami.

Zwerbowano też około 200 ochotników, którzy chcieli zasilić powstańcze oddziały. Wśród nich, oprócz Polaków, znaleźli się Francuzi, Włosi, Anglicy, Szwajcarzy, Węgrzy i Chorwaci. Powstańcy wynajęli brytyjski szkuner „Ward Jackson” z dodatkowym napędem parowym, którego dowódca, kapitan Robert Weatherley, doskonale znał Bałtyk. Na miejsce lądowania wybrano okolice Kłajpedy.

Niestety przygotowania do wyprawy trwały na tyle długo, że dowiedzieli się o niej rosyjscy agenci. Na żądanie ambasady rosyjskiej Anglicy wysłali na pokład szkunera urzędników celnych. Ci znaleźli w ładowniach, zamiast zadeklarowanego w dokumentach „żelastwa”, broń i amunicję. Na statek nałożono areszt i pozostawiono do jego pilnowania dwóch celników. Pułkownik Łapiński mimo to kazał odcumować i „Ward Jackson” wyszedł w morze rano w niedzielę 22 marca. Celników wysadzono na brzeg w najbliższym porcie. Trzy dni później szkuner zawinął do szwedzkiego portu Helsingborg, gdzie do powstańców dołączył rosyjski rewolucjonista Michał Bakunin.

W Szwecji kapitan Weatherley, dotąd życzliwy wyprawie, całkowicie zmienił nastawienie i robił wszystko, aby ją opóźnić. „Oświadczył, że naraża się na wielkie niebezpieczeństwo ze strony rosyjskich krążowników, z którymi może się spotkać, bo nie wziął wymaganych dokumentów i pod różnymi pozorami zatrzymał nas w Helsingborgu”, opisywał tę sytuację w swoich listach Bakunin. Jak stwierdził, Anglika przekonał do tego odpowiednią sumą pieniędzy rosyjski konsul. „Nie mam żadnych wątpliwości, że zostaliśmy zatrzymani w Helsingborgu na pole-

**EKSPEDYCJA BYŁA
ŚWIETNIE POMYŚLANA,
ALE ŹLE WYKONANA.
ZABRAKŁO DWÓCH
DECYDUJĄCYCH CZYNNIKÓW:
SZYBKOŚCI I TAJNOŚCI**



Kupioną w Anglii broń postanowiono dostarczyć powstańcom styczniowym drogą morską.

cenie władz rosyjskich”, pisał Bakunin. Dopiero po trzech dniach kapitan zgodził się wyprowadzić szkuner na Gotlandię. Po drodze zanieczyścił jednak beczki z pitną wodą i skierował statek do Kopenhagi, gdzie musiał, jak stwierdził, zaopatrzyć się w słodką wodę. Po zawinięciu do portu cała załoga wraz z kapitanem porzuciła jednostkę.

Polacy mieli więc statek, ale bez załogi. Ponieważ obawiali się, że rząd duński mógłby pod presją rosyjską nałożyć na szkuner areszt, wynajęli marynarzy, aby doprowadzili go do najbliższego szwedzkiego portu. Przy ich pomocy 30 marca „Ward Jackson” zakotwiczył w Malmö. Mimo poparcia dla polskiego powstania, władze Szwecji też nie chciały wchodzić w konflikt z Rosją. „Na żądanie Szwedów powstańcy musieli szkuner opuścić. Broń została skonfiskowana, statek zaś zwrócono firmie angielskiej. Załogę zwolniono”, opisywał Michał Bakunin.

Pułkownik Łapiński był jednak uparty. Za resztę środków kupił kolejną partię broni i amunicji oraz mały żaglowiec „Emilie”. By zmylić Rosjan, 4 czerwca część załogi wypłynęła z bronią na statku „Fulton”. W pełnej konspiracji na morzu ochotnicy przesiadli się na „Emilie”, na której ruszyli w stronę Litwy.

TRAGEDIA „EMILIE”

10 czerwca, ponad dwa i pół miesiąca od wyruszenia z Anglii, wyprawa dotarła na miejsce. Żaglowiec zakotwiczył dwie mile od Mierzei Kurońskiej w zaborze pruskim. Desantować się zamierzano niedaleko miejscowości Schwarzhort, około dziesięciu mil na południe od Kłajpedy. Według planu pierwsza grupa powstańców miała wyładować na wybrzeżu i obsadzić przyczółek do czasu przybycia reszty desantu. Potem zadaniem wszystkich było zdobycie podwodów i wyruszenie ku



Powstańcza marynarka

Władze powstania styczniowego powołały do życia siły morskie, które miały walczyć z Rosjanami. Na ich czele stanął komandor podporucznik Władysław Zbyszewski, zbiegły z carskiej floty dowódca rosyjskiej korwety. Pod koniec października 1863 roku dyktator powstania Romuald Traugutt zatwierdził jego projekt organizacji narodowych sił morskich i mianował go kapitanem polskiej marynarki wojennej. Pierwszym przygotowanym do walki okrętem powstańczym był kupiony w Anglii parowiec „Princess” przemianowany na „Kilińskiego”. Pod białą-czerwoną banderą miał zatapiać na Morzu Czarnym flotę rosyjską. W lutym 1864 roku jednostka wyszła z Newcastle z marynarzami na pokładzie, uzbrojonymi w działa, karabiny i białą broń. Niestety, z powodu awarii parowiec musiał zawinąć do Malagi, gdzie pod rosyjskim naciskiem aresztowały go władze hiszpańskie. Kolejny raz polska marynarka powstała dopiero po 44 latach.

granicy z Rosją. Po jej przekroczeniu powstańcy chcieli włączyć się do działań partyzanckich.

Tym razem plany ochotników pokrzyżowała pogoda. Nocą pierwszych 36 powstańców z bronią i wyposażeniem wsiadło do dwóch łodzi. Wtedy rozpętała się burza. „Wiatr zerwał się silny i woda coraz więcej się burzyła. Usiłowania nasze były nadaremne: wiedziałem, że zamiast zbliżyć się do lądu, wiatr coraz silniejszy odpychał nas w morze, bałwany coraz gwałtowniej uderzały o łodzie i napęniały je wodą. Żołnierze wołali, że mają wody po kostki, niedługo, że po kolana. Kazałem wodę wylewać manierkami, ale to niewiele pomogło, bo co trochę wody wyczerpali, to nowy bałwan łódź napęniał”, opisywał we wspomnieniach dowódca wyprawy.

Szalupy nie były najlepszej jakości, a powstańcy nie wiedzieli, jak się zachować w tak trudnych warunkach. W rezultacie większa łódź się wywróciła i jej załoga zaczęła tonąć, a ciemności uniemożliwiały odnalezienie rozbitków. Dwudziestu czterech ochotników utonęło u kresu podróży. Jednocześnie sztorm zepchnął „Emilie” blisko Połagi, obsadzonej przez garnizon rosyjski. Łapiński zdecydował wtedy o przerwaniu akcji i opuszczeniu niebezpiecznych wód. Po kilku dniach statek dobił do szwedzkiej Gotlandii. Powstańcy zostali rozbrojeni i odstawieni do Anglii, gdzie oddział rozwiązano.

Jak pisał Michał Bakunin, ekspedycja była świetnie pomyślana, ale nieprawdopodobnie źle wykonana. „Powodzenie jej zależało od dwóch warunków: szybkości i tajności. Tymczasem zwlekano w sposób niedopuszczalny i uczyniono z niej publiczną tajemnicę”, uważał. Jak dodawał, ważny był też dobry i śmiały kapitan. „Wybrano jednak powszechnie znanego tchórze i nieponia, który zdradził nas świadomie”. ■

ANNA DĄBROWSKA

Prawa ręka

Ordynans osobisty jest konieczny nie ze względu na wygodę oficera, ale dobro służby.

Toczące się obrady nad zniesieniem ordynansów osobistych, czyli żołnierzy do pomocy, zaniepokoiły oficerów”, stwierdzała „Polska Zbrojna” 17 lutego 1924 roku. Jak pisano, po pozbawieniu ostatnio oficerów różnych udogodnień, przydzielenie ordynansów było jedynym beneficjum, z jakiego mogli oni korzystać.

PAN KAPITAN SPRZĄTA

Jak podawał dziennik, zamiast ordynansów oficerowie mieli otrzymywać dodatek pieniężny na zatrudnienie służącego. „Przypuśćmy, że za tę kwotę uda się wynająć służącego i że będzie to człowiek sumienny, uczciwy i szybko przyzwyczai się do charakteru wojskowego pracy. Dzięki temu w czasie ćwiczeń bojowych czy nocnego alarmu wstanie na czas i spełni swoje obowiąz-

ki”, rozpatrywał porucznik Władysław Meresz, oficer Sztabu Generalnego.

Pojawia się jednak problem, gdzie zakwaterować służącego. Jeśli przypadek zrządzi, że będzie on mieszkał w pobliżu budynku oficerskiego, stawi się na każde zawołanie. „W innym wypadku, przy nowych normach mieszkaniowych, mając

jeden lub dwa pokoje bez kuchni, o umieszczeniu służącego oficer nawet nie może marzyć i co w takim wypadku pomoże przyznany ekwiwalent?”, pytał porucznik na łamach gazety.

Inny z czytelników, kapitan Zygmunt Haras, zastanawiał się, jak długo oficer będzie mógł korzystać z usług znalezio-



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

MPITAV AL

Miłośniczka charlestona

Młodzi tancerze urazili honor kapitana, który wyzwał ich na pojedynek.

Dla młodej małżonki kapitana Piotra Krzysztynowicza, pani Zofii, najmodniejszy szlagier sezonu, czyli taniec charleston, stał się obsesją. Postanowiła koniecznie nauczyć się go w karnawale 1935 roku.

Niestety nie mogła liczyć na swojego męża, który z serca nienawidził tańców. Pani Zofia nawiązała więc kontakt z Wojciechem Piotrowskim, uczniem ósmej klasy warszawskiej szkoły, znanym ze swoich umiejętności tanecz-

nych. Lekcje odbywały się w jego mieszkaniu przy ulicy Żelaznej. Uczestniczył w nich też Leopold Marecki, student Wyższej Szkoły Handlowej, który podczas tańca wyśpiewywał szlagiery.

Życzliwi szybko donieśli małżonkowi o tych spotkaniach, przedstawiając je jako zaczątek zdrady. Niedługo potem kapitan niespodziewanie odwiedził zaimprovizowaną salę tańca i zastał w płasach całą trójkę wielbicieli charlestona. Pani Zofia na widok męża zaczęła się gęsto tłumaczyć, ale młodzi ludzie zachowywali się wyzywająco. W czasie rozmowy urazili honor kapitana, wyśmiewając się z braku jego

nego z trudem chłopca do pomocy. „Często wyjeżdżamy na różne kursy, czasem na drugi koniec Rzeczypospolitej. Nie od razu znajdzie się tam wiernego sługę. Więc jakiś czas kapitan czy major sam będzie biegał z dzbankiem po mleko, a w chwilach wolnych sprzątał w pokoju”, stwierdzał. Gdy oficer znajdzie już kandydata i zaznajomi go z charakterem zajęć, a odkomenderowanie się skończy, służącego trzeba będzie oddalić i w nowym miejscu wszystko zacząć od początku. Czytelnik pytał, ile cennego czasu oficer straci na zabieganie o zapewnienie sobie takiej usługi i czy będzie mógł zastosować w życiu artykuł 48 pragmatyki oficerskiej: „Bez troski o byt codzienny pełnić sumiennie obowiązki swojego zawodu wyłącznie mu się poświęcając”.

SZPIEG W SZEREGACH

Inną kwestię podniósł jeden z dziennikarzy. „Osobisty służący oficera musi być zaopatrzony w odpowiednie przepustki i upoważnienia wstępu do kancelarii czy oddziałów. Cywil w ten sposób będzie miał dostęp do środowiska wojskowego, dowie się o rzeczach, które powinny pozostać dlań tajemnicą”, pisał. Zastanawiał się przy tym, czy dobrze będzie wpuszczać obcy element do wojska. „Pomiędzy obsługującymi znalazłby się niejeden szpieg, który mógłby bezkarnie plądrować w mieszkaniu w czasie nieobecności oficera”, ostrzegał.

Zdaniem żony jednego z oficerów, Jadwigi Kasymowicz-Raczyńskiej, na nowych przepisach najbardziej ucierpią kawalerowie. „Muszą oni mieć, tak jak

żonaci, posprzątać pokój, napalone w piecu i wodę do mycia. Z chwilą zabrania ordynansów musiałby oficer sam robić to wszystko, co jest wykluczone ze względu na jego autorytet, lub zatrudnić chłopca do pomocy. Materialnie nie będzie mógł sobie jednak pozwolić na ten zbytek”, argumentowała.

Przyznawała przy tym, że faktycznie szkoda dziesięciu tysięcy ludzi na ordynansów. „Czyż nie dałoby się pogodzić jednego z drugim? Każdy oficer chętnie urządził tak, aby ordynans mógł poświęcić kilka godzin dziennie służbie, pozatem oficer i jego żona poczytują sobie za miły obowiązek pogawędzić w wolnym czasie z ordynansem, dzięki czemu na polu uświadczenia narodowego stoi on o wiele wyżej od wielu żołnierzy”, stwierdziła pani Jadwiga.

Podobnego zdania był porucznik Meresz. Proponował, aby do osobistych usług oficera wyznaczać ordynansów, którzy będą zaufanym łącznikiem między oddziałem a oficerem. „Ordynansi biorą też udział w strzelaniach ostrych i większych ćwiczeniach bojowych”, pisał porucznik. Jak podkreślał, dzięki takiemu rozwiązaniu ordynans nie traci na gotowości bojowej, nie niańczy też dzieci, gdyż jest do świadczenia usług oficerowi jako wojskowemu, a nie jego rodzinie.

„Ordynans jest jednak koniecznością, aby nie ułatwiać czynnikom niepowołanym wglądu w tajemnice wojskowe, nie zaprzętać głowy oficera troskami o sprawy życia codziennego, gdyż nawet czas poza służbą muszą oni poświęcać sprawom swojego zawodu”, podsumowywał kapitan Haras.

umiejętności tanecznych i muzycznych. Dotknięty mąż wyzwał tancerzy na pojedynki, który miał się odbyć w jednym z ogrodów miejskich o świcie 7 lutego. Gdy dowiedzieli się o tym rodzice młodzieńców, zawiadomili policję. Ta zaś nie dopuściła do walki.

Załamany, urażony na honorze i pewny zdrady żony oficer postanowił zakończyć życie. U znajomego aptekarza potajemnie kupił cyjanek potasu, jak sądził. Następnego dnia w kawiarni Lublinianka na ulicy Marszałkowskiej jeden z stolików zajął mężczyzna w sile wieku. Zwrócił na siebie uwagę obsługi, bo mimo mrozu

przyszedł bez palta i zdradzał silne zdenerwowanie. Po przejrzeniu kilku dzienników i wypiciu szklanki herbaty wyjął skrawek papieru, na którym coś napisał, a po chwili osunął się na podłogę. Na pozostawionej na stoliku kartce przeczytano, że powodem targnięcia się na życie jest jego zraniony honor oraz zdrada żony.

Wezwany lekarz stwierdził jednak tylko zatrucie mocnymi proszkami nasennymi, które zamiast trucizny sprzedał nieszczerstemu oficerowi aptekarz. Kapitan trafił do szpitala, a pierwszą osobą, którą zobaczył przy swoim łóżku, była skruszona żona.



PORUCZNIK ZYGMUNT ROSZKOWSKI, OFICER 5 PUŁKU STRZELCÓW KONNYCH W PRZEMYSŁU:

Postulat apolityczności armii wypływa z istoty jej istnienia jako czynnika warunkującego niepodległość i wolność państwa oraz znajdującego jedno prawo i jeden obowiązek, czyli karną służbę dla narodu i państwa. Zdiscyplinowana armia posiadająca wysoki stopień wykształcenia i wybitne uświadczenie narodowe zawsze potrafi zapewnić swojej ojczyźnie należne jej miejsce wśród wielkich mocarstw Europy.

Głoszenia retro:

ZEGARKI, ZEGARY ścienne
PLATERY gwarantowane,
HERBY POLSKIE oraz wszelką
BIŻUTERIĘ poleca
NA DŁUGOTERMIŃOWE RATY
MAGAZYN ZEGARM. JUBILERSKI
B. Gutgold,
Warszawa, **Krucza 26-a** (róg Żórawiej)
Tel. **34 508-92.** 79 Tel. **34 508-92**

WSZYSCY wiedzieć powinni, że najtańsze naby
sprzet elektrotechniczny i zamienić
STARE ŻARÓWKI tylko w znanej firmie
elektrotechnicznej:
L. Bartnik i S-ka
Krak. - **Przedmieście 60, Tel. 297-88**
Telefoniczne zlecenia załatwiamy natychmiast.

TLUSTY CZWARTEK
W RESTAURACJI I KAWIARNI
„GASTRONOMJA”
NOWY ŚWIAT Nr. 16
NIESPODZIANKI OCZEKUJĄ NASZYCH SZ. GOŚCII!!!

ROBERT CZULDA

Olbrzymi **Mi-6** to symbol potęgi Związku Sowieckiego. Mimo upływu lat ta niezwykła konstrukcja nadal budzi podziw.

KOŁOSAL

Początków Mi-6 należy szukać w 1954 roku, kiedy biuro konstrukcyjne Michaiła Miła przystąpiło do prac nad ciężkim śmigłowcem transportowo-desantowym. Zaledwie trzy lata później prototyp największego wówczas śmigłowca w historii był gotowy. Maszyna bez większych problemów wzbiła się w niebo, od razu ustanawiając rekord – w ciągu zaledwie 11 minut osiągnęła pułap 2432 metrów z ładunkiem 12 ton. Łącznie Mi-6 ma na swoim koncie kilkanaście rekordów. W 1964 roku na przykład leciał z prędkością aż 340 kilometrów na godzinę. Wynik jest tym bardziej niezwykły, gdy zwróci się uwagę na dane techniczne maszyny: długość śmigłowca z obracającym się wirnikiem i śmigłem ogonowym to 41,74 metra, wysokość – 9,15 metra, a rozpiętość skrzydeł – 15,3 metra. W wersji transportowej startowa masa własna

tego kolosa wynosi 28 ton, a z ładunkiem w luku – aż 40,5 tony, niewiele mniej niż waży czołg T-72. Dla porównania – Mi-24, nazywany latającym czołgiem, ma zaledwie 5,47 metra wysokości, 21,35 metra długości i waży tylko 8,5 tony. Przy takich parametrach pilotowanie Mi-6 było niezwykle trudne. Dotyczyło to zwłaszcza startów i lądowań, gdy rezonans sprawiał, że pobyt na pokładzie śmigłowca nie należał do przyjemności.

DO ZADAŃ SPECJALNYCH

Sowiecka władza chętnie prezentowała przedmiot swojej dumy. Gigantyczny śmigłowiec Rosjanie wysłali kilka razy do Francji, gdzie pokazywali, jak dobrze ta maszyna radzi sobie z gaszeniem pożarów i transportem dużych ładunków. Międzynarodowy debiut Mi-6 nastąpił w 1965 roku,



W LATACH SIEDEMDZIESIĄTYCH
TRAFIŁY DO NAS TRZY MI-6.

NA DUMA

czyli siedem lat po prezentacji w Związku Sowieckim. Polacy pierwszy raz mogli zobaczyć ten niezwykle śmigłowiec w maju 1967 roku, kiedy przyleciał nad Wisłę w drodze na paryski salon lotniczy.

Mi-6, oznaczony przez NATO jako Hook (hak), z powodzeniem był wykorzystywany do wielu operacji niemilitarnych. Związek Sowiecki, a także inne państwa (Białoruś, Bułgaria, Egipt, Etiopia, Indie, Indonezja, Pakistan, Syria, Wietnam, Peru), które później kupiły ten śmigłowiec, używały go do transportu dużych urządzeń, pomników, samolotów czy stawiania kominów lub linii wysokiego napięcia. Mi-6 wykorzystano na przykład przy budowie Kolei Bajkalsko-Amurskiej.

Do 1981 roku zbudowano 860 egzemplarzy tych maszyn w kilkunastu wersjach. Najpopularniejsza była transporto-

wa. W tej konfiguracji Mi-6 mógł przewieźć do 12 ton ładunku w luku o długości 12 metrów i szerokości niemal trzech metrów. Ładownię przystosowano do przewozu samochodów, w tym ciężarowych, oraz dowolnego sprzętu wojskowego o nacisku do dwóch ton na metr kwadratowy. Pozwalało to transportować nawet tak duże pojazdy, jak samobieżne haubice ASU-57 czy ASU-85. Mi-6 przewożono nawet samobieżne wyrzutnie rakiet balistycznych z głowicami jądrowymi 9K32 Łuna M. Gdy ładunek był za duży (śmigłowce lub samoloty, takie jak MiG-15, MiG-17 czy MiG-21), można go było podwiesić na zewnątrz.

Śmigłowiec Mi-6 był też w wersjach: pasażerskiej (standardowo mieścił do 65 osób, a w konstrukcji specjalnej aż 80!), przeciwpożarowej (12 ton wody zrzucił w 16 sekund), sanitarnej (41 noszy) i wielu innych, w tym testowych (na



Za pomocą Mi-6 przeniesiono pomnik Władysława Jagiełły z Gliwic do Krakowa.



WIELE PODZESPOŁÓW MI-6 WYKORZYSTANO DO BUDOWY MI-12, NAJWIĘKSZEGO ŚMIGŁOWCA W HISTORII, JAKI WZBIŁ SIĘ W POWIETRZE

przykład jako śmigłowiec zwalczania okrętów podwodnych). Najpopularniejszy był wariant dźwigowy. W tej konfiguracji Mi-6 mógł przewozić na zaczepie do dziewięciu ton ładunku. Konstrukcja śmigłowca, to znaczy kadłub, napęd, wirnik nośny, śmigło ogonowe oraz instalacja pokładowa, posłużyła do stworzenia wyspecjalizowanej wersji, czyli śmigłowca dźwigu, oznaczonego jako Mi-10. Pierwszy model oblatano w 1960 roku. W ciągu kolejnych kilku lat Mi-10 pobił serię rekordów pułapu i masy – w maju 1965 roku uniósł na 2,8 tysiąca metrów ładunek o masie 25 ton.

Mi-6 cieszył się dużą popularnością na przykład w Iraku, gdzie był wykorzystywany, aż do drugiej wojny w rejonie Zatoki Perskiej (2003 rok). Wówczas głównym użytkownikiem tej maszyny stała się Syria. Co ciekawe, Mi-6 służył jej nie tylko jako śmigłowiec transportowy, lecz także... szturmowy. Syryjczycy wyposażyli tę maszynę w ciężkie karabiny maszynowe oraz niekierowane wyrzutnie pocisków raketowych.

Mi-6 w zasadzie nie są już używane (w Rosji zrezygnowano z tej maszyny po katastrofie w 2002 roku). Pojedyncze egzemplarze można znaleźć w siłach zbrojnych Chin oraz Indii lub na Syberii, gdzie przez wiele lat te śmigłowce dostarczały zaopatrzenie odległym i niedostępnym drogą lądową skupiskom ludności. Pewnego rodzaju sukcesorem tej maszyny został zaprojektowany pod koniec lat siedemdziesiątych XX wieku Mi-26.

HAKI NAD WISŁĄ

Zalety Mi-6 doceniono także w Polsce. W latach siedemdziesiątych trafiły do nas trzy takie śmigłowce. Dwie firmy cywilne – Elbud i Instal – wykorzystywały je do stawiania słupów energetycznych elektrowni Porąbka Żar, tuneli wentylacyjnych na dachu FSO czy anten telewizyjnych w Poznaniu. Za pomocą Mi-6 przeniesiono również pomnik Władysława Jagiełły z Gliwic do Krakowa oraz samolot pasażersko-transportowy Il-14, przeznaczony dla Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie.

Trzy Mi-6, sprowadzone do Polski w 1986 roku, trafiły do 37 Pułku Śmigłowców Transportowych w Leżnicy Wielkiej, gdzie służyły przez cztery lata. Dwie maszyny sprzedano później Ukrainie, a jedna trafiła do prywatnej ekspozycji Jerzego Lewandowskiego w Łodzi. Planowano zrobić w niej kawiarnię lub kino, przybliżające widzom historię polskiego lotnictwa. Z tych planów jednak nic nie wyszło – kolekcjoner zmarł, a Mi-6 popadł w ruinę. Pod koniec 2013 roku łódzianie zgłosili projekt renowacji śmigłowca za środki z kasy miejskiej. Ostatecznie ich propozycja nie została przyjęta. Nie brakuje jednak optymistów, którzy liczą na to, że łódzki Mi-6, czyli ostatni w Polsce, stanie się dumą Laboratorium Transportu. To interaktywne muzeum, łączące transport autobusowy, szynowy i lotniczy, miałoby powstać w Łodzi dzięki funduszom europejskim na lata 2014–2020. Mi-6 byłby wówczas jedną z jego największych atrakcji. ■



WŁODZIMIERZ
KALETA

Córka młynarza

SPOŚRÓD ŻOŁNIERZY
ZASADNICZEJ SŁUŻBY
WOJSKOWEJ
W KARNAWALE
BAWILI SIĘ JEDYNI
WYBRAŃCY

W armii z poboru nikt raczej nie myślał o karnawałowych szaleństwach. Dowódcy dbali o to, żeby świąteczne nicnierobienie nie przewracało żołnierzom w głowach i zaraz po Nowym Roku wysyłali ich na miesięczny poligon. Zabawy nie były zatem pisane poborowym. Zdarzały się jednak wyjątki. W karnawale często organizowano bale w szkołach. W niektórych uczyły się niemal same dziewczyny, a co to za tańce bez chłopaków? Dowódcy jednostek z reguły czynili zadość dyrektorskim prośbom i wysyłali na tańce odpowiednio liczne ekipy żołnierzy.

Zenek Pawłoszczak na początku lat siedemdziesiątych służył w Elblągu. Był elemem w szkole podoficerskiej. Koledzy mówili o nim, że taki przystojniak zawsze będzie miał branie u płci pięknej. Podczas zabawy w miejscowym studium nauczycielskim poznał Grażynę, córkę młynarza spod elbląskiej miejscowości. Po kilku spotkaniach wyraźnie dawała Zenkowi do zrozumienia, że powiedzenie „za mundurem panny sznurem” nie jest bez sensu. Dla wielu dziewczyn młody mężczyzna, który nie zaliczył wojska, to żaden kandydat na męża. Co innego żołnierz. Służba nobilitowała mężczyznę.

Po dwóch miesiącach randek Pawłoszczak powiedział nareszcie swojej sympatii, że wiosną kończy służbę i gdyby dziewczyna widziała go przy swoim boku, to on chętnie zostałby jej mężem. Ta zaś bardzo się ucieszyła i nawet zaprosiła Zenka do swojego rodzinnego domu. Grażyna miała siostrę, więc chłopak postanowił zabrać ze sobą kolegę. Kiedy młodzi żołnierze maszerowali do młyna, śpiewali piosenkę nomen omen o czterech córach młynarza ze Zgierza. Każda z nich była piękna i bogata, każda chciała za męża żołnierza. Ta melodia zresztą teraz jest hejnałem Zgierza.

Przyjęcie u przyszłych teściów na początku było dość sztywne. Chłodna atmosfera ocieplała się jednak wraz opróżnianiem kolejnej buteleczki nalewki własnej roboty. Kiedy żołnierzom całkowicie przeszła trema, gospodarz stwierdził, że zrobiło się późno i czas spać, bo rano trzeba iść do kościoła.

Młynarz zaprowadził wojaków do jednego z pokojów, życzył dobrej nocy i zniknął. Goście wierzili się przez pewien czas w swoich łózkach, a Zenek zaczął narzekać, że coś go uwiera. Postanowił sprawdzić, co jest nie tak. Zdjął pościel, podniósł materac, a tam, na stelażu, ułożone jedna obok drugiej, leżały butelki z nalewką gospodarza. Po tym odkryciu żołnierze postanowili skosztować po kieliszeczku. Wyprawa po szkło do kuchni mogłaby wydać się jednak podejrzana. Przeszukali więc pokój i na jednej z półek znaleźli bańki, którymi leczy się przeziębienie. Takie naczynko ma jednak pewną wadę – pełnego nie da się postawić na stole. Nic zatem dziwnego, że następnego dnia żołnierze nie poszli do kościoła. Wstali dopiero na obiad. Młynarz z kamienną twarzą częstował gości jedzeniem, a na stole postawił, a jakże, nalewkę. Nikt nawet nie wspomniął o butelkach, które znikły spod materaca. Jakby nic się nie stało. Tylko kolejnej nocy łóżko Pawłoszczaka było miękkie, nic już nie uwierało.

Kiedy żołnierze wracali do jednostki, umówili się z dziewczynami na kolejne spotkanie. Na próżno jednak czekali. „A ja naprawdę poważnie myślałem o córce młynarza”, wzdycha do dziś Pawłoszczak, gdy słyszy hejnał Zgierza. ■



PODPULKOWNIK W STANIE SPOCZYNKU
WŁODZIMIERZ KALETA SŁUŻYŁ
W 7 ŁUŻYCKIEJ DYWIZJI DESANTOWEJ.

horyzonty

| OBLICZA WOJNY |

ODCIEŃIE SZAROŚCI

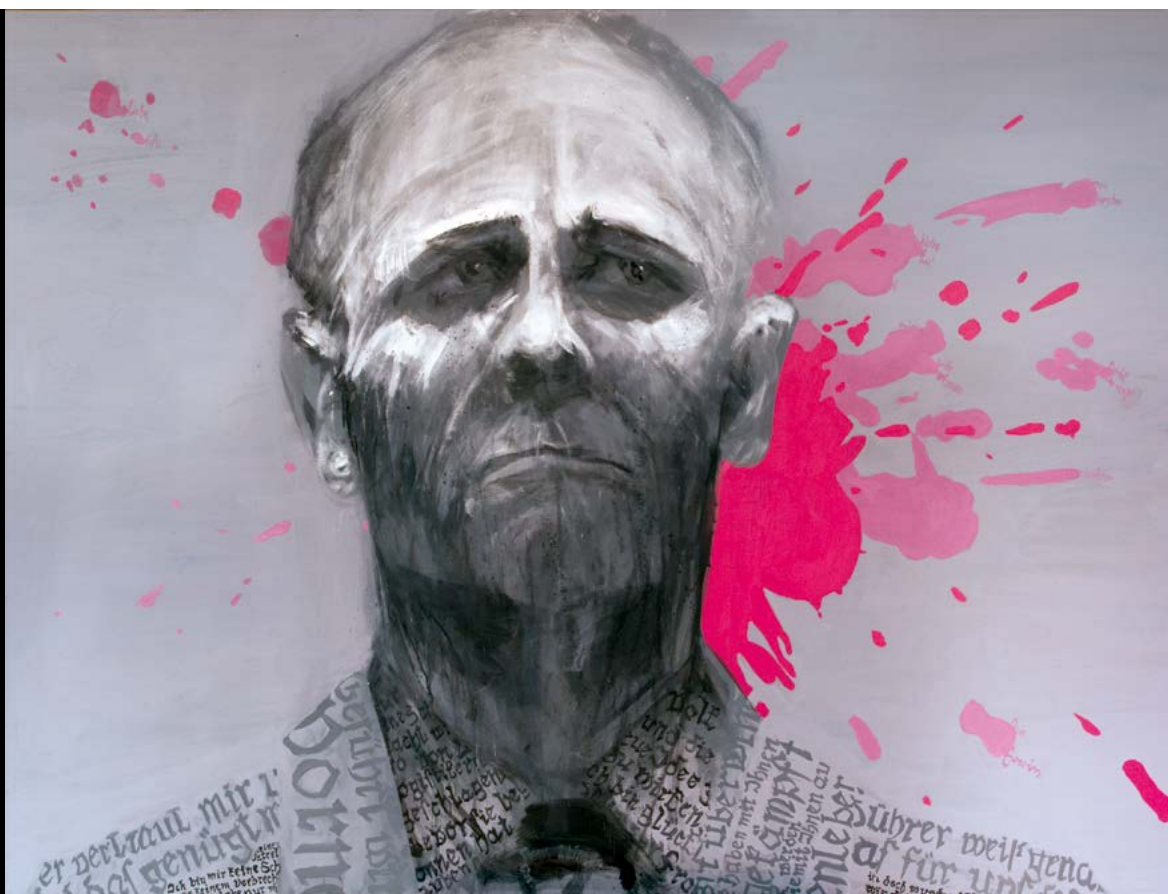
Z Agnieszką Pakułą o różnych obliczach historii, okaleczonych ludziach i ranach, których nie widać rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.

ARCHIWUM A. PAKUŁY



**ZAWSZE
STARAM SIĘ
ZNALEŹĆ
RÓWNOWAGĘ
MIĘDZY
FORMĄ
A TREŚCIĄ**

„Erwin Rommel”,
akryl na płótnie



→ ODCIENIE SZAROŚCI

W Pani pracach często pojawia się temat wojny. Skąd u młodej osoby takie zainteresowania?

Żyjemy w stosunkowo bezpiecznej epoce. Od ostatniej wojny upłynęło kilkadziesiąt lat. Interesuje mnie ekstremalność tamtej sytuacji. Szukam odpowiedzi na pytanie: jak ja bym się wówczas zachowała? W dzieciństwie słuchałam opowieści dziadka o wojnie oraz nagrań z powstańczymi piosenkami. To był ostry podział: Polacy i Niemcy, dobro i zło, czarne i białe. Potem, gdy w swojej twórczości zaczęłam się skupiać na człowieku i jego psychice, ten podział przestał być taki klarowny, bo historia ma różne oblicza.

Na przykład niemieckiego feldmarszałka Erwina Rommela pokazała Pani jako człowieka rozdartego między dobrem a złem – na jego mundurze zapisała Pani jego wojskowe wypowiedzi, a w tle umieściła fragmenty czułych listów do żony.

Generał Rommel fascynuje mnie jako postać. Z jednej strony był karierowiczem, który bratał się z nazistowskim reżimem, a z drugiej – przez długi okres symbolem tak zwanego rycerskiego Wehrmachtu, formacji, której nie przypisywano takich zbrodni jak SS. Był dowódcą oddanym nie tylko Füh-

rerowi, lecz także swoim żołnierzom. Świetnym strategiem i jednocześnie kochającym mężem i ojcem.

Należał jednak do narodu sprawców. Czy przedstawiając go w taki sposób nie rozgrzesza Pani zbrodni?

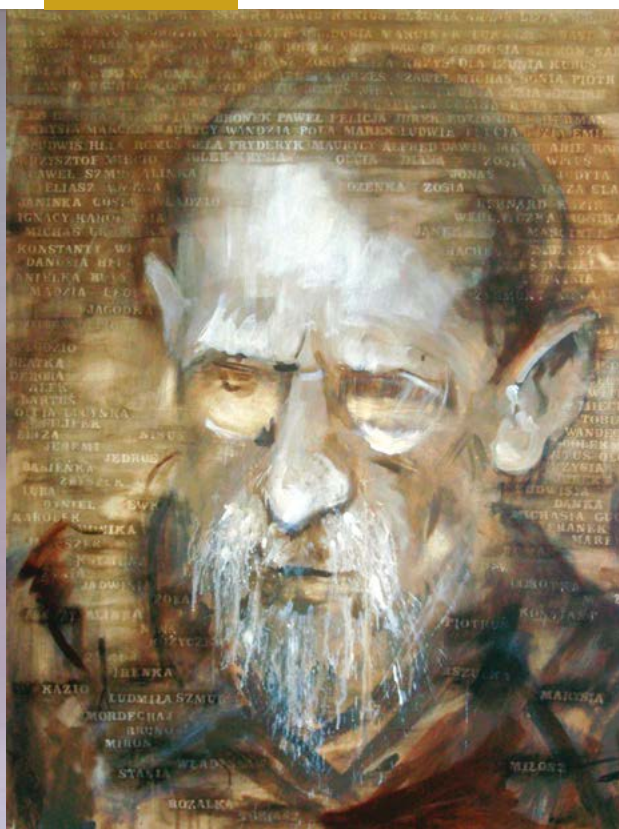
Nie oceniam. Na Rommla patrzę jak na człowieka i zastanawiam się, jakie kierowały nim motywacje. Staram się nie wartościować „dobry” czy „zły”, lecz pokazać człowieka. Im bardziej zagłębiałam się w jego historię, tym bardziej wydawała mi się interesująca i pełna sprzeczności. Sposobem przedstawienia Rommla chciałam zaintrygować widzów, skłonić ich do refleksji, aby spojrzeli na obraz nie jednorozowo.

Nie czarne ani białe, lecz..

...dużo odcieni szarości.

Z naszą narodową wizją wojenną bardziej współgra obraz pokazujący Janusza Korczaka.

Na moim obrazie postać Korczaka jest pokryta dziecięcymi imionami. Symbolizują one jego oddanie podopiecznym oraz zaangażowanie w walkę o prawa dziecka. Obraz powstał, gdy zostałam zaproszona na wystawę z okazji roku



Powyżej: „02101940” – Janusz Korczak tryptyk”, akryl na płótnie, obok: „Analgesia” z cyklu „Shell shock”, akryl na płótnie



korczakowskiego – „Artysto, przytul dzieciaka”. Namalowałam tryptyk: portret Korczaka, żydowskiego chłopca i niemieckiego żołnierza z fragmentami obwieszczeń. Każda część tryptyku była więc inspirowana inną stroną konfliktu II wojny światowej.

Z wojną jest związany także cykl „Alte Kameraden”, pokazujący zniszczone twarze weteranów.

Pokazuję ludzi fizycznie okaleczonych przez wojnę. Bezpośrednią inspiracją były zdjęcia i materiały filmowe z czasów I i II wojny światowej. W internecie trafiłam na szokującą dokumentację z archiwum medycznego z początku XX wieku. Na jednym zdjęciu było na przykład widać elegancko ubranego pana w smokingu, który nie miał połowy twarzy. Ten kontrast mnie zainspirował. Inne fotografie pokazywały poszczególne stadia gojenia się ran czy próby rekonstrukcji – robiono odlew zniekształconej twarzy i na nim budowano na przykład szczękę, nos czy kawałek policzka. Te elementy później „trzymały się” na okaleczonym dzięki zamocowaniu ich na okularach czy gumce. Oglądałam zdjęcia ludzi bez twarzy i potem z protezą twarzy. Obrazy te kontrastują mocno z dzisiejszym kanonem piękna. Przeniesienie się ze współczesnego świata estetycznych billboardów w świat kalekich ofiar wojny byłoby szokiem dla każdego współczesnego Polaka. Malowanie było dla mnie osławianiem się z brzydotą. Zastanawiałam się, jak czułby się współczesny człowiek tracąc – dosłownie – twarz? Ona jest przecież najbardziej integralną częścią każdego z nas, z którą się bezpośrednio identyfikujemy. Moja twarz to ja.

Temat wojennych okaleczeń kontynuowała Pani w pracach cyklu „Shell shock”. Terminem tym po I wojnie światowej nazywano psychiczne schorzenia wywołane udziałem w bitwie.

W serii „Shell shock” skupiam się na okaleczeniach psychicznych. To bardziej „subtelne” rany, niewidoczne na pierwszy rzut oka. Znalazłam wiele zdjęć żołnierzy, na których twarzach odmalowywała się kompletna pustka, brak jakichkolwiek emocji. Amerykanie nazwali ten stan „thousand-yard stare”. Ludzie ci wyglądali, jakby byli pozbawieni duszy wskutek grozy, którą przeżyli. Termin „thousand-yard stare” pochodzi z czasów II wojny światowej. Magazyn „Life” opublikował wówczas obraz autorstwa Thomasa Lea – portret żołnierza walczącego w bitwie o Pelieliu. Żołnierz ten miał właśnie ów charakterystyczny wyraz twarzy. Od tamtej pory nazwa ta zaczęła funkcjonować w języku potocznym jako określenie tego stanu u innych weteranów. Przy okazji widać, w jaki sposób wojna może przetrwać się ze sztuką.

Taki stan pustki i rany, których nie widać, trudniej namalować.

Spektrum objawów shell shock [dziś: zespół stresu pourazowego] było szerokie: od czasowej utraty słuchu czy wzroku po zeszytywnienie stawów, czasowy paraliż, depresję czy bezsenność. W internecie oglądałam filmy z okresu I wojny światowej pokazujące, jak silny mógł być szok: dwóch zdrowych mężczyzn nie zdołało zgiąć ręki trzeciemu, który zapadł na shell shock.





Na obrazach widać, że wojna, nawet po zakończeniu działań, nadal rozgrywa się w głowach weteranów.

Nie mają fizycznych obrażeń, ale w oczach mają ciężar, z jakim przyszło im się zmierzyć. Po powrocie do domu nie potrafią odnaleźć się w normalnym świecie. Chcą wracać do swoich towarzyszy.

Proszę opowiedzieć o obrazie „Shell shock Analgesia”.

Przedstawia zamgloną twarz weterana, wspominającego przeszłość, choć jest ona niewyraźna. Widzimy litery i symbole – to międzynarodowe oznaczenia zaburzeń dysocjacyjnych. Jednym z nich jest analgesia. Oznacza brak wrażliwości na ból. Pod wpływem stresu można nie odczuwać bólu. To inny rodzaj cierpienia niż ten, który był udziałem żołnierzy mających thousand-yard stare.

Dlaczego twarz weterana jest przekreślona?

Może to symbol skreślenia tego człowieka? A może chce on wykreślić z głowy wspomnienia z wojny? Podobne linie malowano także na czołgach i samolotach – mówiły o liczbie zestrzelonych przeciwników. Nie chcę narzucać interpretacji. Każdy odbiorca ma prawo postrzegać ten obraz inaczej.

Po II wojnie światowej termin „shell shock” zastąpiło określenie „combat stress reaction”. Czy interesowała się Pani współczesnymi weteranami, którzy po misjach w Iraku i Afganistanie zapadają na zespół stresu pourazowego?

Oglądałam ich zdjęcia. Nie dostrzegłam różnic: twarze weteranów z 1944 roku wyglądają tak, jak te współczesne. Widać, że cierpią podobnie. Żołnierze, którzy walczyli w Iraku, mają takie same puste oczy, jak ci z Wietnamu czy spod Stalingradu.

Czy przekaz Pani obrazów nie jest zbyt pesymistyczny? Rany się goją...

Często spotykam się z podobną opinią: „Pani prace są smutne i straszne”. Uważam, że są pełne nadziei. Dla mnie najważniejsze jest człowieczeństwo, a ono nie się ze sobą nadzieję. Chcę poruszyć odbiorcę. Okaleczeni weterani musieli funkcjonować w społeczeństwie. To wielkie bohaterstwo żyć bez twarzy. Może to nawet trudniejsze niż sama walka. Ktoś stracił twarz, ale nadal żyje. To staram się pokazać w swoich pracach.

WIZYTÓWKA

AGNIESZKA PAKUŁA

Mieszka i pracuje w Warszawie. Jest absolwentką wydziału malarstwa Europejskiej Akademii Sztuk w Warszawie, a także finalistką II Międzynarodowego Konkursu „Akt” w Łodzi, konkursu „Warszawa 1939” oraz II Triennale Malarskiego „Animalis” w Chorzowie. Na koncie ma wystawy między innymi w Warszawie, Wielkiej Brytanii i Irlandii. Zajmuje się również ilustracją i komiksem (publikacja w antologii komiksu Muzeum Powstania Warszawskiego „Panny morowe”) oraz projektowaniem graficznym.



Obrazy z cyklu „Alte Kameraden” pokazują zniszczone twarze weteranów.

Żołnierze, którzy walczyli w Iraku, mają takie same puste oczy, jak ci z Wietnamu czy spod Stalingradu

Gdy patrzę na Pani obrazy, mam wrażenie, że mówią nam: „w każdym drzewie bestia”.

Jest jasna i mroczna strona moich prac. Ja poruszam tę ciemną, bo z jasną lepiej sobie radzimy – umiemy celebrować radość. Od ciemnej staramy się odcinać i udawać, że nie istnieje. Moim zdaniem trzeba mieć jej świadomość i umieć się z nią obchodzić, bo inaczej bestia na pewno dojdzie do głosu.

Maluje Pani silne, ekspresyjne obrazy, kontrastujące ze współczesnym kanonem piękna i pozostające w opozycji do wygładzonych obrazów w reklamie i w mediach.

Wcześniej pracowałam w reklamie, więc wiem, jakie cuda może zdziałać Photoshop. Teraz szukam prawdziwych emocji.

Jakie techniki Pani stosuje?

Maluję akrylem na płótnie. Przy typografii kaligrafuję litery ręcznie lub korzystam z gotowych szablonów, którymi posługiwałam się na przykład przy tryptyku o Korczaku.

Czy cytaty z literatury lub wypowiedzi portretowanych osób mają nadać obrazom szerszy kontekst i wzmocnić przesłanie?

Na zastosowanie literackiego wpadłam po pracy w reklamie. Wcześniej nie zajmowałam się grafiką. Pierwszym cytatem, jaki wplotłam w obraz, były słowa Charlesa Bukowskiego. Mówił o tym, że niektórym ludziom w życiu nigdy nie odbija i to musi być strasznie smutne życie. Czasem cytaty były humorystyczne, kiedy indziej miały skłonić do refleksji. Na jednym z obrazów dodałam międzynarodowe symbole chorób medycznych, na innym wymieniam kalibry dział artyler-

ryjskich z różnych epok. Zawsze staram się znaleźć równowagę między formą a treścią.

Nad czym Pani obecnie pracuje?

Jestem na etapie przemyśleń. Maluję szybko, ale długi jest proces opracowania koncepcji. Pozostają jeszcze pod wrażeniem polsko-niemieckiej wystawy „Interferencje”, którą zorganizowałam razem z Agatą Czeremuszkin-Chrut. Miałam okazję zobaczyć, jak pracują inni artyści, którzy bardziej skupiają się na formie i materiale.

Nie opowiadają historii?

Jak najbardziej, ale w innej formie. Na przykład niemiecka artystka, z którą pracowałam podczas wystawy „Interferencje”, Edith Kollath, wykorzystuje w swoich pracach różne materiały, m.in. papier, tworzy instalacje, np. „Oddychające książki”. Jej prace zainspirowały mnie swoim pięknem i brakiem dosłowności.

Forma musi być ciekawa, aby przyciągnęła odbiorcę.

Owszem, tylko wtedy odbiorca zechce zgłębić przekaz twórcy. Bardzo ważna jest dla mnie praca z innymi artystami, możliwość wymiany poglądów i inspiracji. To zawsze rozwija.

Pani pierwsza samodzielna wystawa „Think different” zebrała dobre recenzje. Złożyły się na nią portrety – nietypowe i prowokujące, na których sacrum miesza się z profanum. Zachęca Pani widza, żeby myślał inaczej. Inaczej, czyli jak?

Warto dostrzec innych i wyjść poza schematy. ■



MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Żołnierze w zielonych skórach

Nieważne, na jakim motocyklu jeździsz, ile masz lat i gdzie służysz. Musisz być odpowiedzialny i mieć zapal do jazdy.
Takich ludzi zrzesza Wojskowy Klub Motocyklowy.

Motocyklową wyprawę do Norwegii przygotowawali przez cały rok. Musieli starannie opracować trasę przejazdu, zaplanować noclegi i wyżywienie. Szukali tanich biletów na prom, załatwiali ubezpieczenia, sprawdzali ceny paliwa. Na taką eskapadę nie mógł jechać kierowca bez doświadczenia. Ostatecznie ruszyli w szóstkę i w ciągu dwóch tygodni przejechali kawał Skandynawii.

„Jednego dnia zrobiliśmy niemal tysiąc kilometrów. Jechało się rewelacyjnie, więc postanowiliśmy, że odpocznemy dopiero po zmroku. Ten jednak nie nadszedł. Trafiliśmy na białe noce. To jedyny aspekt wyprawy, który nas zaskoczył”, opowiada starszy sierżant Tomasz Trzebiński z 6 Brygady Powietrznodesantowej, jeden z założycieli Wojskowego Klubu Motocyklowego z Gliwic.

Podczas eskapady żołnierze dotarli także do Nordkapp, jednego z dwóch najbardziej wysuniętych na północ przylądków w Europie. Złożyli też kwiaty na grobie polskich żołnierzy poległych w bitwie o Narvik w 1940 roku i pod pomnikiem polskich marynarzy z ORP „Grom”. „To obowiązkowy punkt każdej wyprawy, niezależnie od tego, czy jesteście we Włoszech, w Norwegii czy na Ukrainie. Jesteśmy żołnierzami i zawsze oddajemy hołd swoim rodakom”, mówią wojskowi motocykliści. „Dbamy o to, by każda nasza wyprawa prowadziła przez miejsca ważne dla Polaków, dla żołnierzy.

Chcemy się pokłonić i oddać cześć naszym poprzednikom”, podkreśla sierżant Sebastian Skonieczny, prezes klubu.

STRZAŁ W DZIESIĄTKĘ

Motocyklistów z WKM-u można rozpoznać po zielonych skórzanych kamizelkach. „Policjanci jeżdżą w niebieskich, pozostałe kluby w czarnych. My jako jedyni na świecie mamy zielone”, mówi starszy sierżant Tomasz Trzebiński i dodaje: „Noszenie kamizelki WKM to zaszczyt. By ją otrzymać, trzeba jak najczęściej wspólnie podróżować i mieć wielkie serce dla dzieci. Działalność charytatywna to bowiem »niepisana specjalność« naszego klubu”.

Wojskowy Klub Motocyklowy powstał siedem lat temu. „Wszystko zaczęło się od naszego parkingu. Obserwowaliśmy, jak w jednostce przybywa motocykli. My, ich właściciele, stopniowo poznawaliśmy się, dyskutowaliśmy, aż w końcu skrzyknęliśmy się i ruszyliśmy w trasę”, wspomina jeden z żołnierzy 6 Batalionu Powietrznodesantowego w Gliwicach. Pomysł na stworzenie klubu pojawił się wiosną 2008 roku podczas wyprawy motocyklowej na Słowację. Radosław Bartosik, Jan Cholewka, Sebastian Grant, Adam Lasota, Zbigniew Mucha, Robert Szczerba i Tomasz Trzebiński zdecydowali wówczas o powołaniu WKM-u. Pomysłodawcą i prezesem klubu został starszy sierżant Tomasz Trzebiński. Skąd pomysł na nazwę? „»WKM«, bo większość z nas służyła wówczas w 6 Brygadzie



SERCE DLA DZIECI

Członkowie WKM-u od samego początku istnienia klubu bardzo mocno zaangażowali się w akcje na rzecz potrzebujących. Od lat wspierają Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy. Pomagają głównie podopiecznym ze śląskich domów dziecka. Przypoda z działalności charytatywnej ruszyła na dobre, gdy Fundacja „Mam Marzenie” zwróciła się z prośbą o pomoc w spełnieniu pragnienia małego Kubę. Wówczas motocykliści z WKM-u współfinansowali między innymi zakup motocykla dla chorego chłopca. Przez wiele lat klub wspierał dom dziecka w Zabrze. Żołnierze organizowali dla dzieci między innymi ratowniczy poligon w Pewli Słemieńskiej. Poza tym motocykliści w mundurach systematycznie je odwiedzają, czytają książki, opowiadają o swojej pracy, bawią się z nimi i pomagają w nauce.



Powietrznodesantowej, a skrót ten kojarzył nam się z karabinem”, opowiada sierżant Trzebiński.

Na przestrzeni pięciu lat do klubu należało około 30 osób, a 20 z nich służyło w armii. Najwięcej motocyklistów zawodowo było związanych z „matecznikiem” WKM-u, czyli 6 Batalionem Powietrznodesantowym. Z czasem do ekipy dołączali jednak żołnierze z innych jednostek: sierżant Sebastian Skonieczny, obecny prezes klubu, pochodzi z przykład z jednostki wojskowej z Krakowa.

W klubie motocyklowym jeździ teraz 11 osób (połowa to żołnierze), a kilka kolejnych ubiega się o przyznanie członkostwa. Oprócz żołnierzy w służbie czynnej i ich żon (i mężów) w barwach klubowych jeżdżą rezerwisti oraz sympatycy wojska. Zarząd WKM-u zresztą deklaruje, że jest gotowy przyjąć do zespołu prawie każdego motocyklistę: „Nieważne, na jakim się jeździ motocyklu. Ważne są odpowiedzialność, zapał do jazdy, chęć pomocy innym, otwartość i szczerść”, mówi prezes.

Kogo nie przyjmują w swoje szeregi? Przede wszystkim nie chcą w zespole nieodpowiedzialnych kierowców. Gdy podróżują w grupie, muszą czuć się bezpiecznie. Ryzykowna i agresywna jazda z góry zatem odpada. „Jesteśmy rozpoznawalni jako klub. Mamy na maszynach polskie flagi, emblematy klubowe i symbole jednostek wojskowych. Nie możemy pozwolić, by jakiś kierowca wariat zniszczył nam opinię”, wyjaśnia sierżant Trzebiński.

ZAMIAST KUCHNI... MOTOCYKL

„Widziałam, że w jednostce zebrało się kilkunastu entuzjastów motocykli. Zazdrościłam im i bardzo chciałam dołączyć do ekipy”, wspomina plutonowy Beata Karkocha z 6 Batalionu Powietrznodesantowego. „Nie miałam jednak jeszcze swojego motoru”. Żeby spełnić marzenie, kobieta zrezygnowała z remontu mieszkania. „Dwa lata odkładaliśmy z mężem na remont kuchni. W końcu postanowiłam, że tylko ją odmaluję, a za

oszczędności kupię motocykl. Tak też się stało”, opowiada plutonowy Karkocha. „Mówiliśmy później, że Beata nie jeździła na motocyklu, ale na kuchni”, żartują koledzy z klubu.

Jej przygoda motocyklowa trwa do dziś. W pierwszą daleką podróż ruszyła do Szwajcarii. Kilka tysięcy kilometrów przejechanych na dużych wysokościach dało jej w kość. Dziś przyznaje, że to była dobra szkoła jazdy. „Szukałam sposobu, by miłością do motocykli zarazić męża. W końcu zdecydowałam za niego i wykupiłam kurs na prawo jazdy. Wiedziałam, że nie zrezygnuję, bo szkoda mu będzie pieniędzy”, mówi. Dziś sierżant Michał Karkocha jest w zarządzie Wojskowego Klubu Motocyklowego. Wspólnie z żoną przysmarują się do kolejnych dalekich podróży i planują zakupy następnych jednośladów.

JEDNOŚLADEM PO ŚWIECIE

Motocykliści z klubu wspólnie przejechali już kilkadziesiąt tysięcy kilometrów. Byli w Szwajcarii, Norwegii, na Słowacji, w Czechach, na Węgrzech, w Chorwacji, Albanii, Macedonii, Czarnogórze, Grecji, Bułgarii i Rumunii. Podróżują także po Polsce. W 2013 roku wybrali trasę wzdłuż Wybrzeża. Teraz planują wyprawę na Krym.

Jak wygląda roczny harmonogram WKM-u? Motocykliści uczestniczą w cyklicznych imprezach, w eskapadach organizowanych z okazji rozpoczęcia i zakończenia sezonu. Raz w roku organizowana jest główna wyprawa. W trasę jadą ci, którzy chcą.

„Im więcej jeździmy wspólnie, tym fajniej, bo coraz lepiej się rozumiemy. Wystarczy spojrzeć w lusterko, by sprawdzić, czy u kolegi wszystko w porządku. Podczas jazdy porozumiewamy się za pomocą gestów i znaków. Poza tym wszyscy śpią w jednakowych warunkach, jedzą to samo i odpoczywają w tym samym czasie. Reguły wypraw są proste”, opowiada plutonowy Beata Karkocha.

NA ZAKRĘCIE

W 2013 roku z Wojskowego Klubu Motocyklowego odeszło kilkunastu żołnierzy, między innymi jego wieloletni prezes i założyciel sierżant Tomasz Trzebiński. Obecnie klubem kieruje sierżant Sebastian Skonieczny: „Jako WKM znowu stoimy na początku drogi. Niektóre idee trzeba odświeżyć, zbudować nowy porządek”. Pewne rzeczy się jednak nie zmieniają: wojskowi motocykliści nadal będą się angażować w pomoc potrzebującym. Chcą także mocniej związać się z instytucjami wojskowymi, współpracować z jednostkami w całej Polsce i przez miłość do motocykli promować służbę. ■

MOTOCYKLIŚCI WKM-U ZABIEGALI O TO, BY NA SVOJE WYPRAWY MOGLI ZABIERAĆ MUNDURY. CHCIELI W NICH ODDAWAĆ HOŁD POLEGŁYM W BITWACH RODAKOM. NIE DOSTALI JEDNAK NA TO ZGODY OD PRZEŁOŻONYCH

K O M P E N D I U M W I E D Z Y W O J S K O W E J

S T R A T E G I A
D O W O D Z E N I E
T A K T Y K A



Pomoc z misji

Żołnierze zbierali nakrętki dla chorego chłopca.

Mikołajek urodził się w 2010 roku z wrodzoną wadą kończyn. Chłopiec nie ma rąk i nóg. Rok temu o jego historii i akcji zbierania dla Mikołaja nakrętek od butelek przeczytał w internecie starszy chorąży sztabowy Jacek Schmidt, żołnierz stacjonującego w Choszcznie dywizjonu artylerii samobieżnej. Postanowił włączyć się do akcji. Namówił też do udziału kolegów służących z nim na XII zmianie Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Afganistanie. Akcję objął honorowym patronatem dowódca XII zmiany generał brygady Andrzej Tuz. Przyłączyli się też amerykańscy żołnierze. W niespełna rok żołnierze zebrali ponad półtorej tony nakrętek. Pieniądze z ich sprzedaży rodzina chłopca przeznaczy na zakup protez i rehabilitację Mikołajka. A D ■



Monument AK

Sprzedaż kalendarza wspiera budowę pomnika Armii Krajowej.

Krakowskie Muzeum Armii Krajowej wydało z okazji przypadającej w tym roku siedemdziesiątej rocznicy akcji „Burza” kalendarz ze zdjęciami obrazującymi wydarzenia z tamtych lat. Część dochodu z jego sprzedaży zostanie przeznaczona na budowę pomnika Armii Krajowej w Krakowie. Inicjatorem budowy i fundatorem monumentu jest Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej. Pomnik ma stanąć u stóp Wawelu na Bulwarze Czerwieńskim. Kalendarz za 13 złotych można kupić w kasie muzeum lub zamówić mailem: biuro@muzeum-ak.pl. A D ■



LUBUSKIE MUZEUM WOJSKOWE

Lotnicza perełka

Zabytkowy myśliwiec przejdzie remont w Krzesinach.

Dzięki porozumieniu między Lubuskim Muzeum Wojskowym w Drzonowie i 31 Bazą Lotnictwa Taktycznego w Poznaniu jeden z najstarszych eksponatów w zbiorach lotniczych muzeum – samolot Jak-23 – przejdzie gruntowny remont na lotnisku w Krzesinach. Maszyna, na której latali żołnierze w wojnie koreańskiej, ma ponad 60 lat i wymaga nie tylko malowania, lecz także uzupełnienia wnętrza kabiny pilota i jej oszklenia. Tego zadania podejmą się pasjonaci z Poznania. Dotąd żołnierze w wolnym czasie wy-

remontowali między innymi myśliwiec Lim i kilka MiG-ów. W zamian za wykonanie remontu samolot pozostanie na terenie krzesińskiego lotniska przez pięć lat od ukończenia prac. W tym czasie, jak podaje Lubuskie Muzeum Wojskowe, będzie reklamował placówkę w czasie imprez i festynów organizowanych na lotnisku.

Jak-23 to radziecki myśliwiec odrzutowy z końca lat czterdziestych. Samolot był pierwszym odrzutowcem polskiego lotnictwa. W latach pięćdziesiątych zaczęto go zastępować nowocześniejszymi samolotami MiG-15. A D ■

Powrót zza oceanu

Do Polski wróciła połowa baraku więziennego z obozu w Auschwitz.

W drewnianym budynku z numerem 30 od września 1943 roku do lipca 1944 roku mieścił się szpital obozu dla Żydów przywiezionych z getta Theresienstadt na terenie ówczesnego Protektoratu Czech i Moraw. Do Auschwitz Niemcy deportowali stamtąd około

46 tysięcy Żydów. Połowa obiektu więziennego z byłego obozu została wypożyczona w 1993 roku Muzeum Holocaustu w Waszyngtonie. Po zakończeniu umowy wypożyczenia Amerykanie zabiegali o jej przedłużenie. Tymczasem Polska wprowadziła jednak nowe prawo. Jak podaje Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau, obecnie, zgodnie z ustawą o ochronie zabytków historycznych, obiektów nie można wypożyczać na dłużej niż pięć lat. Przywieziona do Polski połówka baraku po konserwacji trafi z powrotem na swoje miejsce w byłym obozie, gdzie stoi też druga część konstrukcji. A D ■

Świadkowie historii

Wolontariusze z Muzeum Powstania Warszawskiego nagrali w USA relacje byłych powstańców warszawskich.

Dzięki pomocy Konsulatu Generalnego Rzeczypospolitej Polskiej w Nowym Jorku i pieniądзом ze środków polonijnych Ministerstwa Spraw Zagranicznych wolontariusze z Archiwum Historii Mówionej z Muzeum Powstania Warszawskiego nagrali relacje dziewięciu uczestników powstania mieszkających w Stanach Zjednoczonych. Jak podaje MSZ, są to osoby, które w Ameryce odniosły sukces, jak Jerzy Kuncewicz, wieloletni szef dużej firmy elektronicznej, czy lekarz Jan Kurdwanowski.

Powstałe dziesięć lat temu archiwum gromadzi relacje uczestników i świadków powstania warszawskiego mieszkających w kraju i za granicą. Dotychczas zebrano 3,5 tysiąca wywiadów, utrwalanych w wersji elektronicznej. Są one publikowane na stronie muzeum. **A D**

Symbol komandosów

Na czarnym tle czerwony sztylet – tak będzie wyglądać oznaka Jednostki Wojskowej Komandosów z Lublińca. Symbol ten łączy historię i teraźniejszość, nawiązując zarówno do oddziałów Armii Krajowej, których tradycje jednostka dziedziczy, jak i do współczesnych wojsk specjalnych. Znak zaprojektowała graficzka Olga Łebkowska. Jak pisze na profilu Facebooka jednostki jej dowódca pułkownik Wiesław Kukuła, pomysł oznaki rozpoznawczej narodził się 1 sierpnia 2012 roku na Powązkach. Wtedy przy kwatrze „Zośki” jeden z byłych żołnierzy AK wpiął mu w mundur znak Polski Walczącej i powiedział: „Powinniście nosić nasze znaki na mundurach”. Pułkownik wystąpił już do ministra Tomasa Siemoniaka o nadanie projektowi rangi oznaki rozpoznawczej. **A D**

Polskie znaki

Gra, która urozmaici lekcje historii.

Instytut Pamięci Narodowej wydał kolejną grę znanego projektanta Karola Madaja. „ZnajZnak” to gra edukacyjna nawiązująca do polskich dziejów. Na ponad 130 kartach umieszczono po 12 symboli dotyczących postaci, wydarzeń, miejsc i przedmiotów z naszej najnowszej historii. Znajdziemy tam na przykład zdjęcie Józefa Piłsudskiego, znak Polski Walczącej czy datę pierwszych wolnych wyborów w 1989 roku. Zadaniem graczy jest znalezienie wspólnego symbolu na kartach swojej i przeciwnika. Gdy się to uda i zostanie on poprawnie nazwany, przekazujemy

kartę przeciwnikowi. Wygrywa ten, kto pierwszy pozbędzie się swoich kart.

„ZnajZnak” ma być przede wszystkim pomocą naukową dla nauczycieli historii. Dlatego IPN rozpoczął projekt, w ramach którego wysyła grę nieodpłatnie zainteresowanym nią szkołom i bibliotekom. **A D**



Wyścig po czerwone maki

Biegacze uczczą siedemdziesiątą rocznicę bitwy o Monte Cassino.

Dziesięciokilometrowy wyścig z centrum miasta Cassino na szczyt górującego nad nim wzgórza będzie jedną z imprez związanych z siedemdziesiątą rocznicą zdobycia klasztoru benedyktynów przez II Kor-

pus generała Władysława Andersa. 17 maja 2014 roku w międzynarodowym biegu wystartuje 1052 Polaków, czyli tyle, ile jest imiennych grobów naszych żołnierzy pod Monte Cassino. **A D**

Wojenne loty

Pasjonaci lotnictwa chcą, aby w Krakowie powstał bulwar pamięci lotników alianckich.

Nocą z 16 na 17 sierpnia 1944 roku Liberator z 178 Dywizjonu Bombowego RAF, dowodzony przez kapitana Williama D. Wrighta, wracał z misji zrzutowej dla Armii Krajowej w okolicach Warszawy. Zestrzelona przez Niemców nad Krakowem maszyna rozpadła się nad dzielnicą Zabłocie. Na pa-

miątkę tego lotu grupa pasjonatów lotnictwa chce, aby w Krakowie powstał bulwar pamięci lotników alianckich. Upamiętniałyby on wysiłek pilotów państw koalicji antyhitlerowskiej, nie tylko Polaków, ale też Brytyjczyków, Amerykanów, Kanadyjczyków czy Australijczyków. Wykonywali oni loty bojowe i transportowe do Polski, zrzucali zaopatrzenie, sprzęt i broń dla partyzantów i członków Armii Krajowej. Przewozili też do kraju wyszkolonych na Zachodzie żołnierzy, w tym cichociemnych, którzy walczyli potem w polskim ruchu oporu. **A D**

Dowód sprzed lat

Odnaleziono nieznanego dokument dotyczący zbrodni katyńskiej.

W archiwum państwowym Stanów Zjednoczonych pod Waszyngtonem Krystyna Piórkowska, badaczka szukająca relacji zachodnich świadków na temat zbrodni katyńskiej, odnalazła zeznanie amerykańskiego żołnierza, potwierdzające sowiecką odpowiedzialność za morderstwo na polskich oficerach. Jest to relacja z 1945 roku podpułkownika Johna Van Vlieta (na zdjęciu pierwszy z prawej), świadka ekshumacji przeprowadzonych przez Niemców w Katyniu wiosną 1943 roku. Według niego towarzyszące zwłokom przedmioty wskazywały na datę śmierci w okolicach wczesnej wiosny 1940 roku. Dokument zawiera też nieznaną dotąd nazwiska innych świadków ekshumacji



– alianckich jeńców wojennych. Zdaniem Krystyny Piórkowskiej ich relacje celowo były utajniane przez rządy Wielkiej Brytanii i USA, którym zależało na przemilczeniu zbrodni katyńskiej dla dobra sojuszu ze Stalinem. A D

Mali żołnierze

Około 300 tysięcy dzieci walczy na wojnach i w konfliktach zbrojnych.

Co roku 12 lutego jest obchodzony jako Międzynarodowy Dzień Dzieci-Żołnierzy. Upamiętnia on wejście w życie w 2002 roku fakultatywnego protokołu do konwencji praw dziecka o zakazie wykorzystywania osób poniżej 18. roku życia jako żołnierzy w konfliktach zbrojnych. Do protokołu przystąpiło już około 150 krajów, ale dzieci

nadal walczą w wielu wojnach na świecie. Według Amnesty International są

wykorzystywane w co najmniej 19 krajach, głównie w Afryce i Azji, między innymi w Czadzie, na Wybrzeżu Kości Słoniowej czy w Sri Lance. Szacuje się, że około 300 tysięcy niepełnoletnich, w tym nawet dziesięcioletnie dzieci, jest zaangażowanych w 36 konfliktów w różnych miejscach świata. Zbrojne grupy rekrutują dzieci przymusem lub szantażem. Są one też porywane lub sprzedawane przez rodziny. W czasie szkolenia uczy się małych żołnierzy posługiwania bronią, a podporządkowuje przez tortury, narkotyki i zastraszanie. Dzieci służą jako żołnierze lub szpiedzi, podkładają miny, są posłaniami, zwiadowcami i zamachowcami samobójcami. Wiele z nich ginie, zostaje okaleczonych, staje się ofiarami przemocy seksualnej. Według raportu ONZ w ciągu ostatnich dziesięciu lat w różnych wojnach zginęło dwa miliony dzieci, a cztery miliony zostało kalekami. A D



Podziękowanie i apel o wsparcie

Szanowni Państwo

Proszę przyjąć wyrazy podziękowania za przekazane mi środki finansowe w ramach odpisu 1% z podatku za rok 2012. Obecnie od marca 2013 roku jestem w trakcie przyjmowania trzeciej serii zabiegów chemii, których nie refunduje NFZ, tym samym ponoszę pełne koszty zakupu leku.

Z uwagi na to, że kontynuacja leczenia wymaga dużych nakładów finansowych uprzedmiotwie proszę:

• o przekazanie 1% podatku za rok 2013 na rzecz Fundacji „Wygrajmy Zdrowie” imienia Profesora Grzegorza Madeja w Warszawie, podając w PIT:

Nr KRS: 0000242845
Cel szczegółowy 1% – na leczenie onkologiczne Bogdana Niewitowskiego;

• lub dokonania nawet najdrobniejszej wpłaty (darowizny) na rzecz

Fundacji „Wygrajmy Zdrowie”
ul. Piękna 28/34 lok. 53
00-547 Warszawa
nr subkonta: 40 1240 6410 1111
0010 4995 0536
z dopiskiem (tytułem) – na leczenie onkologiczne Bogdana Niewitowskiego.

Pozdrawiam i z góry serdecznie dziękuję za wsparcie



Bogdan Niewitowski
pułkownik Wojska Polskiego



PRZEMYSŁAW KUCHARCZAK

ANNA DĄBROWSKA

Rozstrzelany oddział

Mogiła węgierskich jeńców w katowickim lesie przypomina o zbrodni wojennej sprzed 70 lat.

Wiosną 1944 roku armia III Rzeszy rozpoczęła przygotowania do obrony Katowic. Z polecenia Niemców robotnicy przymusowi wybudowali w Murckach, wówczas podkatowickiej wsi, stanowiska artylerii przeciwlotniczej. Dwanaście armat o kalibrze 125 milimetrów, wokół których powstały baraki mieszkalne i schrony, obsługiwała załoga 58 Dywizjonu „Heimatflak”, podległego 107 Pułkowi Niemieckiej Artylerii Przeciwlotniczej. Zadaniem artylerii była obrona zakładów przemysłowych przed nalotami, a później walka z oddziałami radzieckimi. Oprócz niemieckich żołnierzy służyli w niej, jako siły pomocnicze, Węgrzy i Tatarzy krymscy.

DWA BRATANKI

Jak wspominają mieszkańcy Murcek, węgierscy żołnierze traktowali Polaków bardzo serdecznie i szybko nawiązali z ni-

mi dobre kontakty. Warto pamiętać, że w czasie II wojny światowej, choć państwo węgierskie było sprzymierzone z III Rzeszą, tamtejsi żołnierze i władze odnosili się do Polaków przyjaźnie.

Już w kwietniu 1939 roku szef węgierskiej dyplomacji István Csáky pisał do Niemiec: „Nie jesteśmy skłonni brać udziału ani pośrednio, ani bezpośrednio w zbrojnej akcji przeciw Polsce. Odrzucimy każde żądanie, które prowadziłoby do umożliwienia transportu wojsk niemieckich pieszo, pojazdami mechanicznymi czy koleją przez węgierskie terytorium dla napaści przeciw Polsce. Jeżeli Niemcy zagrożą użyciem siły, oświadczę kategorycznie, że na oręż odpowiem orężem”. Podkreślił również, że sympatia do Polaków jest na Węgrzech tak duża, że jakiegokolwiek wystąpienie przeciw nim mogłoby doprowadzić do niepokojów społecznych w jego kraju.

Tuż przed rozpoczęciem wojny w 1939 roku na pytanie Niemców o możliwość dodatkowego uderzenia na Polskę od południa węgierski premier Pál Teleki odpowiedział kategorycznie: „Ze strony Węgier jest sprawą honoru narodowego nie brać udziału w jakiegokolwiek akcji zbrojnej przeciw Polsce”. Dodatkowo nakazał zaminowanie tuneli na trasie linii kolejowej i ich wysadzenie w powietrze w razie próby sforsowania przez Niemców.

Po klęsce wrześniowej wiele tysięcy polskich żołnierzy schroniło się na Węgrzech. Przez ten kraj podczas II wojny przewinęło się ponad 120 tysięcy polskich uciekinierów, głównie wojskowych, których przetrucano potem do Francji. W tamtejszym rządzie utworzono nawet specjalny departament do opieki nad polskimi żołnierzami, a do końca listopada 1940 roku w Budapeszcie istniało oficjalne polskie poselstwo.

LEŚNA MOGIŁA

W styczniu 1945 roku Sowieci ruszyli z kolejną ofensywą na zachód i pod koniec miesiąca dotarli do Murck. Po krótkim starciu wojska radzieckie 27 stycznia wjechały do miasta. Widząc nacierające czołgi oddziałów 1 Frontu Ukraińskiego, obsługa tamtejszej baterii uszkodziła działa oraz instalację radarową. Potem Niemcy i Tatarzy uciekli w popłochu i pozostawili węgierskich towarzyszy broni.

Kilkunastoosobowa grupa Węgrów zdecydowała się poddać Armii Czerwonej. Jako jeńcy zostali umieszczeni w jednym z baraków. Następnego dnia Sowieci odebrali im rzeczy osobiste, zegarki, obrączki i inne cenne przedmioty. Jak wspominali mieszkańcy, kazali też wszystkim zdjąć buty. Po mrozie pogнали Węgrów przez Murcki do pobliskiego lasu. Tam ustawili ich w szeregu i rozstrzelali.

Zamarznęte ciała przez dwa miesiące leżały w lesie. Dopiero na wiosnę, gdy ziemia rozmarzła, mieszkańcy pochowali Węgrów we wspólnej mogile w miejscu najstarszego cmentarza w Murckach, a potem, przez kolejne lata, opiekowali się nią. W 1989 roku zbiorowym grobem zajęło się utworzone wtedy lokalne koło Związku Górnośląskiego.

Co roku 28 stycznia, w rocznicę rozstrzelania Węgrów, w pobliskim kościele jest odprowadzana msza święta w ich intencji, a następnie uczestnicy nabożeństwa przechodzą pod mogiłę, aby oddać hołd pomordowanym. W 2011 roku odsłonięto i poświęcono w tym miejscu tablicę upamiętniającą poległych żołnierzy. Pomysłodawcami oraz fundatorami byli Ferenc Schmidt, nieżyjący już węgierki poseł do Parlamentu Europejskiego, oraz węgierskie stowarzyszenie emerytów w miejscowości Mór. W tym samym roku Rada Miasta Katowice nadała ulicy biegnącej przy mogile nazwę „Węgierska”.

ODNALEZIONA TOŻSAMOŚĆ

Przez 67 lat węgierskie ofiary pozostawały anonimowe, a bliscy żołnierzy nie wiedzieli o ich losach. Śledztwo w sprawie zbrodni wojennej w Murckach w 2005 roku wszczęła katowicka Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu Instytutu Pamięci Narodowej. Jej historycy przesłuchali świadków tamtych wydarzeń.

Dotarli też między innymi do materiałów Rosyjskiego Państwowego Archiwum Wojskowego w Moskwie oraz Archiwum Wojennego w Budapeszcie. Postępowanie nie przyniosło jednak efektów i instytut umorzył śledztwo. Nie udało się ustalić ani dokładnej liczby poległych węgierskich żołnierzy (według różnych wersji wynosiła ona od 14 do 32 osób), ani ich nazwisk.

Przełom nastąpił w 2012 roku. Znalezione wtedy w warszawskim archiwum Krajowego Biura Informacji i Poszukiwań Polskiego Czerwonego Krzyża listę z nazwiskami 15 spośród najprawdopodobniej 29 Węgrów spoczywających w Murckach, a także depozyty po zamordowanych, w tym kilka dokumentów, listów i fotografii. Odkryte nazwiska katowicki urząd miasta umieścił na ustawionej na leśnej mogile nowej tablicy. Napis na niej głosi: „Tu spoczywają jeńcy węgierscy, rozstrzelani przez żołnierzy Armii Czerwonej 28 stycznia 1945 roku. Honwedzi węgierscy przebywali w Murckach od połowy 1944 roku, pełniąc funkcje pomocnicze przy niemieckich wojskach okupacyjnych”.

Tablicę poświęcono 4 kwietnia 2013 roku, a w uroczystości uczestniczyli sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Andrzej Kunert oraz ambasador Węgier w Polsce Iván Gyurcsik. Spotkanie było jednym z punktów obchodów Dnia Węgierskiego w Katowicach. Towarzyszyła mu międzynarodowa konferencja poświęcona Polakom na Węgrzech i Węgom w Polsce w latach II wojny światowej.

PIELĘGNOWANIE PAMIĘCI

W trakcie uroczystości przy mogile doktor László Horvath, historyk z Wydziału Pielęgnowania Tradycji Wojskowych i Opieki nad Grobami Wojennymi w węgierskim ministerstwie obrony, dziękował Polakom za opiekę nad miejscem pochówku pomordowanych. „Odwiedziłem już wiele węgierskich grobów poza granicami, ale tak zadbanego miejsca nie widziałem nigdzie”, mówił. Zaznaczył też, że Polacy pomogli zachować pamięć o żołnierzach węgierskich, kiedy nawet w jego kraju było to niemożliwe. „Chciałbym życzyć wszystkim, by spotkali się z taką serdecznością, pamięcią i honorem, jak ci żołnierze tutaj”.

Kiedy stawiano odnowioną tablicę, w prasie i internecie pojawiały się krytyczne głosy, zarzucające miejskim władzom, że wydają pieniądze na upamiętnienie żołnierzy węgierskich, którzy walczyli po stronie Hitlera. Śluzacy stwierdzili jednak, że Węgom pomnik się należy, tym bardziej że w czasie wojny dzięki ich pomocy przetrwały dziesiątki tysięcy polskich uchodźców.

Teraz Instytut Pamięci Narodowej oraz władze Katowic liczą, że uda się ustalić personalia pozostałych ofiar. Katowicki IPN poprosił o pomoc w tej sprawie prokuraturę generalną w Budapeszcie. Mogiłą zainteresował się też doktor János Tischler, historyk i dyrektor Instytutu Węgierskiego w Warszawie, który zajął się poszukiwaniem informacji w archiwach węgierskich. Historycy liczą, że znajdą się także kolejni świadkowie, którzy pomogą uzyskać dodatkowe informacje. ■

| POŻEGNANIA |

Kpt. Karolowi Matuszewskiemu

najszczerze wyrazy współczucia
z powodu śmierci

Matki

składa komendant 1 Wojskowego Szpitala Polowego
wraz z kadrą.

Panu kapitanowi

Cezaremu Mędel

wyrazy szczerego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają komendant, żołnierze i pracownicy
Centrum Szkolenia Sił Powietrznych w Koszalinie.

Z ogromnym smutkiem zawiadamiamy,
że 16 stycznia 2014 roku w wieku 65 lat
odszedł od nas

płk w st. spocz. Jan Sekura,

były pracownik Departamentu Wojskowych
Spraw Zagranicznych MON (później Departamentu
Współpracy Międzynarodowej),
uczestnik misji pokojowych ONZ w Iranie i Iraku,
odznaczony: Złotym Krzyżem Zasługi; Złotym Medalem
„Siły Zbrojne w Służbie Ojczyzny”; Złotym Medalem
„Za Zasługi dla Obronności Kraju”.

Rodzina

**Panu kmdr. por. rez.
Zbigniewowi Nowickiemu**

oraz Jego Rodzinie i Najbliższym

w trudnych chwilach słowa wsparcia
oraz wyrazy głębokiego współczucia
i szczerze kondolencje z powodu śmierci

Żony Elżbiety

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
9 Dywizjonu Przeciwlotniczego.

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci

**pułkownika w stanie spoczynku
Zygmunta Czarnotty.**

Był autorem artykułów ukazujących się na łamach
wydawnictw Wojskowego Instytutu Wydawniczego,
między innymi „Kwartalnika Bellona”.
Od lat publikował w „Przeglądzie Wojsk Lądowych”.

Opracował wiele podręczników do szkolenia,
regulaminów i instrukcji. Do końca był aktywny
na polu publicystyki. Podejmował różnorodne
zagadnienia, między innymi dotyczące polityki
bezpieczeństwa. Chętnie dzielił się swoją wiedzą
i doświadczeniem.

Ukończył Oficerską Szkołę Artylerii w Toruniu.
Pełnił w niej także funkcję wykładowcy. Dowodził
2 Pułkiem Artylerii oraz 32 Brygadą Artylerii.
Zajmował również stanowisko zastępcy szefa wojsk
raketowych i artylerii Wojska Polskiego.

Zespół Wojskowego Instytutu Wydawniczego

Elżbiecie Jezierskiej

oraz Jej Najbliższym

wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają komendant, koleżanki i koledzy
Resortowego Centrum Zarządzania
Projektami Informatycznymi.

**Panu ppłk.
Waldemarowi Zaniewskiemu**

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają kadra kierownicza, oficerowie i pracownicy
cywilni Departamentu Polityki Zbrojeniowej MON.

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przysyłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl
z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 22 684 52 13,
22 684 52 30, 22 684 02 27; CA MON 845 213, 845 230, 840 227

| POŻEGNANIA |

Panu mjr. Sławomirowi Kapka
oraz Jego Rodzinie

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają komendant, żołnierze i pracownicy
Wojskowego Centrum Kształcenia Medycznego w Łodzi.

Panu chor. rez. Pawłowi Olszewskiemu
oraz Jego Rodzinie

wyrazy żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają komendant, żołnierze oraz pracownicy wojskowej
straży pożarnej JW 1230 Warszawa-Wesoła.

Panu pułkownikowi
Markowi Chojnackiemu

oraz Jego Rodzinie i Najbliższym

słowa wsparcia oraz wyrazy głębokiego współczucia
i szczere kondolencje w trudnych chwilach
po śmierci

Ojca

składają koleżanki i koledzy z Szefostwa Uzbrojenia
Inspektoratu Uzbrojenia.

Panu mjr. Pawłowi Dworzeckiemu,

głównemu księgowemu 11 Wojskowego
Oddziału Gospodarczego,

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Siostry

składają dowództwo, żołnierze i pracownicy
11 Wojskowego Oddziału Gospodarczego w Bydgoszczy.

Panu kpt. Michałowi Siekowi
oraz Jego Rodzinie

wyrazy głębokiego współczucia i żalu z powodu śmierci

Ojca

składają komendant i pracownicy wojska Wojskowego
Centrum Kształcenia Medycznego w Łodzi.

Księdzu prałatowi pułkownikowi
Januszowi Radzikowi

oraz Rodzinie i Bliskim

wyrazy szczerego oraz głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają rektor-komendant, senat oraz społeczność
Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych
imienia Generała Tadeusza Kościuszki
we Wrocławiu.

Pani Jadwidze Makowskiej

oraz Jej Najbliższym

wyrazy szczerego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają koleżanki i koledzy
z Wojskowej Komendy Uzupełnień w Gdyni.

Panu ppłk. dypl.
Czesławowi Makowskiemu,

zastępcy szefa WSzW – szefowi Wydziału,

oraz Jego Rodzinie

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Teścia

składają kadra i pracownicy wojska Wojewódzkiego
Sztabu Wojskowego w Gdańsku.

Panu generałowi brygady
Cezaremu Podlasińskiemu

oraz Jego Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia i szczere kondolencje
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca 10 Brygady Kawalerii Pancernej
wz. płk Dariusz Nawrocki
oraz żołnierze 10 BKPanc.

| POŻEGNANIA |

Pani kpt. mar.
Aleksandrze Tymanowskiej

oraz Jej Rodzinie i Najbliższym

w trudnych chwilach słowa wsparcia oraz wyrazy głębokiego
współczucia i szczerą kondolencję z powodu śmierci

Ojca

składają dowództwo, żołnierze i pracownicy 13 Dywizjonu
Trałowców im. Admirala Floty Andrzeja Karwety.

Pani Izabelli Budek

i Jej Rodzinie

najszczerze wyrazy żalu i współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają kierownictwo, kadra i pracownicy cywilni
Departamentu Kadr MON.

Panu kapitanowi
Jarosławowi Borowemu

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają komendant, kadra i pracownicy wojska
Komendy Portu Wojennego Gdynia.

Z żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

płk. w st. spocz. prof. dr. hab.

Wojciecha Łepkowskiego,

wieloletniego pracownika naukowego Akademii Obrony
Narodowej, wspaniałego dydaktyka,
wychowawcy wielu pokoleń absolwentów AON.

Z Rodziną i Przyjaciółmi

łączą się w żalu rektor-komendant, kadra, pracownicy
i studenci Akademii Obrony Narodowej.

Panu płk. dypl. Stanisławowi Kmiotkowi

wyrazy głębokiego współczucia i wsparcia
z powodu śmierci

Ojca

składają koledzy z PSPO AON Rembertów 2014.

Panu gen. dyw. dr.
Leszkowi Surawskiemu

oraz Jego Rodzinie i Najbliższym

w trudnych chwilach słowa wsparcia
oraz wyrazy głębokiego współczucia
i szczerą kondolencję z powodu śmierci

Teściowej

składają kierownictwo, kadra i pracownicy wojska
Zarządu Planowania Operacyjnego
– P3 Sztabu Generalnego WP.

Naszemu Drogiemu Koledze

Jerzemu Pawlakowi

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Mamy

składają Koleżanki i Koledzy z Oddziału
Zabezpieczenia Kontyngentów Wojskowych
Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Pani mjr

Katarzynie Sztukiewicz-Pietrus,

sędzi Wojskowego Sądu Garnizonowego w Szczecinie,
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają sędziowie i pracownicy
Wojskowego Sądu Okręgowego w Poznaniu.

Z głębokim żalem i smutkiem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci naszego Mistrza,
Przyjaciela oraz Kolegi

płk. w st. spocz. prof. dr. hab.

Wojciecha Łepkowskiego,

byłego komendanta Wydziału Strategiczno-Obronnego
AON.

Wyrazy głębokiego współczucia i wsparcia
w trudnych chwilach

Rodzinie

składają dziekan, wychowankowie Profesora, kadra
dydaktyczno-naukowa i pracownicy
Wydziału Bezpieczeństwa Narodowego AON.

| POŻEGNANIA |

Panu dr. inż.
Eugeniuszowi Milewskiemu

oraz najbliższej Rodzinie
wyrazy żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają dyrekcja, rada naukowa oraz pracownicy
Wojskowego Instytutu Technicznego Uzbrojenia.

Panu chor. sztab.
Dariuszowi Zakrzewskiemu

oraz Jego Najbliższym
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają komendant, żołnierze i pracownicy
15 Wojskowego Oddziału Gospodarczego.

Z głębokim żalem przyjąłem wiadomość o śmierci

chor. Krzysztofa Kapusty,

żołnierza Szkoły Podoficerskiej Sił Powietrznych
w Dęblinie służącego w Polskim Zespole Łącznikowym
w Ramstein, który zginął tragicznie w wypadku
samochodowym.

Rodzinie i Bliskim

składam kondolencje i wyrazy szczerego współczucia.
Cześć Jego Pamięci!

Dowódca Operacyjny Sił Zbrojnych
gen. broni Marek Tomaszewski

Pani Renacie Żebrowskiej

wyrazy szczerego współczucia z powodu śmierci

Matki

składają przewodniczący, kadra i pracownicy wojska
Centralnej Wojskowej Komisji Lekarskiej
w Warszawie.

Panu płk. pil. Wiesławowi Franczakowi

wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Teścia

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
1 Brygady Lotnictwa Wojsk Lądowych.

Pani Darii Kapuście

oraz Rodzinie

wyrazy szczerego oraz głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Męża

składają komendant, kadra oraz pracownicy wojska
Szkoły Podoficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie.

Panu prof. dr. hab.
Waldemarowi Kaczmarkowi,

prodziekanowi do spraw naukowych
Wydziału Zarządzania i Dowodzenia
Akademii Obrony Narodowej, wyrazy szczerego
współczucia i żalu z powodu śmierci

Ojca

składają rektor Akademii Obrony Narodowej
oraz Rada Wydziału i pracownicy
Wydziału Zarządzania i Dowodzenia.

Pani Darii Kapuście

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Męża

składają Sylwia i Mariusz Gutkowsy.

Wyrazy głębokiego współczucia i szczerze kondolencje

Panu Jackowi Kaczorowskiemu,

Rodzinie i Najbliższym
z powodu śmierci

Teściowej

składają dyrektor, kadra i pracownicy wojska
Departamentu Administracyjnego Ministerstwa
Obrony Narodowej.

Pani Leokadii Majewicz

wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Męża Henryka

składają dowódca, dowództwo, kadra i pracownicy
wojska 22 Ośrodka Dowodzenia i Naprowadzania
w Bydgoszczy.



KSIĄŻKA

Portret epoki

Osiągnięcia i upiory XIX wieku.

W 2008 roku zmarł ostatni niemiecki weteran I wojny światowej. Nie żyje już żaden ze świadków uroczystości pogrzebowych na przykład Giuseppe Verdiego lub królowej Wiktorii. W czerwcu 2006 roku w australijskim ogrodzie zoologicznym zdechła nawet żółwica

Harriet, która w 1835 roku na wyspach Galapagos miała zaszczyt poznać Karola Darwina. Nie ma zatem już świadków wydarzeń mających miejsce w XIX wieku. Jest to więc odpowiedni moment, żeby odpo-

wiedzieć na pytanie, jak to stulecie zmieniło świat. Podjął się tego niemiecki historyk Jürgen Osterhammel. Choć specjalizuje się w epoce oświecenia, wywiązał się z tego zadania znakomicie. Paradoksalnie to, że próbuje podsumować epokę, której wcześniej szczegółowo nie badał, stało się atutem. Nadmiar informacji przeszkadza bowiem szerzej spojrzeć na niektóre zagadnienia. Osterhammel chciał natomiast stworzyć portret epoki i, jak to ujął, „czysty destylat wiedzy podręcznikowej”. I chociaż hi-

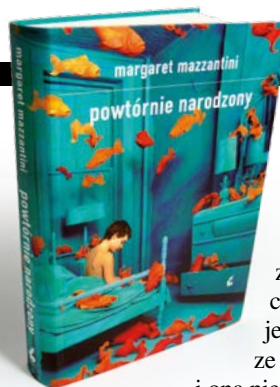
KSIĄŻKA

Dziecko Sarajewa

Historia rodziny, którą najpierw łączy, a potem rozdziela wojenne miasto.

Oboje są Włochami, ale poznają się w stolicy Jugosławii podczas zimowej olimpiady w 1984 roku. Odnajdują w sobie nawzajem to, czego pragną od życia. Diego wnosi w codzienność Gemmy nieprzewidywalność i naturalność. Gemma jest dla „chłopca z Genui” uosobieniem piękna.

Postanawiają zaryzykować, zostawić dotychczasowe życie i związać ze sobą. Później, po latach spędzonych już we Włoszech, okazuje się, że właściwie brakuje im jedynie dziecka. Pietro rodzi się w Sarajewie, w zniszczonym szpitalu, pod koniec konfliktu bałkańskiego.



„Powtórnie narodzony” jest opowieścią Gemmy, która po 16 latach wraca do Bośni, by pokazać synowi miejsca związane z jego narodzeniem i życiem jego ojca – fotografa wojennego. Sama chce zmierzyć się ze wspomnieniami. Odkrywa, że i ona nie zna całej prawdy o przeszłości swojej rodziny.

W książce Margaret Mazzantini nie historia Gemmy i jej bliskich – choć przejmująca, chwilami piękna, często okrutna – jest najważniejsza, ale sposób jej opowiadania. Opisy są bardzo plastyczne, angażują wszystkie zmy-

storyk przytacza mnóstwo fascynujących szczegółów z całej epoki z najrozmaitszych dziedzin, takich jak konflikty zbrojne, opera, film, polityka, religia, historia prasy i książki, technika czy obyczaje, to zawsze są one wpisane w szerszy kontekst i służą do udowodnienia konkretnej tezy. Kolejnym atutem pracy jest globalna perspektywa. Wielu historyków popełnia bowiem grzech lokalnego wypaczenia i najczęściej patrzy na świat oczami Europejczyków. Osterhammel natomiast próbuje pokazać te same zjawiska i procesy z perspektywy nie tylko różnych kontynentów, ale nawet państw czy społeczności.

Pośród licznych atutów tej niecodziennej historii XIX wieku jeden bije inne na głowę. Przede wszystkim jest to niezmiernie wciągająca książka. Znakomicie napisana i udokumentowana. Ma tylko jedną wadę. Została wydana bardzo starannie i elegancko w tomie, który liczy grubo ponad tysiąc stron i dlatego, jak każdy podręcznik, zapewne powinno się ją czytać w „pryzwoitej” pozie, przy biurku. Tylko kto pochłania w ten sposób fantastyczną opowieść? Ja przynajmniej, nie mogłam się od niej oderwać i o mało tej fascynacji nie przypłaciłam kontuzją, bo lektura takiej cegły w łóżku nie jest najlepszym pomysłem. ■

ANETA WIŚNIEWSKA



Jürgen Osterhammel,
„Historia XIX wieku.
Przeobrażenie świata”,
Wydawnictwo Poznańskie,
2013

sły. Wyczuwamy słodki, duszący zapach śródziemnomorskich owoców i zimno bijące od martwego dziecka na śniegu. Narratorka ufa czytelnikowi, nie tai przed nami myśli, szczerze opowiada o skomplikowanych relacjach z ludźmi i swojej walce o przekazanie życia. Wydaje się, że z wszystkiego, czego nie może opowiedzieć Pietrowi, zwierza się nam – którzy musimy przyjąć tę opowieść, by Pietro pozostał niewinny. ■

MONIKA SIEMASZKO

Margaret Mazzantini, „Powtórnie narodzony”,
Wydawnictwo Sonia Draga, 2013



WYSTAWA

Jarosław Jaśnikowski, „Poszukiwacze pradawnych światów”, olej płótno

Futurystyczna awiacja

WMuzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie można oglądać wystawę prac znanego malarza surrealisty

młodego pokolenia Jarosława Jaśnikowskiego. To wędrująca ekspozycja, ponieważ od marca będzie ją można obejrzeć w takich miastach, jak Szczecin, Gdańsk, Kielce, Jaworzyna Śląska czy Legnica. AW ■

KSIĄŻKA

Promile na froncie

Nawet niedźwiedź Wojtek chodził z żołnierzami na piwo.

Alkohol zawsze towarzyszył żołnierzom w czasie działań wojennych. Był lekarstwem na traumę oraz sposobem na nudę. Również w czasie II wojny światowej pili wszyscy, od szeregowców po generałów. Książka Kamila Janickiego „Pijana wojna. Alkohol podczas II wojny światowej” pokazuje, jak ważnym elementem codziennego życia frontowego były trunki. Autor nie idealizuje żadnej ze stron. Na podstawie zebranych wspomnień oraz relacji opisuje, jak Amerykanie w Normandii upijali się calvadosem, Niemcy zdobyczą rosyjską wódką, Anglicy rumem i whisky, a Rosjanie... czym popadnie. Nie zapomina również o Polakach...

Jest to godna polecenia, czasami zabawna, a czasami wstrząsająca historia o „nieodłącznym towarzyszu żołnierzy” w czasie II wojny światowej. „Żółte ptaki” to nie pierwsza książka o wojnie w Iraku, ale wyjątkowa, między innymi ze względu na zderzenie poetyckiego postrzegania świata z realistycznymi opisami walki. Kevinowi Powersowi znakomicie udało się połączyć liryzm z brutalnością wojny, ponieważ, po pierwsze, sam był strzelcem karabinu maszynowego w amerykańskiej armii w Iraku, po drugie, jest magistrem sztuk pięknych i poetą. ■

JAKUB NAWROCKI

Kamil Janicki, „Pijana wojna. Alkohol podczas II wojny światowej”, Instytut Wydawniczy „Erica”, 2012



Z A M K I

Bazylika obronna

Choć katedra nigdy nie była zamkiem, tak o niej pisano, ponieważ systemem obronnym przewyższała niejedno zamczysko.



WWW.FROMBORK.PL

Warowny zespół we Fromborku to unikatowy przykład średniowiecznych umocnień, a tamtejsza katedra jest jedną z najpiękniejszych budowli gotyckich w Europie. W dokumentach z XIII wieku, z powodu otaczającego ją rozbudowanego systemu obronnego, była okre-

ślana jako „castrum”, czyli „zamek”. Zespół katedralny – wielokrotnie oblegany i niszczony – zachował do dziś elementy średniowiecznego założenia. Tutaj żył i pracował Mikołaj Kopernik. Jako kanonik kapituły warmińskiej od 1510 do 1543 roku prowadził z Fromborka obserwacje astronomiczne.

Tu też napisał swój rewolucyjny traktat „O obrotach sfer niebieskich”.

Niewielkie miasteczko nad Zalewem Wiślanym, nazwane przez osadników niemieckich Frauenburg, stało się siedzibą kapituły warmińskiej w końcu XIII stulecia. Stolicę biskupstwa do Fromborka przeniósł Henryk I Fleming po zniszczeniu przez Prusów katedry w Braniewie. Na wysokim wzgórzu, najprawdopodobniej na miejscu wcześniejszej osady pruskiej, powstała wówczas pierwsza drewniana świątynia z ziemno-drewnianymi fortyfikacjami.

W tamtym okresie diecezja warmińska była państwem w państwie krzyżackim. Zagrażały jej zarówno ataki plemion pruskich, jak i rycerzy zakonnych, niezadowolonych z istnienia niezależnego księstwa na zagarniętych przez nich terenach. Aby wzmocnić biskupstwo, zaczęto w XIV wieku wznosić kościoły murowane. Gotycka ceglana bazylika archikatedralna pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny i Świętego Andrzeja Apostoła powstała w latach 1330–1388. Na najwyższej kondygnacji monumentalną bryłę obronną otaczał ganek strażniczy, połączony z czterema wieżyczkami narożnymi.

Fortyfikacje wokół katedry powstały etapami do początku XVII wieku. Ceglane mury obwodowe, zwieńczone blankami, wybudowano na planie nieregularnego pięcioboku. Przy nich umieszczano budynki, wieże i baszty. Jedną z nich była ulokowana w narożu południowo-zachodnim okazała ośmioboczna basteja. Na niej, z inicjatywy biskupa Michała Radziejowskiego, postawiono w XVII wieku

K S I A Ż K A

Gdy w Sarajewie zamordowano Franciszka Ferdynanda i jego małżonkę, mało kto przypuszczał, że wydarzenie to wpłynie na losy całych narodów. Dla większości Europejczyków było ono niemal bez znaczenia. W ciągu poprzednich dwudziestu lat zamordowano przecież prezydenta Francji, dwóch premierów Hiszpanii, cesarzową Austrii, króla Włoch, Portugalii i Grecji, a także serbską rodzinę królewską. W tym czasie Francja żyła raczej procesem Henriette Caillaux, żony znanego polityka, która zabiła wydawcę „Le Figaro” Gastona Calmette. W Wielkiej Bryta-



Krew, ogień, krew

Rudyard Kipling 4 sierpnia 1914 roku zapisał w swoim dzienniku: „À propos, zaczyna się apokalipsa”.

nii więcej uwagi poświęcano ewentualnej wojnie domowej w Irlandii. Zaniepokojenie wywołał kryzys na Bałkanach, uważano jednak, że monarchowie europejskich mocarstw nie dopuszczą do wojny. W ciepłe dni lata 1914 roku wiele osób planowało wakacje. Przekonanie, że wojna jest nieuchronna, mieszało się z innym – że jest niemożliwa.

Jak zauważa Michael S. Heiberg, debata dotycząca wybuchu I wojny światowej przeważnie koncentruje się na działaniach garstki mężczyzn, zapomina się natomiast o milionach zwykłych ludzi. Ich wspomnienia, zapiski z dzienników i listy stały się podstawą „Tańca furii”. To, według autora, nowa perspektywa postrzegania wydarzeń 1914 roku.

➔ Vademecum

Frombork leży 10 kilometrów od Braniewa i 32 kilometry od Elbląga. Z obu miast można dojechać autobusami. Samochód można natomiast bezpłatnie zaparkować przy jednej z bocznych uliczek. Dla turystów są udostępnione katedra, Muzeum Mikołaja Kopernika i wieża Radziejowskiego. Zespół jest otwarty od września do kwietnia w godzinach 9.00–16.00, od maja do sierpnia – od 9.00 do 17.00. Wstęp na dziedziniec jest darmowy, bilet do muzeum kosztuje 6 złotych, na dzwonnice – 8, do planetarium – 10. W miasteczku nocujemy w hotelu Kopernik, pensjonatach, kwaterach prywatnych, a mniej wymagający zatrzymają się na kempingu.

40-metrową dzwonnice, mieszczącą dziś planetarium.

Fromborskie umocnienia jako pierwsze na próbę wystawiły w 1414 roku wojska polsko-litewskie. Napadły na miasto, ponieważ biskupi warmińscy byli wówczas sojusznikami Krzyżaków. Po 40 latach pokonał je niewielki oddział krzyżacki Bartłomieja Liebenwalda. Był jednak za słaby, aby się utrzymać. W 1462 roku Krzyżacy znów oblegali katedrę, ale obrońcy zdołali wytrwać do czasu nadejścia odsieczy polskiego króla.

Największe szkody w umocnieniu wyrządzili jednak Szwedzi. Po raz

pierwszy wojska króla Gustawa Adolfa zajęły Frombork w 1626 roku – zniszczyli i ograbili katedrę. Ledwie ukończono odbudowę, w 1655 roku Szwedzi ponownie wtargnęli do Fromborka. Wywieźli stamtąd wówczas archiwum biskupów, bibliotekę Kopernika, organy oraz zbiory gotyckiej i renesansowej sztuki sakralnej. Do dzisiaj część tej kolekcji można oglądać w Uppsali.

Po pierwszym rozbiore Warmia znalazła się pod panowaniem pruskim. W połowie XIX wieku zaborcy rozebrali część fortyfikacji, a w 1945 roku podczas zdobywania miasta Armia Czerwona częściowo spaliła i zdewastowała zabytkowy kompleks. Po wojnie rozpoczęły się prace nad rekonstrukcją. Odbudowano ganki strażnicze na murach obwodowych, pałac biskupów, wieżę Radziejowskiego. W odbudowie miasta i katedry pomagali harcerze uczestniczący w latach 1966–1973 w akcji „Operacja 1001 – Frombork”. W 2005 roku we fromborskiej archikatedrze naukowcy odnaleźli grób Kopernika.

Dziś we Fromborku można zwiedzić katedrę, posłuchać organów z końca XVII wieku i obejrzeć dawny ołtarz główny z obrazem Matki Boskiej z Dzieciątkiem. W odbudowanym po zniszczeniach z 1945 roku dawnym pałacu biskupów mieści się Muzeum Mikołaja Kopernika, a w gotycko-barokowej dzwonnicy – planetarium, taras widokowy i wahadło Foucaulta, służące do obserwacji dobowego ruchu wirowego Ziemi.

ANNA DĄBROWSKA

Zarówno Brytyjczycy, jak i Francuzi czy Niemcy wierzyli, że odpowiedzialność za wybuch wojny ponosi inny kraj, nie ich własny. Na początku jednak chętnie się w nią zaangażowali. Nie z nienawiści, ale z poczucia odpowiedzialności i obowiązku wobec ojczyzny. Entuzjazm szybko ustąpił przygnębieniu. Polityczne rozjemcy okazały się złudne i krótkotrwałe. Dezinformacja była tak wielka, że nie wierzono już gazetom, nawet gdy pisały prawdę. Życie codzienne zmieniło się z dnia na dzień. „Poezja okopów upadła”, zanotował jeden z niemieckich oficerów. Rok 1914 był najbardziej krwawy. Przykładowo od sierpnia do listopada Wielka

Brytania straciła cztery razy więcej ludzi niż w czasie całej wojny burskiej 1899–1902. W sierpniu i we wrześniu zginęło 329 tysięcy Francuzów. „Wojna zmiata z powierzchni ziemi całe pokolenia” napisała Mary King Waddington. Ludzie utknęli na wojnie.

Heiberg doskonale buduje nastrój. Gdy czyta się „Taniec furii”, czuje się klimat upalnego letniego dnia, w który nagle wkrada się pomruk burzy.

JOANNA ROCHOWICZ

Michael S. Heiberg, „Taniec furii. Wybuchi wojny światowej oczami Europejczyków”, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, 2013.

KSIĄŻKA



Napoleon w oczach pazia

Czytelnik powinien koniecznie wiedzieć, że autorem tej opowieści o wielkim cesarzu Francuzów jest paż. Emil Marco de Saint-Hilaire służył na dworze cesarskim przez 13 lat – zaczął jako sześciolatek dziecko, a skończył jako 19-letni młodzieniec. Potem postanowił opisać Napoleona i jego najbliższe otoczenie. Nie jest to więc książka historyczna. Raczej należałoby ją nazwać obyczajowo-wspomnieniową. Cesarz jest tu bohaterem licznych anegdot, w większości pełniących patos. Oto jedna z nich:

„O godzinie 3 rano Napoleon [...] obchodził obóz. Idąc spotkał żołnierza, który na placówce spał. Napoleon zabrał mu karabin. Kilka chwil później młody żołnierz otworzył oczy, zobaczył, że jest rozbrojony, i poznał swojego generała spokojnie przechadzającego się w karabinem na ramieniu. – Zginąłem – zawołał. – Nie obawiaj się – rzekł łagodnie Napoleon. – Po tylu trudach wolno walecznemu żołnierzowi zdrzemnąć się nieco, lecz na przyszłość radzę ci wybierać sobie do tego lepszą porę. Młody ten żołnierz sądził, że najlepiej może się odwzajemnić za doznaną łaskę męstwem. Poległ 19 listopada w bitwie pod Campaza”.

Gdy się takie historyjki czyta, nasuwa się pytanie, czy są prawdziwe. Można przypuszczać, że paż cesarza coś gdzieś usłyszał na dworze, a potem przelał to wszystko na papier. Nie ma w tym nic złego, ale jeśli ktoś szuka rzetelnych informacji na temat życia cesarza, powinien raczej sięgnąć po kilka innych pozycji. Czy jednak krytyka autora ma tu jakiś sens? Wszak nie był on historykiem. Nie wymagajmy zbyt wiele od pazia.

ANDRZEJ FAŁARA

Emil Marco de Saint-Hilaire, „Historia Napoleona”, Oficyna Wydawnicza FINNA, 2013.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Pułkownik w thrillerze

MATERIAŁY DYSKUSYBUTORA (2)

„Jack Strong” wejdzie do kin 7 lutego 2014 roku, czyli cztery dni przed dziesiątą rocznicą śmierci Ryszarda Kuklińskiego.

Sprawnie nakręcony thriller w stylu amerykańskim – tak mogłaby brzmieć najkrótsza recenzja filmu „Jack Strong” w reżyserii Władysława Pasikowskiego. Obraz zainspirowany losami pułkownika Ryszarda Kuklińskiego jest reklamowany jako najważniejszy film roku. Opowiada o kulisach współpracy polskiego oficera z CIA oraz jego ucieczce z Polski.

Reżyser, który jest równocześnie autorem scenariusza, przedstawia własną wersję wydarzeń sprzed kilkudziesięciu lat (podobno pisał go na podstawie nieznanymi dotąd dokumentów z archiwów Instytutu Pamięci Narodowej i CIA oraz rozmów ze świadkami tamtych wydarzeń). Pasikowski przedstawia pułkownika jako bohatera. W jednym z wywiadów tłumaczył, że „przekazując Amerykanom strategiczne plany Układu Warszawskiego, nie zdradził on ani ojczyzny, ani Wojska Polskiego, lecz jedynie armię okupanta”.

Dzięki Kuklińskiemu Stany Zjednoczone dowiedziały się, że ZSRR planu-

je inwazję na Europę Zachodnią i zmieniły doktrynę obronną, nakręcając wyścig zbrojeń. Jego meldunki doprowadziły do powstania słynnej depechy, podpisanej przez prezydentów Ronalda Reagana i Jimmy’ego Cartera, zapowiadającej amerykańską interwencję w wypadku, gdy wojska radzieckie przekroczą granice Polski. Pasikowski pokazuje współpracę Kuklińskiego z amerykańskim wywiadem, ale skupia się także na konsekwencjach tej decyzji: niebezpieczeństwie, jakie grozi całej rodzinie.

Chociaż wszyscy wiedzą, jak się skończy historia Jacka Stronga (to pseudonim Kuklińskiego), film do końca trzyma w napięciu. Reżyser nieco upraszcza tę historię, ale jej nie przekłamuje. Trzeba pamiętać, że to thriller szpiegowski, czyli gatunek, który rządzi się swoimi prawami, a nie paradokument czy kino martyrologiczne.

Mocną stroną filmu jest gra aktorów, w Kuklińskiego wcielił się Marcin Dorociński, w jego żonę Maja Ostaszew-

ska. Oprócz nich występują Mirosław Baka, Zbigniew Zamachowski, Paweł Małaszyński, Ireneusz Czop oraz Krzysztof Globisz. Na ekranie zobaczymy także aktorów zagranicznych: Patricka Wilsona, jego żonę Dagmarę Domińczyk oraz Olegę Maslennikowa i Dimitra Bilova.

Film kręcono w trzech językach: polskim, angielskim i rosyjskim. ■



„Jack Strong”, reżyseria Władysław Pasikowski, producent Scorpio Studio

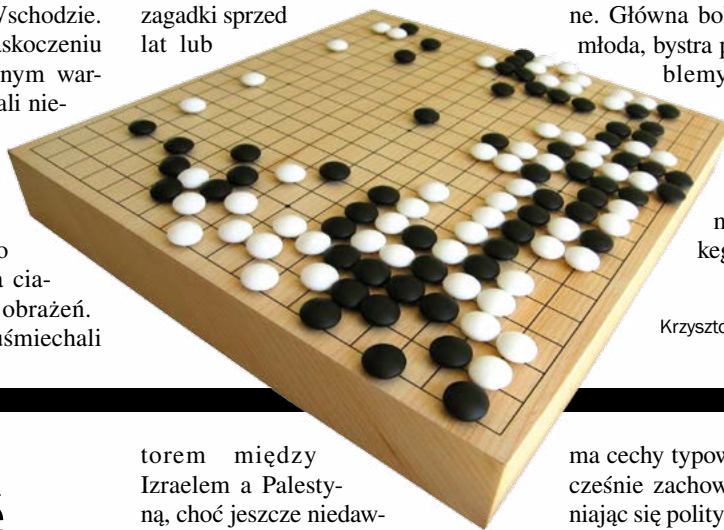
KSIĄŻKA

Przepis na dobry kryminał

Cesarska gra czy gierki warszawskich policjantów?

Znany dziennikarz radiowy i telewizyjny, pisarz i poeta Krzysztof Kotowski ma przepis na dobrą powieść: „Nasza historia – ta najdawniejsza, ale i czasy współczesne – ma czarne dziury, o których mało wiemy lub nic. Wypełniam je teorią, która wydaje mi się najbardziej prawdopodobna i opowiadam czytelnikowi tę historię”. Może i nie jest zbyt oryginalny, ale za to skuteczny. Ostatnio Kotowskiego zainspirowały epizod z historii dziewiętnastowiecznej Japonii oraz najstarsza i podobno najtrudniejsza gra planszowa, jaka istnieje, nazywana cesarzem gier. W Polsce „go” nie jest jeszcze aż tak popularna jak na Dalekim Wschodzie. Trudno się zatem dziwić zaskoczeniu policjantów, którzy w pewnym warszawskim apartamencie zastali niecodzienną scenę. Otóż w jednym pokoju znaleziono zwłoki trzech Polaków i jednego Azjaty. Co dziwne, w miejscu zbrodni nie było żadnych śladów walki, a na ciałach najmniejszych nawet obrażeń. Wszyscy trzech mężczyźni uśmiechali

się natomiast błogo, jakby umierali z wyrazem rozkoszy na twarzy. Co jeszcze dziwniejsze, na stole znajdował się goban, czyli plansza do gry w „go”. I myliłby się ten, kto by pomyślał, że gwałtowna śmierć przerwała panom fascynującą rozgrywkę. Na gobanie bowiem odzwierciedlono układ sprzed 150 lat – z ostatniej partii mistrza „go” Shūsaku Hon’inbō. Rozegrał ją z trzema swoimi uczniami, którzy w trakcie gry zmarli na cholerę, podobnie zresztą jak i sam mistrz. Kim były ofiary i po co morderca zadał sobie tyle trudu, żeby ją przygotować? Może stanowi ona klucz do rozwiązania zagadki sprzed lat lub



jest efektem chorej fantazji seryjnego mordercy? Rozwikłanie tej tajemnicy powierzono oryginalnej parze policjantów: doświadczonemu wydze i niezwykle inteligentnej i bardzo niepokornej dziewczynie. I choć krok po kroku rozwiązują oni tę zagadkę, to każdy nowy trop wprawia w osłupienie nie tylko ich samych, lecz także czytelnika. Autor kryminału „Święto światła” znakomicie bowiem prowadzi intrygę. Tak umiejętnie spleta wydarzenia z dziewiętnastowiecznej Japonii z warszawską współczesną rzeczywistością, że czytający do końca nie wie, czy policjanci są rozgrywanymi w tej grze, czy zaledwie pionkami na gobanie.

Krzysztof Kotowski nie tylko finezyjnie buduje konstrukcję powieści, lecz także tworzy wyrazistych bohaterów. Ta umiejętność trochę obróciła się przeciwko niemu, bo postaci z powieści „Święto światła” są nieco przerysowane. Główna bohaterka na przykład to młoda, bystra policjantka, ale ma problemy psychologiczne po śmierci matki, co objawia się między innymi niekontrolowaną agresją. Uwielbia muzykę poważną i Kirkegaarda.

ANETA WIŚNIEWSKA

Krzysztof Kotowski, „Święto światła”, Prószyński i S-ka, 2013

KSIĄŻKA

Jedność i odrębność

O Jordanii jest mowa w Starym Testamencie, bo tamtędy podobno wędrowali Żydzi do Palestyny.

Po niedawnej niespodziewanej wizycie Beniamina Netanjahu w Ammanie znów zaczęto częściej mówić o roli króla Jordanii Abdulla II w izraelsko-palestyńskim procesie pokojowym. Kilka dni wcześniej gościem monarchy był przywódca Autonomii Palestyńskiej Mahmud Abbas. Jordania od lat jest aktywnym negocja-

torem między Izraelem a Palestyną, choć jeszcze niedawno sama borykała się z problemami – przez kraj przeszła fala protestów, spowodowanych w dużej mierze złymi warunkami ekonomicznymi.

W tym kontekście warto sięgnąć do wydanej już przed kilku laty książki autorstwa Bartosza Wróblewskiego, która jest częścią serii popularnonaukowej wydawnictwa Trio „Historia Państw Świata w XX i XXI Wieku” i przypomnieć sobie złożoną i trudną historię tego państwa. Jest ono stosunkowo młode, bo utworzone w 1921 roku w wyniku decyzji polityków brytyjskich, głęboko jednak zakorzenione w tradycji i historii całego regionu. Większości z nas kojarzy się wciąż głównie z Petrą, miastem wykutym w skałę przez Nabatejczyków. Jordania

ma cechy typowe dla regionu, a jednocześnie zachowała odrębność, wyróżniając się polityką i sposobem działania rządzącej dynastii. To stosunkowo niewielkie państwo, jak zauważa Wróblewski, przez wieki było biedne i marginalizowane. Około 80 procent powierzchni kraju zajmują pustynie i nie ma on złóż surowców naturalnych. A przecież tereny Jordanii były świadkiem narodzin cywilizacji już 10 tysięcy lat przed naszą erą. Od tamtej pory kilkakrotnie doświadczały jej upadku, przez wieki będąc terenem wojen o władzę, sporów politycznych, religijnych i terytorialnych.

JOANNA ROCHOWICZ



Bartosz Wróblewski, „Jordania”, Wydawnictwo Trio, 2011



POZNAŃ

Siema Wielkopolsko!

M. SZUBERT

Żołnierze jednostek stacjonujących w mieście włączyli się w zbiórkę pieniędzy dla WOŚP w specjalnym miasteczku mundurowym, gdzie można było zobaczyć wóz HMMWV i wysłuchać koncertu orkiestry kadetów. A D



AFGANISTAN

Ofiarni misjonarze

A. ROIK / COMBAT CAMERA DORSZ

W bazach Ghazni i Bagram pieniądze dla Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy zbierało 15 żołnierzy wolontariuszy. Zorganizowano też zawody sportowe, pokazy udzielania pierwszej pomocy oraz występy zespołów muzycznych. A D



JAK CO ROKU, SERCA NASZYCH ŻÓŁNIERZY ZAGRAŁY DLA POTRZEBUJĄCYCH



SULECHÓW

Artylerzysta ze skarbonką

Żołnierze 5 Pułku Artylerii utworzyli wraz z dziećmi i młodzieżą wspólne patrole kwestujące na rzecz Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Wystawili też na licytację pamiątkowe medale, miniatury broni i inne wojskowe gadżety, zbierając pieniądze na sprzęt dla dziecięcej medycyny ratunkowej i godną opiekę medyczną nad seniorami. A D

S. STAWIŃSKI / R. WISNIEWSKI





GDYNIA

Morskie granie

Marynarze zagrali razem z Jurkiem Owsiakiem – zorganizowali koncert Orkiestry Reprezentacyjnej Marynarki Wojennej, pokazy pojazdów wojskowych i sprzętu Ośrodka Szkolenia Nurków i Pletwonurków. Częstowali też wojskową grochówką i uczyli chętnych węzłów marynarskich. A D

MARIAN KLUCZYŃSKI



RZESZÓW

Finał u szarotek

Uczestnikom XXII finału WOŚP towarzyszyły występy zespołu wokalnego z Klubu 21 Brygady Strzelców Podhalańskich. Podhalańczycy zorganizowali też licytację wojskowych pamiątek oraz punkt informacyjno-promocyjny, gdzie prezentowali swój sprzęt alpinistyczny. A D

KONRAD RADZIK

JERZY
EISLER

NOC generałów

KRĘCENIE TEGO FILMU
W POŁOWIE LAT
SZEŚĆDZIESIĄTYCH BYŁO
W GOMUŁKOWSKIEJ
WARSZAWIE NIE ŁADA
WYDARZENIEM

Niedawna śmierć wybitnego brytyjskiego aktora Petera O'Toole'a może posłużyć za pretekst do tego, aby przypominać na łamach „Polski Zbrojnej” najślawniejszych i najlepszych filmów, których akcja rozgrywa się w czasie II wojny światowej, zaczając od nakręconego w 1967 roku przez Anatole'a Litvaka obrazu „Noc generałów”. Film, będący ekranizacją noszącej taki sam tytuł powieści Hansa Helmuta Kirsta, opowiada historię niemieckiego generała – mordercy prostytutek (w Warszawie w grudniu 1942 roku oraz w Paryżu w lipcu 1944 roku). W obu miastach śledztwo, w którym podejrzanym był hitlerowski generał, prowadził oficer Abwehry – Grau. Zaskakującym pomysłem było obsadzenie w tej roli egipskiego (sic!) gwiazdora Omara Sharifa. Jego głównym rywalem był generał SS Tanz, którego znakomicie zagrał właśnie Peter O'Toole. Oprócz nich na ekranie pojawiają się jeszcze między innymi Tom Courtenay, Philippe Noiret i Juliette Gréco, a w warszawskich epizodach także polscy aktorzy: Józef Nalberczak i Mieczysław Stoor.

Kręcenie tego filmu w połowie lat sześćdziesiątych w gomułkowskiej Warszawie było nie lada wydarzeniem. W pobliżu Pałacu Kultury i Nauki, na tak zwanym dzikim zachodzie, na potrzeby filmowców zbudowano naturalnej wielkości frontony kilkupiętrowych kamienic, które w trakcie realizacji zdjęć stopniowo podpalano i wysadzano w powietrze. Przez wiele dni na Starym Mieście, placu Trzech Krzyży, Krakowskim Przedmieściu, placu Zamkowym i w kilku innych miejscach zamykano ruch uliczny i za sprawą scenografów (drogowskazy, szyldy, plakaty, zasieki z drutów kolczastych) przywracano Warszawie okupacyjny wygląd. Niestety, rekwizytorzy nie wykazali się wystarczającą skrupulatnością. Na przykład w początkowej scenie filmu pojawia się mężczyzna ściskający w rękę „Życie Warszawy” – gazetę, którą zaczęto wydawać jesienią 1944 roku, czyli prawie dwa lata później niż rozgrywała się ta scena.

Zanim jednak ekipa filmowców przyjechała na zdjęcia do Polski, chciała się zorientować, na co może liczyć ze strony polskich partnerów. Przede wszystkim spodziewała się pomocy w realizacji scen batalistycznych. Poproszono więc Polaków, żeby udostępniili fragmenty jakiegoś filmu wojennego, aby ocenić ich kwalifikacje pod kątem realizacji efektów pirotechnicznych. Wybór padł na „Potem nastąpi cisza” Janusza Morgensterna. Zachodni specjaliści byli pod wrażeniem, ale ze zdziwieniem zauważyli, że czołgi na ekranie naprawdę strzelały, a nie tylko imitowały oddawanie ognia. Dopytywali też, jak Polacy uzyskują efekt rozpryskujących się na ścianie wystrzałów; sami bowiem przywieźli specjalne pistolety na gipsowe kule. Byli zszokowani, gdy usłyszeli, że po prostu strzela się w mur pod pewnym kątem ostrą amunicją.

Polscy widzowie mogli być równie zszokowani tym, co zobaczyli w sekwencji warszawskiej. Jesteśmy bowiem świadkami, jak w odwecie za akcję polskiego podziemia generał Tanz niszczy, za pomocą czołgów i miotaczy ognia, jedną z dzielnic miasta. Jest to scena zrealizowana znakomicie od strony filmowej, lecz niemająca nic wspólnego z rzeczywistością. Oczywiście takie obrazy można było zobaczyć w sierpniu i we wrześniu 1944 roku w czasie powstania warszawskiego oraz wiosną 1943 roku w trakcie tłumienia powstania w getcie, ale na pewno nie w grudniu 1942 roku. Z tragedią getta mogą się też kojarzyć ujęcia młodych mężczyzn wyskakujących z okien podpalanych kamienic. Obraz okupacji Polski zaprezentowany w „Nocy generałów” był w takim samym lub podobnym stopniu zgodny z wojennymi realiami, jak ten okupowanej Grecji w „Działach Navarony” czy Norwegii w „Bohaterach Telemarku”. Za każdym razem była to trochę wizja „jak mały Jaś wyobrażał sobie wojenkę”. ■



PROFESOR JERZY EISLER JEST HISTORYKIEM,
DYREKTOREM ODDZIAŁU IPN W WARSZAWIE
I KIEROWNIKIEM ZAKŁADU BADAŃ NAD DZIEJAMI
POLSKI PO 1945 ROKU W INSTYTUCIE HISTORII PAN.

BALT MILITARY EXPO

Gdańsk | 24-26.06.2014

13 Bałtyckie
Targi
Militarne



VI Międzynarodowa Konferencja Naukowo Techniczna
„Technologie Morskie dla obronności i bezpieczeństwa”
NATCON 2014



MTG

MIĘDZYNARODOWE
TARGI GDAŃSKIE SA

ul. Żaglowa 11, 80-560 Gdańsk | dyrektor projektu - Marek Buezkowski
tel. 58 554 92 13, 693 448 814 | military@mtgsa.com.pl | www.baltmilitary.pl

CZYTAJ
NAS **CODZIENNIE**

polska-zbrojna.pl